

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



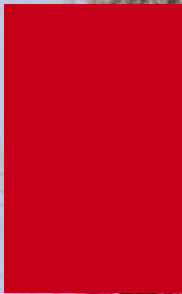
Bookstagram
książki nie tylko
dla elit ► 32



WYSOKIE OBCASY

Sport, seks, sztuka,
nałogi i złamane
tabu. **Wybieramy**
Superbohaterki roku

FOT. SHUTTERSTOCK



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

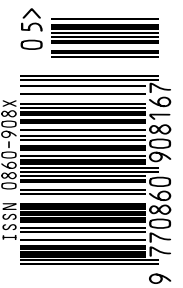
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Maciej
Stuhr

Nikt nic lepszego nie wymyślił niż Jezus

► 29

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198



Sobota-czwartek 1-6 luty 2025 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 26.10823,1

Nakład 78 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA



**Projektujesz, realizujesz,
działasz na rzecz szczęśliwych
sąsiedztw?**

Weź udział w konkursie: [Wyborcza.pl/zplkonkurs](https://wyborcza.pl/zplkonkurs)

ZAPROJEKTOWANE
PO LUDZKU

■ SZCZĘŚLIWE SĄSIEDZTWA

ORGANIZATOR

wyborcza.pl

SPONSOR STRATEGICZNY

otodom

KRAJ/34359246

Agnieszka
KublikO czym sondaże są
naprawdę

Uwaga. Gra sondażami jest wielce ryzykowana. Podważa zaufanie do sondaży. Podważa zaufanie do polityków, którzy podważają zaufanie do sondaży. A w efekcie podważa zaufanie wszystkich do wszystkich.

Przed tygodniem PiS próbował oszukać dziennikarzy, sprzedając informacje podwójnie fałszywą – że CBOS ukrył wyniki II tury wyborów prezydenckich, ponieważ wygrał ją Karol Nawrocki. To miało uderzyć w Tuska, bo CBOS to fundacja nadzorowana przez premiera. Rząd miałby manipulować wynikami sondaży, bo są dla obozu władzy niekorzystne. Fałszywka miała mobilizować wyborców PiS – ich kandydat wygra, idzie mu lepiej, niżby to wynikało z sondaży, tylko trzeba się skrzyknąć i mu pomóc. A kto wygra naprawdę?

Sondaże nie mogą dać odpowiedzi. One pokazują, jak wyglądają szanse kandydatów w wyborach, które miałyby się odbyć właśnie teraz. A „teraz” zmienia się teraz szybko jak nigdy, nowe fakty, nowe kłamstwa i nowe techniki manipulacji, mnóstwo emocji, a wszystko coraz szybciej. Więc sondaż też goni sondaż. A wyniki się różnią. I wszyscy są zdziwieni, jak to możliwe.

Przypominam, co się stało w Stanach. Według renomowanych pracowni Trump miał remisować z Harris we wszystkich siedmiu

Zwolennicy prawej strony częściej odmawiają ankietom. Odmów przybywa – kiedyś było ich mniej niż 10 proc., teraz nawet 20

swingujących stanach. A wygrał zdecydowanie.

Im więcej sondaży z coraz licześniejszych pracowni o różnej wiarygodności, tym większy rozstrzał wyników, to oczywiste. Ale te nietrafione prognozy to coś więcej.

To efekt niepokojącego zjawiska, czyli odmów. Częściej Republikańskie niż Demokraci nie chcą rozmawiać z ankietami. Bo nie ufają mediom, instytucjom, nie chcą brać w tym udziału. I teraz badacze powinni oszacować, jak ta grupa zagłosuje. Te szacunki są pracochłonne, wymagają czasu i umiejętności. Trzeba stworzyć kryteria, dzięki którym oszacujemy, jak odmawiający mogą zagłosować.

U nas też częściej zwolennicy prawej strony odmawiają ankietom. I też odmów przybywa – kiedyś było ich mniej niż 10 proc., teraz czasami nawet 20.

Apeluję: powołujmy się na wyniki tylko pracowni certyfikowanych przez Organizację Firm Badania Opinii i Rynku. Ze strony OFBOiR: „na polskim rynku istnieje kilkaset podmiotów świadczących usługi badawcze, jednak tylko 30 agencji może poszczycić się Certyfikatem Jakości Badań. Zlecając realizację projektu badawczego, warto sprawdzić, jaką otrzymujemy gwarancję, że zostanie wykonany rzetelnie i zgodnie z surowymi normami jakości obowiązującymi w badaniach rynku i opinii”.

Warto sprawdzić nie tylko zlecając. Ale i cytując. Oraz eks cytując się wynikami. ●

Indie
Odrodzą się jako kto?

FOT. REUTERS/ADNAN ABIDI

40 osób zdeptano podczas Maha Kumbh Mela, głównego święta hinduizmu. W Prayagraj, mieście wspomnianym już w Wedach, zbiegają się święte rzeki Ganges i Jamuna. Pobożni Hindusi wierzą, że kąpiel tu kończy cykl reinkarnacji. Na wielodniowe Święto Dzbana przyjeżdżają politycy, milionerzy, gwiazdy; codziennie abluje odbywa 30 mln ludzi. Panika wybuchła, gdy pielgrzymi omijali kolejkę do wody, przeskakując bariery.

Kod dostępu
do Wyborcza.plDeepSeek R1
Chińczycy trzymają się, ale nie tak mocno

Pokazany kilka dni temu „myślący” model sztucznej inteligencji, który według chińskich twórców dorównuje możliwościom modelowi OpenAI o1, czyli świeżo odsłonię sławnego ChatGPT – a do tego jest na tzw. otwartej licencji – sprawił, że z giełdowej wyceny Nvidii, amerykańskiej firmy produkującej procesory do zastosowań AI, wyparował ekwiwalent PKB Szwecji.

Doniesienia były sensacyjne – wytrenowanie R1 kosztowało niecałe 6 mln dolarów, wymagało tylko 2 tys. procesorów graficznych, czyli GPU, a stoi za nim start-up. Szybko okazało się, że kosztowało kilkukrotnie więcej, firma DeepSeek zajmuje się AI od lat, stoi za nią spółka inwestycyjna High-Flyer z aktywami ok. 8 mld dolarów i ma 50 tys. GPU.

R1 jest darmowy, ale... Jego lokalne uruchomienie wymaga 16 kart Nvidia A100 80 GB. Cena jednej to ok. 80 tys. zł. A korzystanie przez aplikację oznacza zgodę, by nasze dane trafiały na chińskie serwery. I na cenzurę, która zakazuje modelowi wypowiadać się na temat Tajwanu, Ujgurów, czy wydarzeń z placu Tiananmen z 1989 roku.



FOT. REUTERS/DADO RUVIC

R1 nie stanowi przełomu w rozwoju AI, ale dzięki niskim kosztom upowszechni jej wykorzystanie. – I znacznie przyspieszy jej rozwój – ocenia Michał Pióro, doktorant IDEAS NCBR i Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN. – Do tej pory badacze nie wiedzieli, jak powstają i działają modele OpenAI czy Google’a. Teraz ich wiedza znacznie się poszerza. To zmniejszy o kilka miesięcy opóźnienie pomiędzy modelami open-source a tymi zamkniętymi.

Prezentacja R1 odbyła się w dniu inauguracji Trumpa. Którego kolejnego dnia ogłosił projekt Stargate, czyli inwestycję 500 mld dol. w centra obliczeniowe AI. Na co Pekin zapowiedział, że na rozwój AI wyda bilion. ●

Bolesław Breczko

Andrzej rysuje



Cytat dnia

Dlaczego nie płacze z powodu tych, którzy zmarli przez fentanyl przywieziony przez południową granicę



TOM HOMAN

„car granicy” Trumpa, o Selenie Gomez. Popularna aktorka na Instagramie przeproszała latynoskich migrantów za ostatnie masowe deportacje

► Wysokieobcasy.pl

Dzieci wojny

16

INKUBATORÓW



FOT. REUTERS/MOHAMMED SALEH

działa w Gazie. Przed zbrojną interwencją Izraela wywołaną krwawym atakiem Hamasu na kibuce, było 105.

– Wojna znacznie zwiększyła liczbę przedwczesnych porodów, martwych urodzeń, krwawień poporodowych i noworodków z niską wagą – alarmuje raport Human Rights Watch. Od początku konfliktu liczba poronień wzrosła o 300 proc. Niemowlęta są niedożywione, matki podają im mleko rozrobione w brudnej wodzie, bo innej nie mają, co zwiększa ryzyko biegunek, odwodnienia i żółtaczki typu A.

Więcej w tekście Marty Urzędowskiej ► Wyborcza.pl/swiat

Czy Trzaskowski skończy jak Komorowski

Kandydat Bązur

Nawrocki został przepytany przez Nowogrodzką. Czym martwią się spin doktorzy PiS?

Wielowieyska



– Nie, przegięli, to chyba fejk, chyba podkoloryzowali jego życiorys – mówi bliska mi osoba, pokazując iPhone’a.

Na jednym z komunikatorów krąży krótka notka biograficzna Rafała Trzaskowskiego: że ma stopień naukowy doktora, na koncie studia na wydziale stosunków międzynarodowych i filologię angielską, stypendia zagraniczne, wśród których pojawia się Oksford. Zna pięć języków obcych, pracował w Komitecie Integracji Europejskiej, gdy szefem był Jacek Saryusz-Wolski, wykładał w Krajowej Szkole Administracji Publicznej, był europoseł, poseł, ministrem cyfryzacji, wiceministrem spraw zagranicznych i na koniec prezydentem Warszawy.

I tak się składa, że to nie fejk, tylko prawda. Ale nawet wyborcy Trzaskowskiego tego nie wiedzą.

W porównaniu z Nawrockim Trzaskowski dysponuje sporym doświadczeniem politycznym, obyciem na światowych salonach i wiedzą o polityce międzynarodowej. Nawrocki ma na koncie Muzeum II Wojny Światowej, IPN – i tyle. Andrzej Duda z 2015 roku jawi się przy nim jako polityczny wyga, był przecież europoseł i ministrem w Kancelarii Prezydenta. Ale kampania Trzaskowskiego została sformatowana pod hasłem: „Rafał nie jest elitą, jest jednym z nas” i dla wielu jego CV może być szokiem. Konkurenci nadali mu ksywę „Bązur”, aby utwierdzać jego wizerunek jako członka elity, oderwanego od spraw zwykłych ludzi.

Sztabowcy prezydenta Warszawy starają się więc zneutralizować tę opowieść. I gdy spojrzymy na agendę ostatnich tygodni, mamy następujący zestaw: wizyta w Kole Gospodyń Wiejskich; obiad z Zenkiem Martyniukiem; odwrót od Zielonego Ładu; edukacja zdrowotna nieobowiązkowa; 800+ tylko dla Ukraińców, którzy pracują i płacą podatki w Polsce. Kwestie takie, jak pozycja Kościoła w państwie, prawa osób LGBT+ nie odgrywają już niemal żadnej roli.

Aborcja pojawiła się raz, gdy kandydat PiS podłożył się w kampanii, deklarując, że jest za bardzo restrykcyjnym prawem, nie chce nawet przywrócenia tzw. kompromisu sprzed 2020 roku. Trzaskowski wtedy podkreślił radykalizm rywala, bo zaostrenie tych przepisów walnie przyczyniło się do klęski PiS w ostatnich wyborach parlamentarnych.

Nawrockiemu trochę się popłatało, bo miał o aborcji powiedzieć coś innego, niż powiedział, miał robić uniki, by nie tracić głosów fundamentalistów, a jednocześnie nie mobilizować wyborców drugiej strony, ale pogubił się na żywo w Polsce i wyszło, jak wyszło. Trzaskowski to natychmiast wykorzystał, ale nie chce, aby aborcja była w centrum kampanii. Wszyscy go przestrzegają, że na tym popłynęła Kamala Harris i nie powinien popępniać jej błędów.

Obecna kampania jest zaprzeczeniem taktyki sprzed pięciu lat, kiedy sztab postawił na wizerunek progresywny. Wierzył, że krytycyzm wobec Kościoła i pisowski hejt wobec osób LGBT zmobilizuje młodych ludzi. Nie wyszło, a po wyborach 2023 roku Sejm jest nadal konserwatywny mimo zmęczenia PiS. I nie ma tam większości dla liberalnej ustawy aborcyjnej. Trzaskowski chce ustawy o związkach partnerskich, ale się z tym nie afiszuje, więc padają zarzuty, że nakłada maskę, jest farbowanym lisem, który wyrzekł się bliskich mu wartości, robi zwrot koniunkturalny, którego wyborcy lewicowo-liberalni mu nie wybaczą.

Na to odpowiedź sztabu jest taka: wyciągnęliśmy wnioski z kampanii sprzed pięciu lat. My już teraz musimy patrzeć na drugą turę, demobilizować elektorat konserwatywny i antyelitarny. Liczymy, że strona liberalna i lewica to zrozumie, tym bardziej że po drugiej stronie jest prawicowy fundamentalista. Z Aleksandra Kwaśniewskiego śmiano się, gdy na scenie podrygiwał w rytm disco polo, śmiano się z piosenki „Ole, Ole, Olek”. A Kwaśniewski się nie przejmował i wygrywał.

Sztab Trzaskowskiego lawiruje: idzie w ślady Kwaśniewskiego, ale jednocześnie nie chce wywoływać poczucia zażenowania w swoim starym elektoracie; próbuje uniknąć, jak powiedziałby młodszy wyborcy, krindżu. A jego pomysł w sprawie 800+ dla Ukraińców popiera zdecydowana większość Polaków. Może znów sprawdza się stara przewrotna zasada: jeśli polityk Koalicji Obywatelskiej jest krytykowany przez lewicowo-liberalny mainstream, to jego poparcie rośnie.

Ale lęk przed powtórką z kampanii Bronisława Komorowskiego tli się w sztabie nadal. Bycie faworytem może się obrócić przeciwko Trzaskowskiemu, rząd ma niskie notowania w sondażach, nastroje nie są najlepsze.

A w „Rzeczpospolitej” ważny spin-doktor PiS Adam Bielan mówi tak: – Jeżeli porównamy wszystkie parametry kampanii Karola Nawrockiego z kampanią pana prezydenta Andrzeja Dudy sprzed 10 lat – a to są kampanie porównywalne, bo wtedy też startował kandydat wspierany przez PiS przeciwko faworyzowanemu przez media i sondaże Bronisławowi Komorowskiemu – to widzimy, że Karol Nawrocki, pod każdym względem, jest znacznie bardziej zaawansowany. Począwszy od objazdu kraju, który zaczął bardziej intensywnie, bo już w listopadzie, przez frekwencję na spotkaniach – we wszystkich miejscach, w których się pojawia, bije rekordy frekwencyjne – po sondaże. I dodaje: – W poniedziałek ukazał się sondaż Ogólnopolskiej Grupy Badawczej – ośrodka, który najlepiej wytypował ostatnio wyniki wyborów parlamentarnych. Ten sondaż daje zwycięstwo Karolowi Nawrockiemu w drugiej turze.

Rzeczywiście z badania OGB wynika, że Nawrocki minimalnie wygrałby z Trzaskowskim, 50,6 proc. głosów do 49,4 proc. W tym samym sondażu kandydat KO w I turze ma przewagę nad kandydatem PiS zaledwie 4 pkt procentowych. Jeśli badanie pokazuje realne nastroje, to bez mobilizacji elektoratu Koalicji 15 Października Trzaskowski może przegrać.

Zaraz potem pojawił się sondaż United Surveys dla Wirtualnej Polski: w I turze kandydat KO ma ponad 12 punktów procentowych przewagi, w II turze wygrywa zdecydowanie. Ale może Trzaskowski wypada tak dobrze, bo wielu wyborców PiS wciąż nie wie, że Nawrocki reprezentuje tę partię? I odpowiadając na pytania ankietatorów, badani nie orientują się, kto jest kim? W partyjnych sondażach PiS ma około 30 proc. A w niektórych sondażach prezydenckich Nawrocki ma trochę ponad 20 proc., sporo mniej niż jego partia.

I OGB, i US tuż przed wyborami 15 października 2023 pokazywały, że większość w Sejmie będzie miała koalicja KO-Trzecia Droga-Lewica, choć nie doszacowały poparcia dla tego obozu. Ale żadna pracownia nie przewidziała rekordowej frekwencji.

Sprawdza się stara przewrotna zasada: jeśli polityka Koalicji Obywatelskiej krytykuje lewicowo-liberalny mainstream, to rośnie mu poparcie

Bielan nie tylko prezentuje urzędowy optymizm, ale chce też trafić ze swoją argumentacją do działaczy PiS, którzy coraz bardziej niepokoją się kampanią Nawrockiego. Wszyscy wiedzą, że argument z klęską Komorowskiego jest o tyle słaby, że w 2015 r. mieliśmy zmęczenie blisko ośmioletnimi rządami PO-PSL. Teraz wciąż mamy do czynienia ze zmęczeniem ośmioletnimi rządami PiS.

Owszem, kalendarz mniej sprzyja Trzaskowskiemu. Dla niego lepiej by było, aby wybory prezydenckie odbywały się zaraz po parlamentarnych, aby ludzie nie zdążyli się rozczarować ekipą rządzącą. A zaletą Nawrockiego jest to, że wciąż może mobilizować twardy elektorat PiS, a jednocześnie może odcinać się od polityki PiS, ponieważ nie należał do partii i nie pełnił żadnych funkcji w rządzie.

Ale na tym dobre wieści dla Nowogrodzkiej się kończą. Bo agenda jej kandydata zawiera następujące punkty:

- **Znajomości w przestępczym półświatku** i kręgach neonazistów;
- **Wypowiedź prof. Antoniego Dudka** o tym, że Nawrocki rządził w IPN w sposób zamordystyczny, marginalizując lub wyrzucając ludzi, którzy mają inne zdanie niż on, i ograniczał wolność badań naukowych. – Nie-

bezpieczny, bezwzględny człowiek – mówił Dudek, który stanowi zagrożenie dla PiS, bo jest popularnym komentatorem i cieszy się opinią niezależnego, gdyż wiele razy bardzo ostro krytykował PO i rząd Tuska;

• **Bezradność Nawrockiego na wiecach.** Nie reaguje, gdy zanoszą się na agresję, wręcz cieszy, gdy kibole krzyczą „Raz sierpem, raz młotem, czerwona holota”, a okrzyki „nie bać Tuska” przeplatają się z „je...ć Tuska” albo gdy ksiądz na wiecu proponuje, aby Nawrocki potraktował Dudka lewym sierpowym, a on uprzejmie odpowiada „Bóg zapłać”. Nawrocki pokazuje tu kompletny brak obeznania politycznego, nie rozumie, że takie zachowanie natychmiast wykorzystają konkurenci. Boi się też polemizować z uczestnikami wiecu. Po prostu nie wie, jak się zachować.

• **I rzecz najgorsza, tajemnicza historia apartamentu Deluxe,** należącego do Muzeum II Wojny Światowej, w którym Nawrocki jako dyrektor tej placówki spędził 200 dni, nie placąc ani grosza. Tłumaczy się, że był dwa razy na kwarantannie przez 10 dni, Muzeum to dementuje, mówi o jednej. „Być może było tak, że po prostu pokoje, przeznaczone na inne cele, były rezerwowane na biuro dyrektora i stąd ta liczba dni”. Jakie to cele i kto tam mieszkał, tego nie zdradza. Wcześniej twierdził, że w apartamencie Deluxe prowadził „dynamiczną politykę międzynarodową”.

To oczywiście rodzi domysły. Nawrocki został przepytany przez Nowogrodzką, o co chodzi z tym apartamentem i jakie zagrożenia mogą jeszcze wynikać z całej sprawy. Która znalazła się w prokuraturze, a to może oznaczać przesłuchania wielu osób i nadzieje sztabu PiS, że sprawa umrze śmiercią naturalną, legną w gruzach.

PiS próbuje przekierować uwagę opinii publicznej na inne tory. – Ja gwarantuję normalność, a jedyne, co gwarantuje Rafał Trzaskowski, to domknięcie systemu. Systemu złych rządów, które prowadzą do drożyzny, zubożenia społeczeństwa, ośmieszania Polski na arenie międzynarodowej poprzez obrażanie publiczne Donalda Trumpa czy wysłanie do Waszyngtonu Bogdana Klicha – stwierdził Nawrocki w Polsce.

To starannie przygotowane przez spin-doktorów podsumowanie tego, co kandydat PiS będzie eksploatował w kampanii: rozczarowanie rządem Tuska i złe relacje z nowym prezydentem USA. Ale w sferze pop-polityki i tak wszyscy będą zajęci apartamentem Deluxe. ● **Dominika Wielowieyska**

Demokracja jęcząca

Represje władzy się zaostrzają, a centrum Tbilisi dzień w dzień wypełniają gniewni ludzie. Serbowie od miesięcy protestują przeciwko autokracji i korupcji, młodzi ostatnio rozkręcili strajk generalny. Słowacy wyszli na ulice przeciwko prorosyjskiej polityce premiera Fico. Austriacy demonstrują przeciwko skrajnie prawicowej Partii Wolnościowej, która ma upodobnić Wiedeń do Budapesztu.

A w Polsce widzę rozprężenie i narzekanie, defetyzm i malkontentstwo. Choć za 100 dni wybory prezydenckie, od których zależy do słownie wszystko. Co się z nami stało?

zastanawia się Bartosz T. Wieliński na Wyborcza.pl/magazyn

Dużo gorzej jest być zbędnym *niż* wyzyskiwanym

Z BARTŁOMIEJEM DOBROCZYŃSKIM, PSYCHOLOGIEM*
ROZMAWIA AGNIESZKA JUCEWICZ

Marzenie o nicnierobieniu jest tak naprawdę marzeniem o śmierci.

AGNIESZKA JUCEWICZ: Wypalenie zawodowe, mobbing, kultura zajętości – o tym dziś często mówimy, kiedy mówimy o pracy. I dobrze, jednak coś umyka.

BARTŁOMIEJ DOBROCZYŃSKI: Mam tu kilka refleksji. Po pierwsze, przez dziesiątki tysięcy lat żyliśmy w różnego rodzaju większych bądź mniejszych wspólnotach, których przetrwanie zależało od współpracy i wzajemnej użyteczności. Można to dobrze zobaczyć na przykładzie jeszcze gdzieś funkcjonujących plemion, w których szybko dałoby się wskazać, kto świetnie obrabia maniok, kto najlepiej maluje ciała, kto łowi najwięcej ryb, a kto potrafi wytropić miód.

Zasadniczo świadczone sobie wzajemnie usługi, zarówno na poziomie indywidualnym, jak i grupowym, były czymś absolutnie fundamentalnym dla naszego przetrwania. To jest wielką wartością pracy do dzisiaj, jednak rzadko się to podnosi.

Że jesteście sobie nawzajem potrzebni?

– Więcej. Wybitny polski intelektualista żyjący na przełomie XIX i XX wieku Stanisław Brzozowski uważał, że ludzki świat jest współmierny z pracą. Pisał: „Nasz świat trzyma się na nieustannym zużywaniu w pewien sposób masy niepowracającego, raz na zawsze ginącego życia. Całym swym ciałem, krwią i mięśniami, nieustannym zatracaniem się milionów istot ludzkich w śmierci utrzymujemy stan rzeczy”. I ten wątek – „utrzymywania stanu rzeczy” przez pracę – wydaje mi się fascynujący, choć na co dzień zdajemy się go nie zauważać.

Proszę rozwinąć.

– Powiedzmy, że budzi się pani rano i rusza do akcji. Idzie pani do łazienki, dokonuje ablucji, potem przygotowuje posiłek, ubiera się i jedzie do pracy. Jeśli popatrzyłaby pani na te wszystkie czynności z perspektywy trwania czy też właśnie podtrzymywania życia, to każda z rzeczy, które są pani niezbędne do ich wykonania, została przez kogoś zrobiona i dostarczona. Ktoś pracuje nad tym, żeby miała pani w domu wodę i gaz. Ktoś upiekł bułki, dowiózł mleko do punktu skupu, a potem do sklepu. Ktoś zebrał ziarna kawy. Ktoś zrobił ręcznik, uszył ubrania. Ktoś prowadzi autobus, którym dojeżdża pani do pracy, i tak dalej.

Innymi słowy, dzisiaj często oceniamy pracę w sposób mocno zapośredniczony przez media, różne narracje – polityczne, religijne, tożsamościowe – a rzadko myślimy, że ta nasza wspólna praca zapewnia nam codzienne funkcjonowanie.

W ogóle rzadko myślimy o tym, że żyjemy we wspólnocie, bo na czoło wysuwają się różnice interesów, poglądów, zainteresowań, polaryzacja.

Taka perspektywa zmienia postać rzeczy. Pojawia się miejsce na wdzięczność dla innych za ich wysiłek.

– Otóż to.

Jednak zdarza się nam myśleć o tym, że żyjemy we wspólnocie. Tyle że w innym kontekście. Na przykład, kiedy zwracamy uwagę na ludzi, którzy na drugim końcu świata w fatalnych warunkach szyją ubrania dla sieciówek, na wyzysk dzieci w kopalniach kobaltu, który jest potrzebny do produkcji naszych smartfonów, czy nieludzkie traktowanie pracowników zatrudnionych w halach największego na świecie sklepu internetowego.

– Wyzysk to niewątpliwie ważny temat, ale zasługuje na osobną rozmowę. Dobrze jednak, że go pani poruszyła, bo to nas prowadzi do jeszcze jednej refleksji, którą miałem, a mianowicie – prestiżu pracy. Wprowadzeniem do niego może być film Wima Wendersa „Perfect days”.

Jego główny bohater Hirayama jest czyszczącym miejskich toalet w Tokio.

– Nie jestem specjalistą od kultury japońskiej, ale w tym filmie jest wyraźnie pokazane, że podobnie jak i u nas, tam ten zawód też nie cieszy się za dużym szacunkiem. Najlepiej to oddaje scena, w której do bohatera przyjeżdża siostra. Widać, że jest zamożna, bo nie dość, że podjeżdża wypasionym samochodem, to jeszcze z kierowcą. I z lekką pogardą rzuca: „A więc naprawdę czyszczysz toalety?”.

Wspominam o tym, bo chcę zwrócić uwagę, że w naszym świecie mamy do czynienia z pewną asymetrią, która dla przybysza czy przybyszki z obcej galaktyki mogłaby być uderzająca.

Na czym ta asymetria polega?

– Na tym, że istnieje niewielki związek pomiędzy niezbędnością danej pracy dla trwania społeczeństwa, podtrzymywania owego życia a jej społecznym prestiżem. Innymi słowy, prace takie jak praca bohatera „Perfect days”, ale też praca polegająca na wywożeniu śmieci, praca salowych, pielęgniarek i pielęgniarzy, kucharek i kucharzy w stołówkach pracowniczych czy szkolnych, a nie w topowych restauracjach, sprzątaczy i sprzątaczek – długo można by wymieniać – to prace nisko wynagradzane i niezbyt szanowane.

Natomiast bardzo wysoko ceni się, zarówno w sensie prestiżu, jak i wynagrodzenia, prace, które polegają na łupieniu innych, wykorzystywaniu ich słabości i tak dalej.

Na przykład?

– Wiele osób marzy o pracy influencerów, którzy milionom swoich followersów wciskają rzeczy, których ci kompletnie nie potrzebują. Albo o pracy bankierów inwestycyjnych lubiących ryzyko. Wydaje się jednak, że system bankowy został tak skonstruowany, że przeciętny człowiek, co kryzys 2008 roku dość dobrze pokazał, raczej na tych różnych operacjach traci, niż zyskuje. A inaczej mówiąc, tego rodzaju prace nie służą dobru większości, tak jak choćby pieczenie chleba, tylko dobru mniejszości. W dodatku odbywa się to kosztem innych – obniżając ich jakość funkcjonowania czy pomniejszając ich bogactwo.

A przecież gdyby pani sprzątaczką nie sprzątała w moim miejscu pracy, to byłoby ono tak brudne,



że ani ja, ani moi koledzy i koleżanki nie bylibyśmy w stanie wykonywać tego, co z taką dumą wykonujemy. O ludziach wywożących śmieci mówi się czasem pogardliwie, że babrzą się w gównie, ale co się dzieje, gdy ich zabraknie pokazał chociażby słynny strajk śmieciarzy w Neapolu. Smród i chaos.

Tymczasem w naszej rzeczywistości liczy się ten, kto jest silniejszy i kto ma więcej. A jak do tego doszedł, to już obojętne. Jak to się mówi – „petunia nie omleć”. Masz pieniądze, to wolno ci wszystko. Różnie można by to tłumaczyć.

To przez kapitalizm?

– Można tak powiedzieć, chociaż nawet ojcowie kapitalizmu uważali, że funkcjonowanie społeczne powinno zwiększać dobro ogółu. Można oskarżać o to patriariat, który eksponuje władzę i konkurencyjność. Można winić za to darwinizm społeczny, który stawia na siłę, choć przecież w krajach komunistycznych sytuacja jest bardzo podobna. W Chinach, postkomunistycznej Rosji czy w komunistycznej Korei też jest bardzo niewielka grupa potwornie bogatych beneficjentów i cała reszta.

Antropolog David Graeber w słynnej książce „Bullshit jobs. A theory” („Praca bez sensu”), pisze, że współczesność wytworzyła całą masę takich zawodów, które albo nie służą innym, albo wręcz działają na ich szkodę. Ale zauważa też, jak ważne jest dla ludzi poczucie sensu tego, co robią, i że większość jednak cierpi, jeśli go nie znajduje. Wygląda na to, że bohater „Perfect days” w swojej pracy ten sens widzi, a może nawet czerpie z niej jakąś przyjemność. Ale jest w tym filmie inny bohater, który tej pracy nie znosi. Kusi, żeby spytać, od czego to zależy, że jeden swoją nawet niewdzięczną pracę jest w stanie polubić, a drugi nie.

– To bardzo trudne pytanie i nie wiem, czy potrafię na nie odpowiedzieć. Także dlatego, że wcale nie mam pewności, czy praca, którą Hirayama wykonuje, jest dla niego przyjemna, czy możemy powiedzieć, że ją



FOUR FIVE IMAGES

lubi. Wydaje mi się, że nie tu jest postawiony punkt ciężkości.

A gdzie?

– W całej filozofii jego życia, którego praca jest tylko częścią. Poza pracą Hirayama robi inne rzeczy – chodzi do restauracji, kąpie się w łazni, czyta książki. Kupuje je w określonej cenie, nie mogą być droższe niż 100 jenów. Słucha określonej muzyki, z kaset. Pielęgnuje rośliny. Robi zdjęcia analogowym aparatem, potem je wywołuje – jedne odrzuca, inne chowa do pudełek. Jego życie w tym filmie przedstawione jest jako medytacja. Wszystko, co robi, robi z takim samym zaangażowaniem, a równocześnie jest niejako na zewnątrz tego. I w pewnym sensie nie da się u niego odróżnić czasu pracy od czasu poza nią.

Z pewnością czerpanie przyjemności z pracy to przywilej nielicznych. Choć na przestrzeni ostatnich 30 lat wielu różnych mówców motywacyjnych czy specjalistów od kariery starało się nas przekonać, że powinniśmy sobie znaleźć w życiu taką robotę, którą pokochamy...

...a wtedy nie przepracujemy ani jednego dnia.

– Dokładnie tak. Oczywiście są osoby, którym na skutek szczęśliwych zbiegów okoliczności i własnych wysiłków udało się uzyskać taki stan rzeczy czy też zarabiać na życie w ten sposób, bo to nam cały czas umyka, że praca wiąże się z tym, że musimy po prostu zarobić – na jedzenie, ubranie, rachunki, mieszkanie i tak dalej.

Natomiast większość ludzi nie bardzo może tak o sobie powiedzieć. Nie wspominając, że wielu z nich pracuje w warunkach, które w sposób przerysowany, ale każda karykatura ma coś w sobie z oryginału, pokazuje popularny serial „Office.pl”, czyli biuro. Jest tam więc i feudalny system relacji międzyludzkich, i reżim korporacyjny, i mobbing, i molestowanie. Wszystkie możliwe sytuacje, w których człowiek nie chce uczestniczyć, ale przede wszystkim to poczucie bezsensu, o którym pisze Graeber.

Czerpanie przyjemności z pracy to przywilej nielicznych

Dziś w wielu pracach trzeba się zmagać z tym, że nie da się w nich łatwo wykazać, że są pożyteczne. Łowca pierwotny przychodził do człowieka, który wyrabiał luki, brał luk i dawał mu w zamian na przykład dwie skóry. Wszyscy tę wzajemną korzyść czuli. Dziś o to poczucie jest znacznie trudniej, a czasem jest to niemożliwe.

Wspomniała pani, że Graeber pisze, iż praca bez sensu unieszcześliwia.

A nawet, że drąży „ranę na duszy”.

– Właśnie. Wyobraź sobie, że jeśli praca z racji swojego bezsensu jest bardzo frustrująca, do tego upokarzająca, to musi być demoralizujące doświadczenie. Bo przez to zostaje zaatakowane coś szalenie dla człowieka istotnego – potrzeba bycia dumnym ze swojego życia. Chcemy być dumni z tego, kim jesteśmy, bo jesteśmy tym, kim jesteśmy, dzięki temu, co osiągamy.

I nie mam tu na myśli wybijania się ponad innych czy rywalizacji, tylko poczucie, że to, co robimy, daje nam satysfakcję w różnych możliwych konfiguracjach. Na przykład: wykonuję ciężką pracę, która nie jest może przedmiotem wysokiego prestiżu, ale za to dzięki niej potrafię zadbać o rodzinę, powierzone mi zwierzęta czy stworzyć sobie inny świat, w którym będę robił to, co najbardziej lubię.

Dużo o tym pisał żyjący na przełomie XIX i XX wieku filozof i psycholog, też anarchista Edward



• **Bartłomiej Dobroczyński** (ur. w 1958 r.) – psycholog, dr hab., profesor nadzwyczajny w Instytucie Psychologii UJ. Członek zespołu miesięcznika „Znak”. Zajmuje się historią psychologii, psychopatologii i psychoanalizy, irracjonalizmem, a także sztuką i alternatywnymi ruchami kulturowymi.

Abramowski, który już wtedy zdawał sobie sprawę, że jest wiele gatunków zatrudnienia, o których trudno powiedzieć, że są użyteczne. I w związku z tym podsuwał pewne rozwiązanie – żeby spojrzeć na swoją trudną czy nielubianą pracę jako na coś, co pozwala na przykład podnieść jakość naszego funkcjonowania z rodziną, jakość naszych relacji społecznych w ogóle czy zainteresowań. Wtedy taka praca też służyć będzie „podtrzymywaniu stanu rzeczy”.

Oczywiście współcześnie jesteśmy bardzo zabiegani. Mówi się, o czym pani wspomniała na początku, że żyjemy w kulturze zapierdolu. Korporacyjny kapitalizm często wymaga od nas dyspozycyjności znacznie wykraczającej poza pięciodniowy tydzień pracy po osiem godzin dziennie. Ale to też jest bardzo ważny argument za dowartościowywaniem pracy jako takiej czy za stworzeniem różnego rodzaju usprawnień w tej dziedzinie – że w pracy po prostu spędzamy znaczną część życia.

Ostatnio coraz częściej mówi się o czterodniowym tygodniu pracy.

– Są też eksperymenty z dochodem podstawowym, żeby płacić ludziom niezależnie od tego, czy pracują, czy nie. Co ciekawe, przynajmniej wstępne badania pokazują, że osoby, które pobierają taki dochód, i tak często szukają sobie zajęć, bo właśnie chcą się czuć pożyteczne.

W Kuwejcie konstytucja zapewnia prawo do pracy, co oznacza, że jeśli ktoś chce zarabiać, to praca się dla niego znajdzie. Włoski dokumentalista Erik Gandini w filmie „Świat po pracy” pokazuje, jak to może wyglądać na przykładzie bohatera, który dostaje pracę tłumacza w jakimś urzędzie, a ostatecznie przez sześć lat codziennie ogląda filmy na Netflixie i gra w gry. Na początku się cieszy, że nic nie musi, ale z czasem czuje się coraz gorzej, aż zupełnie się załamuje.

– Ten przykład dobrze pokazuje, co się może stać, kiedy nie tylko uczyni się człowieka bezużytecznym, ale jeszcze bez przerwy stawia mu się tę jego bezużyteczność jakby w lustrze przed nim. Idzie pani do pracy, żeby nic nie robić, żeby się nudzić, zbijać baki – przecież to bez sensu.

Sartre powiedział kiedyś, że „nieboszczyk nie jest już w żadnej sytuacji”. Ja bym dodał, że człowiek martwy jest jedynym człowiekiem, który nie ma już żadnych zatrudnień, co oznacza, że marzenie o nicnierobieniu jest tak naprawdę marzeniem o śmierci.

Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie, więc tylko to przywołam. Jest taki wątek w psychologii, który powiada, że my, ludzie, nie wiemy tak naprawdę, co jest dla nas dobre, i zwykle wybieramy sytuację, które wydają się nam korzystniejsze, a ostatecznie okazują się dla nas mniej korzystne czy wręcz zgubne.

Na przykład marzymy o wygraniu dużej sumy w totka.

– A kiedy do tego dochodzi, to często pociąga za sobą tak nieoczekiwane wyzwania, że nie jesteśmy w stanie im sprostać. I w historii wygranych w totka jest wiele przykładów osób, które wygrały ogromne sumy, a potem przeżyły życie.

Filozof i psycholog William James powiedział kiedyś, tłumacząc z grubsza, że „działanie nie zawsze przynosi szczęście, ale nie ma szczęścia bez działania”.

Świetne!

– Inny psycholog Michał Csikszentmihályi, autor słynnej książki „Flow”, czyli „Przepływ”, w latach 70. XX wieku przeprowadził następujące badanie – setce osób pracujących zawodowo wręczono pagery, które w losowych momentach w ciągu dnia pikały, a wtedy te osoby miały zapisać, co robią i jak się czują. Co się okazało? Cytuję za Csikszentmihályim: „Niespodzianką okazało się, że ludzie znacznie częściej zgłaszali sytuację przepływu w pracy i o wiele rzadziej w czasie wolnym”. Innymi słowy, możliwe jest, że ludzie, którzy mają do wykonania czasem trudne zadania, częściej będą pochłonięci tym, co robią, do tego stopnia, że będą mieć poczucie, że zapomnieli o sobie, a rzeczywistość im sprzyja, częściej będą odczuwać z tego tytułu pozytywne emocje, spełnienie i dumę – bo tym właśnie jest stan przepływu – niż kiedy znajdują się w sytuacjach, które wydają się wymarzone, jak na przykład „pojedziemy na wakacje, będziemy całymi dniami leżeć w hamaku i bimbać”.

Nie wiem, jak pani, ale ja próbowałem to robić wiele razy.

Bimbać?

– Tak. I udaje mi się do trzech dni, potem jest klęska. Okazuje się, że dobrze wypoczywam wtedy, i myślę, że wielu ludzi ma podobnie, kiedy znajdę sobie jakąś aktywność, która ma sens i cel. Oczywiście to są inne aktywności niż te, których podejmuję się w pracy.

Nicnierobienie też jest bardzo potrzebne.

– Jasne. My tylko mówimy o tym, że to niekoniecznie jest dobry sposób na życie.

Stan przepływu to pozytywny stan, ale są zadania, do których musimy się zmusić, które wcale nam tego uczucia nie dają. Zdarza się jednak, że na końcu mamy z tego wysiłku ogromną satysfakcję.

– Ja bym powiedział, że tak się dzieje często, bo człowiek potrzebuje wyzwań i zadań. Niemiecki filozof Peter Sloterdijk nazywa to „ćwiczeniami i ascezami”, co w dużym skrócie oznacza, że cały czas musimy się starać robić różne rzeczy jak najlepiej oraz musimy sobie różnych rzeczy odmawiać. Taka wydaje się natura rzeczywistości – żyjemy w kosmosie, który napiera, bez przerwy pcha do przodu, tworząc nowe sytuacje, a wraz nimi nowe wyzwania. I możemy się albo biernie temu przyglądać i być poniewierani przez ten proces, albo próbować jakoś za tym podążać, modyfikując swoje funkcjonowanie.

Do objaśnienia tego nie trzeba zresztą filozofa. Weźmy rodzinę, w której jej członkowie mają różne obowiązki. Nie mówimy teraz o pracy, choć te obowiązki nałożone na siebie też są pracą – robienie zakupów, sprzątanie, wynoszenie śmieci, pranie, gotowanie, zajmowanie się dziećmi, starzącymi się rodzicami i tak dalej. Jeśli któryś z członków tej rodziny coraz bardziej by je zaniedbywał, coraz więcej zużywał, czyli na przykład przestałby wyrzucać śmieci, sprzątać swój pokój, wydawałby coraz więcej pieniędzy i brał pożyczki, co jest odwrotnością ćwiczeń i ascezy, to przecież doszłoby do katastrofy.

Kojarzy mi się to z badaniami, które pokazują, że dzieci, które od małego mają obowiązki domowe, lepiej sobie radzą w dorosłości, bo czują się bardziej kompetentne, sprawcze.

– Dostają też przez to różne umiejętności, w tym umiejętność zorganizowania sobie czasu, zrobienia czegoś – co niekoniecznie jest przyjemne, czego się nie chce zrobić.

Niemiecki psycholog Karl Gross, który w 1901 roku badał niemowlęta i zauważył, jaką radość sprawia im to, że na przykład machną rączką, a świat jakoś na to odpowie, czy dotkną zabawki, a ona się poruszy, nazwał to „przyjemnością z bycia przyczyną”. My chyba lubimy sprawiać, że rzeczy się dzieją?

– Nasza baza jako istot ludzkich jest bazą, której dojmującym, wszechprzenikającym poczuciem jest pocucie bezradności. Jako niemowlęta jesteśmy kompletnie zależni od otoczenia – od tego, czy zostaniemy nakarmieni, ubrani, ogrzani, przewinięci. I są takie quasi-psychologiczne rozumowania, które tłumaczą, dlaczego na przykład spacerowanie nas uspokaja – bo to jest wspomnienie pierwszej czynności, kiedy zrobiliśmy coś sami, kiedy właśnie poczuiliśmy swoją sprawczość.

Bardzo ciekawe.

– Kiedy dziecko po raz pierwszy włoży samo jedzenie do buzi, to ktoś musiał to jedzenie wcześniej przygotować. Kiedy samo założy ubranko, ktoś musiał mu to ubranko dać. A pierwsze kroki można zrobić nawet nago. Po prostu wstajesz i nagle... idziesz! Dzieje się to, co chcesz! Po prostu ekstaza, solówka Hendrixa!

Powiedział pan wcześniej, że bycie w ruchu uspokaja, a ja sobie pomyślałam, że praca też czasem może mieć taką właściwość. I nie myślę teraz o pracoholizmie, kiedy to praca staje się ucieczką

od innych, głębszych problemów, tylko o leczeniu przez pracę. Dla wielu ludzi wychodzących z kryzysów psychicznych bycie użytecznym, sprawczym czy poczucie przynależności przez pracę jest czymś niezwykle ważnym. Amerykański psychiatra Robert Drake uważa, że praca powinna być równorzędną interwencją w wychodzeniu z kryzysów psychicznych jak psychoterapia czy farmakoterapia.

– To jest bardzo stara koncepcja. Lekarz Jakub Józef Jakubowski w teście z 1830 roku „O metodzie leczenia psychicznej” wyróżnia trzy podstawowe metody oddziaływania na chorych psychicznie, są to: praca, nauka i zabawa. Z czego najlepsza jego zdaniem jest praca, ponieważ może: „zmusić chorego jakby w czarodziejskim świecie blakającego się do rozważenia siebie samego i przedmiotów otaczających, przywiązuje go do rzeczywistości, niszczy chęć próżniactwa, szkodenia sobie lub innym, niszczenia rzeczy, wstrzymać może najsukteczniej chęć do samobójstwa, wprawić go do posłuszeństwa, uległości i porządku, do przekonania go o koniecznej potrzebie zostawiania pod cudzym zarządzaniem. A im więcej ta praca zajmuje jego fizyczne siły, o tyle także więcej chorych do świata się przywiązuje i rzeczy go otaczające pilnie i rozważa”.

Wiele osób marzy o pracy influencerów, którzy followersom wciskają rzeczy, których ci kompletnie nie potrzebują.

Jakubowski pisze o zmuszaniu pracą do posłuszeństwa i uległości. Nie wiem, czy tego chcemy.

– To jest kwestia języka. On pisze „zniewolenie i podległość”, ale ja to odczytuję jako „relacje i odsamotnienie”. To znaczy, rozumiem to tak, że chodzi mu o to, iż fundamentalne dla człowieka są kontakty z innymi ludźmi i że w samotności znacznie trudniej się zdrowieje.

Jest takie brutalne powiedzenie w kręgu andyjskich rdzennych Amerykanów, że jeśli kondorowi odetniesz dziób, skrzydła albo nogi, to przestanie być kondorem. Jeśli człowiekowi odetniesz ręce, nogi i język, to nie przestanie być człowiekiem. Przestanie nim być wtedy, kiedy zabierzesz mu innych ludzi.

To jest dość radykalne postawienie sprawy, ale ono dobrze pokazuje, że cierpienie psychiczne, choroba psychiczna wyrzuca poza nawias. Oddziela od innych. Moment, w którym nawet jeśli jest pani w takiej zależności czy podległości, że dają pani różne zadania do wykonania i wydają polecenia, jest momentem, który jest de facto punktem wyjścia do bardzo ważnej informacji: „jesteś nam potrzebny”.

Myślę o tym, jak wiele osób pragnęłoby to usłyszeć. Nie tylko ci wychodzący z kryzysu. Badania pokazują zresztą, że tym, czego pracownicy często potrzebują przede wszystkim, żeby się lepiej poczuć w swoim miejscu pracy, jest docenienie, a niekoniecznie to, żeby tej pracy było mniej.

– Dla mnie jest oczywiste, że do tego, żeby ten nasz świat jakoś funkcjonował i by to połączenie bezradności i cynizmu, które przenika naszą codzienną filozofię, nie miało tak rażącej przewagi, potrzebujemy myślenia w kategoriach dobra wspólnego. Myślenia takiego, jakie jest u Brzozowskiego, że wszystko jest podtrzymywane przez wszystkich. A my często tego nie zauważamy, bo w naszej kulturze eksponuje się przesadnie końcowe elementy pracy.

To znaczy?

– Jak wychodzi wspaniały film, to mówi się o genialnym reżyserze czy genialnej reżyserce i kilku głównych aktorach, a przecież, żeby taki film mógł powstać, przykłada się do niego całe mnóstwo osób, co widać choćby w napisach końcowych, które często ciągną się przez kilka minut albo i dłużej. Inny przykład – zanim ten tekst trafi do czytelników i czytelników, muszą go przeczytać redaktorzy, korektorzy. Graficy muszą go zilustrować, drukarz wydrukować, ktoś go musi ustawić w internecie i tak dalej. Jesteśmy od siebie zależni. Nie da się tego ominąć. Trawestując pewne żydowskie powiedzenie, że „albo czeka nas trudna rozmowa, albo masakra”, powiedziałbym, że albo przed nami będzie wspólna praca, albo zagłada. Albo opowiemy się po stronie doceniania się nawzajem, wspierania, troszczenia się, trwania...

...albo?

– Po stronie niszczenia, destrukcji, poniżania i zwyciężania nad innymi.

Teraz mamy taki system, który niestety bardzo wysoko ceni te drugie rzeczy. Wręcz entuzjazmuje się nimi.

W dawnych wspólnotach one też się liczyły. Na przykład dla Komanczów bardzo ważne było, żeby byli wśród nich bardzo silni, asertywni wojownicy, którzy umieli obronić swój lud przed najazdem i zdobyć wystarczającą liczbę dóbr, które spowodują, że wspólnota będzie się rozwijała i żyła w dostatku.

Takie myślenie jest okej w czasach, kiedy to żyliśmy w niewielkich plemionach, które ze sobą na różne sposoby konkurowały, a wzajemne wojny nie prowadziły do totalnego wyniszczenia. Dzisiaj nie żyjemy w taki sposób. Dziś wszystko jest globalnie połączone. Mówi się, że jak Ameryka kichnie, to reszta świata ma grypę. I w takim świecie tego rodzaju podejście przy posiadaniu odpowiedniej technologii, jak na przykład broń jądrowa czy chemiczna, może spowodować na nas tylko katastrofę. Wiele osób twierdzi, że do niej zmierzamy, nie widać opamiętania. Być może tak jest, nie wiem, ale nie muszę do tego przykladać ręki, prawda? Mogę myśleć i działać inaczej.

Wczoraj obejrzałem dokument, który mną wstrząsnął. O Terry Masear, która od 20 lat prowadzi lecznicę dla kolibrów w Kalifornii. Ludzie bez przerwy zwożą jej ptaki, które zderzyły się z autami, wypadły z gniazda, osierocone kolibrze dzieci. Ma z nimi nieprawdopodobną relację – nadaje im wszystkim imiona, dogląda je, karmi pipetami, myje, socjalizuje ze sobą, uczy latać. A kiedy już dojdą do siebie, to je wypuszcza. Zaś tym, których nie udało się jej uratować, urządziła bardzo niesentymentalne pogrzeby.

Dlaczego mi pan o tym opowiada?

– Bo to jest jej praca, która jest służbą w najlepszym tego słowa znaczeniu. Terry Masear ma pewną wizję świata, która polega na doglądaniu tego, co jest. Tylko kogo to dziś przejmuje? Kogo obchodzą kolibry? Kogo obchodzi praca sprzątaczk? Nauczycielki w przedszkolu? Mówiliśmy o tym. To jest wszystko to samo – podtrzymywanie istnienia.

Użył pan ważnego i niemodnego słowa „służba”. Ciekawe, bo niedawno użył go również Vivek Murthy, naczelny lekarz Stanów Zjednoczonych. W teście na zakończenie swojej drugiej kadencji – „Moja pożegnalna recepta dla Ameryki” – pisał, że kluczem do zadbania o zdrowie, poczucie szczęścia i spełnienia jest odbudowa wspólnoty, której podstawą będą relacje, służba innym i wspólny cel.

– Brzozowski mówi, że w jakimś sensie jesteśmy stworzeni do pracy, a ja bym dodał, że i do współpracy. Praca i współpraca są naszą naturą na każdym poziomie – w rodzinie, związkach przyjacielskich, sąsiedzkich, erotycznych, każdych innych. Jeste-

śmy jak te mrówki, nie jak borsuki czy nosorożce.

Ktoś, kto jest mizantropem, nienawidzi ludzi, czyta w samotności książki i słucha muzyki, też żyje we wspólnocie. Bo ktoś te książki napisał, ktoś tę muzykę skomponował. Bez innych nie istniejemy. Nie ma od tego ucieczki. I będziemy postrzegać innych albo jako współtwórców tej wspólnoty, albo jako wrogów.

Wróć jeszcze do leczenia pracą. Rozmawiałam z kilkoma osobami, które żyją z chorobą psychiczną, i jedna nich powiedziała mi tak: „Pracą jest dla mnie sensem życia, terapią. Jest tym, co opisał Norwid w jednym ze swoich utworów: »piękno jest na to, by zachwycać do pracy, a praca by się zmartwychwstało«. Dodała też: „Ludziom po kryzysach zawsze przede wszystkim staram się pomóc wrócić do pracy, znaleźć pracę albo wrócić do nauki. Szukam też pomysłów na nowe zawody, bo rozumiem też, że źle dobrana praca może człowieka zniszczyć”.

– Problem w tym, że wiele osób nie może sobie pozwolić na dobrze dobraną pracę. Nie mają wyboru.

Biorą, co jest.

– Bo bezrobocie jest jeszcze dotkliwsze. Wiemy z historii, że okresy ogromnego bezrobocia były okresami wielkiej smuty i beznadziei.

Myśmy jeszcze o tym nie powiedzieli, ale przecież możliwy jest scenariusz, że technologie doprowadzą do takiej sytuacji, w której zatrudnienia będzie coraz mniej. Praca, którą ludzie dziś wykonują, zniknie, a bezrobocie stanie się normą.

Yuval Harari kilka lat temu na jednej z konferencji na temat przyszłości, gdzie dyskutowano m.in. o roli sztucznej inteligencji, powiedział dość kontrowersyjną rzecz, że w XXI wieku będziemy toczyć walkę przeciwko zbędności oraz że „dużo gorzej jest być zbędnym niż wyzyskiwanym”.

– Jest to kontrowersyjne, bo mamy tu do czynienia z mniejszym i większym złem. A z drugiej strony, trudno z tym polemizować. Jedną z najgorszych rzeczy, jaką człowiek może usłyszeć, jest „nie jesteś nam do niczego potrzebny/potrzebna”. Bo pocucie bycia częścią czegoś większego to istota bycia człowiekiem.

Wyświechtany przykład, ale dlaczego niektórzy, przechodząc na emeryturę, nagle tracą sens życia? No właśnie dlatego, że czują się całkowicie zbędni.

Co by pan powiedział komuś, kto żyje takim zwykłym życiem: raczej jest mu trudniej niż latwiej, ma pracę, którą niespecjalnie lubi, ale chodzi do niej z konieczności. Czy coś mogłoby przynieść mu ulgę?

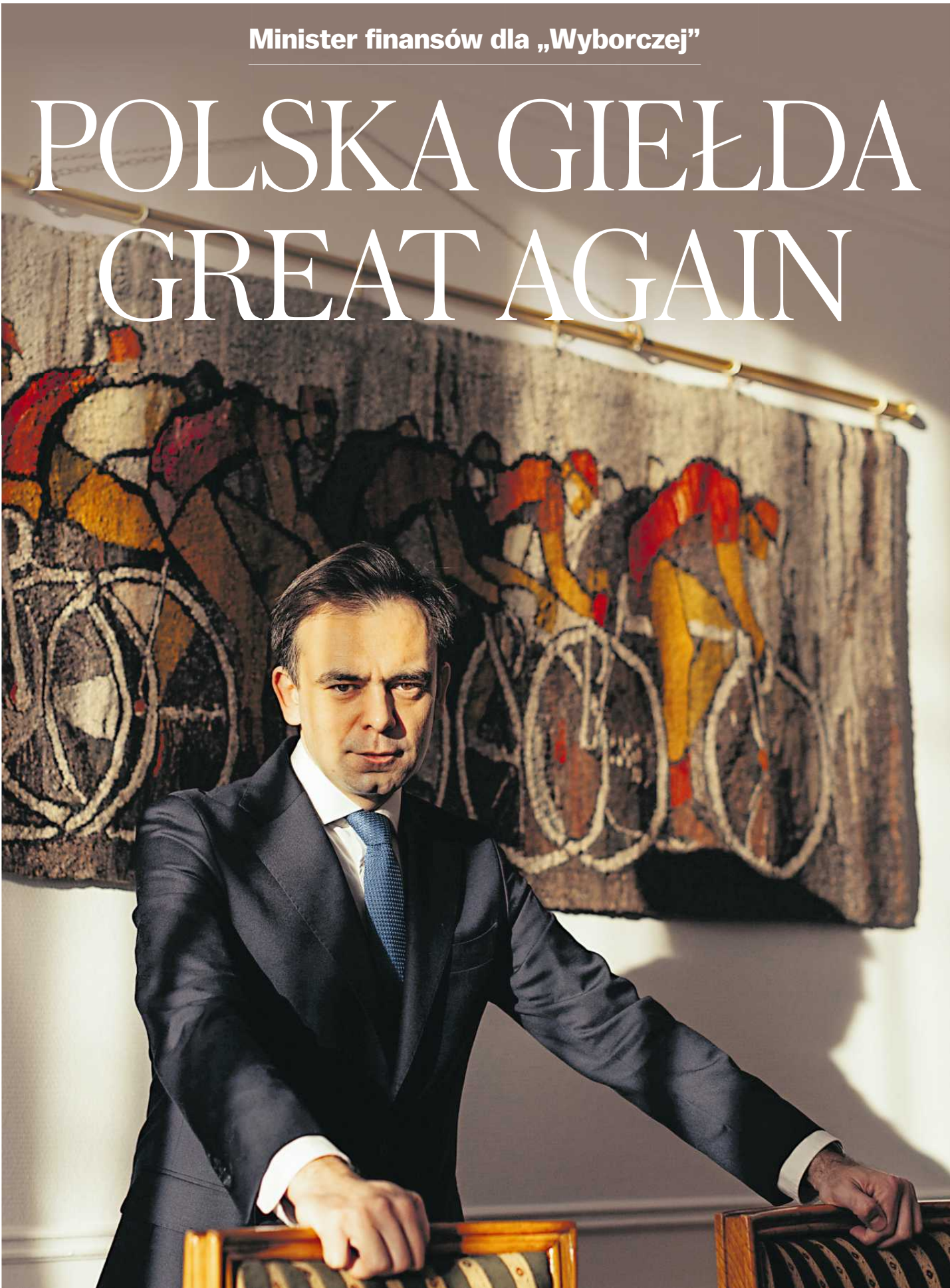
– Powiedziałbym chyba, że to jest kwestia fundamentalnej relacji do życia – czy jest po stronie życia, czy nie.

Nie wiemy, skąd się wzięliśmy ani dlaczego jesteśmy właśnie tutaj. Nie wiemy, dlaczego mówimy takim językiem, a nie innym, urodziliśmy się tu, a nie gdzie indziej. Nie wiemy też, co nas czeka, jeśli cokolwiek, po śmierci. Nic nie wiemy. Poza tym, że w pewnym momencie uświadamiamy sobie, że istniejemy i mamy do zagospodarowania pewien czas i pewną przestrzeń. Pytanie, co z tym zrobimy.

W judaizmie jest idea, która się nazywa „tikkun olam”. Zna ją pani?

Nie.

– Ona mówi, że naszym głównym zadaniem jest naprawianie świata. Istniejemy po to, żeby, jak odejdziemy, świat był lepszy, niż gdyby nas nie było. W jakim zakresie to robimy? Jak to będzie wyglądało? Czy to będzie polegało na pieczeniu chleba czy na sprzątaniu, czy na tym, że się zarządza tym czy innym? To już nie ma znaczenia. Liczy się przede wszystkim to polepszanie. ●



Minister finansów dla „Wyborczej”

POLSKA GIEŁDA GREAT AGAIN

FOT. DAVID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gdy widzę paczkomat InPostu za granicą, gdy czytam o Asseco czy ekspansji 4F, to jako Polak jestem dumny.

Z **ANDRZEJ DOMAŃSKIM**, MINISTREM FINANSÓW
ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI, SEBASTIAN OGÓREK**

SEBASTIAN OGÓREK, BARTOSZ T. WIELIŃSKI: Zaczijmy od najbardziej aktualnej kwestii. Wyplaci pan PiS subwencję partyjną?

ANDRZEJ DOMAŃSKI: Uchwała Państwowej Komisji Wyborczej, którą otrzymałem, jest wewnętrznie sprzeczna i budzi bardzo wiele wątpliwości. Nie tylko moich, ale też czołowych autorytetów prawnych w Polsce, że wymienię choćby prof. Ewę Łętowską, prof. Andrzeja Zolla, prof. Marka Safjana czy sędziego Wojciecha Hermelińskiego.

W samej PKW w tej sprawie brak jednomyślności. Moim obowiązkiem jest wyjaśnienie tych powszechnych

wątpliwości. Dlatego moja prośba jest zupełnie naturalna, by PKW powiedziała, co ta ich uchwała tak naprawdę oznacza.

No i jej przewodniczący sędzia Sylwester Marciniak panu odpowiedział, że uchwała oznacza, że musi pan wypłacić pieniądze.

– Ale to jest stanowisko tylko sędziego Marciniaka. Mamy też w tej sprawie opinię mecenasa Kalisza, mamy opinię profesora Balickiego, czyli członków PKW, którzy mówią, że oni by tych pieniędzy nie wypłacali. Więc jako osoba odpowiedzialna za finans publiczne, za pieniądze Polaków, mam obowiązek wyjaśnienia tych wątpliwości i liczę na to, że członkowie PKW niezwłocznie to zrobią.

A jeśli nie zrobią?

– Nie zakładam takiej sytuacji.

Czy nie jest to rodzaj teatru? Przecież Donald Tusk powiedział, że na jego oko pieniędzy nie ma i nie będzie.

– Tę opinię, którą premier w krótkiej formie opublikował w serwisach społecznościowych, później w znacznie rozbudowany sposób argumentowało

wiele autorytetów. Ale ja muszę mieć jasność i jednoznaczną podstawę prawną do wypłaty. Mówimy o środkach publicznych, a obejmując urząd, zobowiązałem się do tego, że biorę za nie pełną odpowiedzialność. To moje zobowiązanie wobec Polaków.

Ile razy rozmawiał pan o tej sprawie z premierem?

– Wielokrotnie. Premier zdaje się w pełni na moją ocenę sytuacji. A ja, jak wcześniej wspomniałem, muszę rozwiązać wszelkie wątpliwości tej uchwały.

Podobno podał się pan do dymisji.

– (*śmiech*) Niedoczekanie PiS-u i jego mediowych partnerów, którzy stali za tą marną prowokacją.

Nie jest pan zaskoczony tą awanturą? Zdecydował się pan na stanowisko ministra finansów, chciał zajmować gospodarką, a nagle wyładował pan w samym środku politycznej burzy?

– Jestem ekonomistą z doświadczeniem przede wszystkim na rynku kapitałowym, jako minister zajmuję się gospodarką, przewodniczę Komitetowi Ekonomicznemu Rady Ministrów. Ale członek rządu

z definicji jest politykiem i takim wyzwaniem też muszę sprostać.

Zrobił pan karierę jako finansista, jako wykładowca. Nie żałuje pan wejścia do polityki?

– Wręcz przeciwnie. Sprawy publiczne są dla mnie kluczowe. To, że mogę współodpowiadać za kraj, traktuję jako zaszczyt i przywilej. Uważam, że dla osób z doświadczeniem i wiedzą, jak działa gospodarka, jest jeszcze dość miejsca w polityce.

To, że jestem w rządzie, który dokonuje tak ważnych zmian, daje olbrzymią satysfakcję. Dzięki zwycięstwu 15 października 2023 r. zawróciliśmy Polskę na ścieżkę wzrostu gospodarczego. Prognozy Ministerstwa Finansów na rok 2025 mówią o wzroście 3,9 proc. To trzy razy więcej niż średni wzrost PKB w strefie euro. A chcemy, by był jeszcze większy. Dla porównania, gdy przemawialiśmy władzę, wzrost gospodarczy Polski wynosił 0,1 proc.

Co jest więc bardziej nieprzewidywalne – polityka czy rynki finansowe?

– Rynki finansowe mają pewne wzorce, mechanizmy, twarde, bazujące na matematyce reguły. Ktoś, kto tak jak ja pracował na giełdzie, zarządzał funduszami, te mechanizmy rozumie i potrafi je do pewnego stopnia przewidzieć. Poza tym one się cyklicznie powtarzają. Natomiast w polityce ciągle pojawiają się nowe zmienne, których istnienia nawet nie przewidywaliśmy cztery, osiem czy 12 lat temu. Przewidywalność na rynkach kapitałowych jest więc jednak nieco większa, ale jednocześnie bez wątpienia z tych samych powodów to polityka jest ciekawsza.

I chyba odpowiedzialność mniejsza. PiS grozi panu więzieniem za niewypłacanie subwencji.

– Nie dam się zastraszyć ani szantażować. Jestem spokojny, bo działam jedynie na podstawie i w granicach prawa. PiS-u nie można się bać. Próby zastraszania są wpisane w jego mentalność i w sposób, w jaki ta partia działała, gdy była u władzy. Te czasy jednak się skończyły i nie wrócą. W szczególności nie ma i nie będzie mojej zgody, by PiS zastraszal urzędników.

Zastraszał? Kogo? O co chodzi?

– Politycy PiS skierowali zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa wobec urzędników Ministerstwa Finansów, którzy wykonywali swoje zadania związane z wypłatą subwencji. Nigdy nie pytam, jakie moi urzędnicy mają poglądy polityczne. Bazuję na ich kompetencji i wiedzy.

A PiS-u nie interesują dokumenty i wyliczenia. PiS chce wywołać efekt mrożący.

Słyszeliśmy jednak, że te działania mają pewien rezonans. Podobno dział prawny ministerstwa niespecjalnie garnie się, by przygotowywać te odpowiedzi?

– Sianie plotek to kolejny element wojny z moim resortem, którą prowadzi PiS. Nie było takiej sytuacji, nikt czegoś nie opóźnia. Urzędnicy realizują zadania terminowo.

Co pan zastał w ministerstwie rok temu?

– Ministerstwo Finansów jest resortem, który z racji funkcji ma bardzo merytoryczny charakter pracy, gdy tu przyszedłem, byłem zbudowany wysokimi kwalifikacjami urzędników.

Nie było „misiewiczów”?

– Bardzo niewielu i szybko się z nimi pożegnaliśmy. Dużo gorsza sytuacja panowała w samej gospodarce. W białej księdze finansów publicznych opisaliśmy trwający osiem lat proces psucia finansów publicznych, proces wyprowadzania wydatków poza budżet i poza kontrolę parlamentarną. Krok po kroku to naprawiamy. Zwiększyliśmy transparentność, terminowo, 15. dnia każdego miesiąca, publikujemy informacje o wykonaniu budżetu. Zaczęliśmy publikować plany finansowe Banku Gospodarstwa Kra-



• **Minister Andrzej Domański na Dworcu Centralnym w drodze na pociąg do Katowic, gdzie odbywał się Europejski Kongres Gospodarczy. Warszawa 7 maja 2024.**

jowego. Uszczelniliśmy stabilizującą regułę wydatkową i uchwaliliśmy ustawę o Radzie Fiskalnej. Nie chcieli jej nasi poprzednicy. Polska jest ostatnim krajem, który wprowadza niezależne ciało patrzące ministrowi finansów na ręce, na przykład w procesie tworzenia założeń do ustawy budżetowej.

Byłem inicjatorem tej ustawy, bo uważam, że dla budowania stabilnych finansów publicznych taka zewnętrzna kontrola jest potrzebna. Wciąż jest sporo do zrobienia, ale krok po kroku będziemy naprawiać finanse publiczne.

No właśnie. Mamy dla pana do wyboru prezent – nożyczki do cięcia albo taśmę do klejenia kolejnych wydatków. Co pan wybiera?

– To fałszywy wybór.

Dlaczego?

– Bo my stawiamy na wzrost gospodarczy. Po 35 latach transformacji gospodarczej Polska, po uwzględnieniu parytetu siły nabywczej, jest piątą największą gospodarką Unii Europejskiej. To efekt reform z początku lat 90., wejścia do Unii, jednolitego rynku i napływu funduszy unijnych oraz bezpośrednich inwestycji zagranicznych. Do tego dochodzi duch polskiej przedsiębiorczości. Polska gospodarka jest w tej chwili przykładem wskazywanym na całym świecie.

Ale musi pan znaleźć w rok około 550 mld zł. Takie są potrzeby pożyczkowe Polski na 2025. Słowem są ogromne.

– Przedstawiliśmy nasze potrzeby pożyczkowe na ten rok. Rynek przyjął je ze spokojem.

Rentowność polskich obligacji rośnie w ostatnim czasie. Przebita została granica 6 proc.

– Tak, ale powoli zaczyna spadać. To po pierwsze. Po drugie, to w tym okresie rentowności rosły na całym świecie, m.in. w USA, Wielkiej Brytanii i innych krajach Europy. To nie był tylko nasz problem. A to z kolei miało związek z coraz mniejszymi szansami na cięcia stóp procentowych w Stanach Zjednoczonych.

Naszym celem pozostaje utrzymanie kosztu finansowania na możliwie najniższym poziomie, choć od trendów globalnych nie da się uciec.

To dlaczego zdecydowaliście się sprzedawać bony skarbowe?

– A dlaczego nie? Sprzedaży bonów skarbowych chciał od nas po prostu rynek. Inwestorzy wielokrotnie nas o nie prosili, więc odpowiedzieliśmy na to zapotrzebowanie. Przypomnę też, że bony skarbowe emitują Stany Zjednoczone, Francja, Niemcy czy Włochy.

W Polsce one pojawiały się głównie w momentach kryzysowych, część osób mówi o nich: „państwowe chwilówki”.

– Nie każdy musi mieć wiedzę o rynkach. Uspokajam, że to jedynie element budowania naszej płynności na rynku. Nie robimy tego na dużą skalę. Koszt finansowania tych instrumentów jest zbliżony do kosztu standardowych obligacji skarbowych.

Nie ma pan obaw, że w 2025 r. będzie problem ze znalezieniem popytu na około 550 mld zł polskiego długu? Czasy są niespokojne: nieprzewidywalny Trump, wojna handlowa, wojna w Ukrainie, a na naszym podwórku zaskakujące słowa i działania prezesa NBP Adama Glapińskiego.

– Dla mnie oczywiste jest to, że muszę analizować różne scenariusze, ale dziś zainteresowanie polskimi obligacjami skarbowymi jest duże. Spotykamy się z inwestorami zagranicznymi, ale widzimy, że cały czas jest też duży popyt ze strony polskich instytucji.

Kiedyś rentowność obligacji przebiegała 8 proc., teraz to mniej niż 6 proc. Dla mnie istotna jest dywersyfikacja inwestorów. Nie możemy i nie chcemy być zależni tylko od jednego typu inwestorów, np. od polskiego sektora bankowego czy innych polskich instytucji, ani tym bardziej od inwestorów zagranicznych.

Chciałbym podkreślić, że jako Polska mamy jeden z najniższych udziałów długu zagranicznego w całej Unii. Mamy też bardzo pozytywne prognozy gospodarcze co do naszego wzrostu, a rynek oczekuje spadku w Polsce stóp procentowych. W dodatku wizerunkowo wyglądamy znacznie lepiej niż jeszcze rok temu, mamy zdywersyfikowaną strukturę długu, a prócz tego rekordowy popyt na obligacje detaliczne kupowane przez Polaków.

Do tego wszystkiego dodajemy emisję bonów. Robimy to, żeby mieć płynność na wszystkich rynkach, żeby zwiększać swoją elastyczność. Być może pozwalać też wchodzić nowym grupom inwestorów na polski rynek. Uważam, że to dosyć odpowiedzialna polityka.

Nożyczki tu cały czas leżą. Przydadzą się do cięcia? Dług na ten rok jest rekordowy, jesteście też w procedurze nadmiernego deficytu.

– Nasz plan wychodzenia z niej został zaakceptowany przez Komisję Europejską. Zakłada, że w 2028 r. zejdziemy z deficytem poniżej 3 proc. Pokazaliśmy ścieżkę wydatków spójną ze stopniową redukcją deficytu. Została ona pozytywnie oceniona przez Komisję Europejską i w zeszły wtorek zaakceptowana przez unijną Radę ECOFIN [Rada do spraw Gospodarczych i Finansowych, odpowiada za unijną politykę gospodarczą, kwestie podatkowe i regulację usług finansowych]. Krok po kroku będziemy ten deficyt ograniczać.

W tym miejscu warto jednak przypomnieć, że objęcie Polski procedurą nadmiernego deficytu dotyczy roku 2023, czyli rządów PiS.

Proces naprawy oczywiście wymaga czasu, ale wyjdziemy z tego dzięki kolejnym motorom wzrostu.

Panie ministrze, przesunę bliżej te nożyczki. Mówi pan o dodatkowych szansach na zyski, ale co, jeśli one się nie zrealizują? Jeśli te optymistyczne prognozy trzeba będzie rewidować w związku z prezydenturą Trumpa, wojną celną, problemami Niemiec?

– Nie planujemy cięć wydatków i jak pokazaliśmy w planie, nie jest to wymagane do wyjścia z procedury nadmiernego deficytu. Przy rosnącej gospodarce wystarczy do tego kontrola tempa wzrostu wydatków. Nasze prognozy wzrostu gospodarczego są realistyczne. Bazując na analizach opracowanych przez ekspertów pracujących w ministerstwie, uważamy, że polska gospodarka wciąż ma duży niewykorzystany potencjał wzrostowy. Swoją drogą ostatnio opublikowane prognozy Banku Światowego oraz Międzynarodowego Funduszu Walutowego są bardzo zbliżone.

Obserwuję dane dotyczące sprzedaży detalicznej, produkcji przemysłowej czy polskiego eksportu. Osobiście oczekuję stopniowej, ale jednak poprawy sytuacji gospodarczej w strefie euro, w tym u naszego największego partnera handlowego.

Oczywiście te ryzyka, o których pan wspomniał, zawsze istnieją. Przecież w ostatnich latach wystąpiły takie, które nam się nawet nie śniły. Wolę zakładać różne scenariusze, niż usnąć swoją czujność, myśląc, że idzie świetnie.

Ja mam wrażenie, że jedziemy na krawędzi. Jeśli ziszczą się czarne prognozy, to nie nożyczki, ale nożyce będą potrzebne. Tymczasem nakłada się na to kalendarz wyborczy: najpierw w 2025 r. wybory prezydenckie, a dwa lata później parlamentarne.

– Powtórzę, widzimy szansę na wysoki wzrost gospodarczy w Polsce, a przy rosnącej gospodarce wystarczy kontrola tempa wzrostu wydatków. Komisja Europejska też zaakceptowała naszą ścieżkę wydatków oraz ścieżkę, w której deficyt spada. Nie ma mowy o żadnej jeździe na krawędzi – nasz dług publiczny w relacji do PKB pozostaje znacznie poniżej średniej unijnej, a stabilność finansów publicznych opiera się na solidnych fundamentach gospodarczych i odpowiedzialnych działaniach.

To teraz przesunę bliżej taśmę klejącą. Ona może pomóc dokleić jakiś nowy podatek...

– Nie pracujemy nad nowymi podatkami.

Leszek Balcerowicz rwie jednak włosy z głowy, kiedy patrzy na polską politykę fiskalną: domaga się ustabilizowania budżetu i cięcia wydatków. Jak pan odbiera jego krytykę?

– Ja nie jestem doktrynerem. Jestem pragmatykiem. Uważam, że recepty prof. Balcerowicza na gospodarkę uosabiane przez te nożyczki po prostu nie są właściwe. Potrzebujemy w tej chwili wspierania inwestycji, wspierania wzrostu gospodarczego, a doktrynerskie podejście byłoby dla polskiej gospodarki wręcz szkodliwe. Więc słyszę tę krytykę, natomiast się z nią fundamentalnie nie zgadzam.

W 1989 r. wiedzieliśmy, dokąd zmierzamy. Na Zachód. Tak samo było, gdy weszliśmy do UE w 2004 r. A teraz?

– Dalej wiemy, czego chcemy. Mamy aspiracje i zobowiązania wobec przyszłych pokoleń. Polska gospodarka ma siłę i potencjał, żeby w ciągu dziesięciu lat dogonić średnią dla Unii Europejskiej, jeżeli chodzi o PKB w przeliczeniu na mieszkańca. A może nawet trochę szybciej.

Nasz cel to jednak więcej niż tylko doganianie Zachodu. Chcemy budować Polskę jako lidera gospodarczego Europy, dynamiczne i innowacyjne centrum inwestycji. Polska ma również ambicje, aby w przy-

szłości stać się członkiem G20, co byłoby potwierdzeniem naszej pozycji na globalnej mapie gospodarczej.

Aby to osiągnąć, musimy konsekwentnie realizować ambitną politykę rozwojową, przyspieszać inwestycje w nowoczesną infrastrukturę i technologie oraz wspierać ekspansję polskich firm na rynki globalne. Kluczowe będzie również zwiększenie udziału inwestycji prywatnych, które napędzają innowacyjność, tworzą lepiej płatne miejsca pracy i poprawiają jakość życia Polaków. Polska ma szansę stać się kluczowym hubem logistycznym i produkcyjnym dla całej Europy, wykorzystując swoje strategiczne położenie i potencjał gospodarczy.

Przed nami wiele pracy, bo na początku musieliśmy skupić się na uporządkowaniu bałaganu. Poprzednicy zostawili państwo i gospodarkę w stanie wymagającym naprawy w wielu kluczowych obszarach. Teraz przechodzimy do realizacji bardziej ambitnych planów.

Jak to zrobić? Kończą nam się premie wynikające z demografii, funduszy unijnych. O wzrost będzie coraz trudniej.

– Mamy potencjał, żeby być w grupie 20 najbardziej rozwiniętych gospodarczo państw na świecie. Mamy nadal duże zasoby do zwiększenia produktywności, jesteśmy dobrze wykształconym społeczeństwem, a Polacy wykazują ogromną przedsiębiorczość i ambicję, by rozwijać swoje firmy. Chce nam się działać, a ekspansja na nowe rynki to tylko jeden z kierunków. To my będziemy współdecydować o tym, jak będzie wyglądał europejski model gospodarczy. Mówię o tym z pełną odpowiedzialnością.

W ciągu ostatniego półtora miesiąca przygotowań do prezydentencji odbyłem rozmowy z praktycznie wszystkimi ministrami finansów UE i komisarzami odpowiedzialnymi za gospodarkę. Wszyscy wiedzą, że Europa musi skończyć z taką swoistą gospodarczą naiwnością. Z wiarą w to, że Stany Zjednoczone mogą być liderem nowych technologii, Azja może być liderem produkcji, a my zapewniłszy sobie miejsce lidera w... regulacjach. Europa musi wyjść poza tę ramę i sięgać po ambitne cele, wzmacniając pozycję w globalnej konkurencji, podnosząc innowacyjność oraz tworząc warunki do trwałego wzrostu gospodarczego. Bez dwóch zdań regulacje zbyt mocno krępują europejską gospodarkę.

Podczas Rady ECOFIN rozmawiałem z Valdisem Dombrovskisem, komisarzem odpowiedzialnym za deregulację. Mówiłem, że Polska jest zdeterminowana, by w trakcie naszej prezydentencji pójść mocno do przodu, jeśli chodzi o regulacyjne uproszczenia, o zdjęcie ze stołu propozycji, które mogą jeszcze ciśniej krępować nasz biznes. Jako przewodniczący jasno przedstawiłem ten postulat na Radzie i będzie on jednym ze stałych punktów każdej Rady ECOFIN podczas naszej prezydentencji.

Ale regulacje same w sobie nie są złe. Chronią europejskich konsumentów, wymuszają najwyższą jakość produktów i usług.

– Część regulacji jest z całą pewnością potrzebna. Zapewnia nam bezpieczeństwo. Tego nikt nie kwestionuje. Część jednak może być zbędna. Podam przykład związany z rynkiem finansowym. Tak bardzo utrudniłszy oszczędzanie poprzez produkty z większą ekspozycją na ryzyko, że w Europie brakuje takiego kapitału na inwestycje. Dlatego Komisja Europejska chce przejrzyć przepisy pod kątem tego, co jest potrzebne, a co nie. Nasze regulacje muszą przystawać do tego, z czym mierzą się firmy w innych częściach świata. Bo za chwilę będzie tak, że będziemy mieć przeregulowaną i kurczącą się gospodarkę. Albo postawimy z powrotem – jako Europa – na wzrost gospodarczy, albo nie będzie sprawiedliwej transformacji energetycznej, nie będzie polityki spójności, nie będzie wspólnych wydatków na obronę. Wszystkie te polityki są warunkowane siłą europejskiej gospodarki.

Ale dlaczego inne kraje UE miałyby posłuchać Polski w sprawie deregulacji? W sprawie rosyjskiego gazu długo nas nie słuchano.

– Myślę, że Europa jest na etapie pozbywania się złudzeń odnośnie do gospodarki, tak jak wcześniej przyznała się do błędu, jakim było uzależnienie się od rosyjskiego gazu. Teraz coraz więcej państw Unii zdaje sobie sprawę z tego, że uzależnienie się od rynków eksportowych w państwach autorytarnych jest również błędem.

Przeregulowanie europejskiej gospodarki to powszechny pogląd wśród ministrów finansów państw UE. Tak wynika z moich rozmów. Mamy kilkakrotnie więcej regulacji niż w USA. I to jest problem dla europejskich firm. Jeżeli one będą się wyprowadzać z produkcją do Azji czy do Stanów Zjednoczonych, to emisje CO2 nie spadną. Będą takie same, a my będziemy tracić dobre miejsce pracy.

Europa musi skończyć z gospodarczą naiwnością. Z wiarą w to, że Stany Zjednoczone mogą być liderem nowych technologii, Azja liderem produkcji, a my zapewniłszy sobie miejsce lidera w regulacjach

Pierwszym testem dla Polski będzie uzgodnienie wydatkowania środków na obronność. Czy kraje UE zgodzą się, by za unijne pieniądze kupować sprzęt wojskowy poza Unią, np. w Stanach Zjednoczonych czy Korei?

– Polska ma w tej sprawie niezwykle silny mandat, bo na obronę wydajemy najwięcej w całym NATO, aż 4,7 proc. PKB. Ponad 50 proc. idzie na faktyczne zakupy i modernizację sprzętu, podczas gdy średnia w NATO to nieznacznie ponad 30 proc. Oczywiście musimy mieć silny europejski przemysł zbrojeniowy jako część nowoczesnej europejskiej gospodarki. Często to on jest nośnikiem zmiany technologicznej, więc po prostu jest nam potrzebny. Chcemy przecieć, by Unia Europejska była silna. Ale też chciałbym, aby w tym obszarze Polska miała swój udział.

Nie widzi pan ryzyka, że się o to w Unii pokłóćimy, bo kraje z rozwiniętym przemysłem zbrojeniowym będą miały inne interesy niż Polska?

– Unia to oczywiście zderzanie interesów, ale i współpraca. Jeżeli chodzi o przemysł zbrojeniowy i budowę bezpieczeństwa, to myślę, że wypracujemy wspólne stanowisko. Polska też musi wyraźnie zwiększyć potencjał krajowego przemysłu obronnego.

Na czym będzie opierać się wzrost w Polsce?

– W 2025 r. nie będzie to już tylko konsumpcja, ruszy silnik inwestycji. Głównie będzie miało to związek ze środkami unijnymi, ale liczę także na to, że będą to również inwestycje prywatne. Pracujemy nad tym. Odblokowanie środków z Krajowego Planu Odbudowy i dodatkowe subwencje dla samorządów znacząco zwiększą inwestycje publiczne, w tym także w infrastrukturę kolejową i drogową. Nasze działania na pewno wzmocnią dynamikę wzrostu i stworzą dodatkowe impulsy dla gospodarki. Pamiętaj-

my, że tych środków by nie było, gdyby nie rząd Donalda Tuska, dla którego odblokowanie środków z KPO było jednym z kluczowych priorytetów.

Ale środki płynące z KPO wkrótce się skończą. A za jakiś czas będziemy więcej płacić do unijnego budżetu niż z niego do-stawać.

– To ciągle odległa perspektywa. W 2025 r. oczekujemy wzrostu inwestycji samorządowych. W zeszłym roku wzmocniliśmy je kwotą 10 mld zł. Weszła też w życie reforma finansowania samorządów, dzięki której już w tym roku będą miały o 25 mld zł więcej. Będą więc pieniądze na wkłady własne do projektów realizowanych z udziałem środków unijnych. Środki KPO są ważnym elementem wspierającym inwestycje publiczne, ale już dziś przeważająca większość tych inwestycji jest finansowana ze środków krajowych.

wych, m.in. w drodze zmian legislacyjnych i interpretacji ogólnych.

Wiemy też, że zaufanie przedsiębiorców do organów i systemu podatkowego nie jest takie, jak byśmy oczekiwali, więc pracujemy nad tym.

W sposób?

– Chociażby poprzez zmiany legislacyjne w kwestii przedawnień podatków. Nie może być tak, że przedsiębiorca nie jest pewny, czy nawet za drobne nieprawidłowości sprzed 10 czy 15 lat nie przyjdzie kontrola skarbo-wa. To się musi skończyć. Administracja podatkowa z wykorzystaniem dostępnych obecnie danych i narzędzi informatycznych jest w stanie egzekwować należne podatki w ustawowym pięcioletnim terminie.

Chcę jednak powiedzieć bardzo wyraźnie, że my musimy mieć narzędzia i skupić się na wykrywaniu poważnych przestępstw, takich jak np. mafie VAT-owskie, a nie na drobnych często omyłkowych działaniach uczciwych przedsiębiorców.

PiS chwalił się, że je zlikwidował.

– Jak się zbije termometr, to nie oznacza, że nie ma gorączki. PiS nie zlikwidował, tylko ograniczył wykrywalność największych afer. Widać to chociażby na przykładzie procedury fikcyjnych faktur. Spośród rekordowych 220 tys. ujawnionych przez KAS w ciągu III kwartału 2024 roku tylko 2,1 tys. sztuk było wystawionych w 2024 r. To oznacza, że pozostałe fikcyjne faktury, ponad 218 tys. sztuk, czyli ponad 99 proc. wszystkich nielegalnych faktur, znalazło się w obiegu prawnym w latach wcześniejszych rządów, ale nie zostały wtedy wykryte przez właściwe organy i służby.

Prezes Santander Michał Gajewski i szef giganta konsultingowego EY Jacek Kędzior w wywiadzie dla „Wyborczej” mówią tak: Unia Europejska to wspaniały twór, ale perspektywy ma słabe. Polskie firmy powinny szukać rozwoju poza nią: w Azji, w Ameryce Północnej i Południowej. To rzeczywiście kierunek i wyzwanie dla polskich firm?

– Oczywiście jest to jeden z kierunków rozwoju, a my jako państwo powinniśmy w tym pomóc. Właśnie dlatego na zakończonym w zeszłym tygodniu forum w Davos spotkałem się między innymi z ministrami finansów RPA, Indonezji oraz Tajlandii. Może się nam wydawać, że to kraje egzotyczne, ale to rynki liczące łącznie około 410 mln ludzi. Działając tu i teraz, nie możemy nigdy zapominać o perspektywnym myśleniu o przyszłości. Naszym zadaniem jest budowanie siły polskiej gospodarki i modelu wzrostu na pokolenia, więc musimy być otwarci na nowe możliwości.

Gdy widzę paczkomat InPostu za granicą, gdy czytam o Asseco czy ekspansji 4F, to jako Polak jestem dumny. Rolą rządu jest tworzenie warunków, aby takich sukcesów było więcej i aby polskie firmy stawały się coraz silniejszym graczem na globalnych rynkach.

Moja odpowiedzialność to nie jest tylko zapewnienie środków na bieżące wydatki, ale też tworzenie perspektyw, żeby za pięć czy dziesięć lat polskie firmy miały warunki do skutecznego rozwoju, ekspansji na globalne rynki i budowania pozycji w światowej gospodarce.

Zatrzymajmy się jednak na tu i teraz. Donald Trump właśnie objął urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jak pan widzi relacje polsko-amerykańskie?

– Zacznę od tego, że jako Polska mamy ze Stanami Zjednoczonymi bardzo dobre relacje. I one nie ulegają zmianie niezależnie od tego, kto jest u steru amerykańskiej administracji. To wynika z kilku powodów. Mamy wspólne interesy, choćby związane z obronnością. Stany Zjednoczone są jednym z naszych kluczowych partnerów gospodarczych, a współpraca handlowa i inwestycyjna stale się rozwija, co wzmacnia nasze więzi ekonomiczne. Polskę i USA łączy wspólne zaangażowanie w promowanie bezpieczeń-

stwa energetycznego, m.in. poprzez dostawy LNG, które zwiększają naszą niezależność od dostaw z innych kierunków.

A jaki jest nastrój na ECOFIN, czyli spotkaniach ministrów finansów krajów Unii, którym przewodniczy pan przez najbliższe pół roku?

– W kontekście wypowiedzi prezydenta Trumpa myślę, że wszyscy się zgadzają, że Unia musi pozostać zjednoczona, wzmacniać swoją konkurencyjność i traktować Stany Zjednoczone jako strategicznego partnera. Tymczasem widzimy, że europejska gospodarka stanęła. Wszyscy powołujemy się na raport Maria Draghiego [ekspremier Włoch i były szef Europejskiego Banku Centralnego, który uratował strefę euro] o słabościach europejskiej konkurencyjności i rynku kapitałowego względem innych globalnych gospodarek, na raport Enrica Letty dotyczący nadmiernych regulacji na rynku wewnętrznym czy raport Christiana Noyera nawołujący do stworzenia unii kapitałowo-inwestycyjnej – dla mnie bardzo istotny – i wszyscy chcą na ich bazie reformować UE.

Te geopolityczne zmiany stanowią szansę na to, żeby pewne tematy w Europie przyspieszać. Dziś kluczowe jest uproszczenie regulacji, reforma finansowania, która umożliwi wzmocnienie europejskich przedsiębiorstw oraz wsparcie dla innowacji.

Mówi pan o innowacyjności, ale pieniędzy na nowy instytut technologiczny profesora Sankowskiego nie ma. W serwisach społecznościowych światowej klasy badacz rozmawia o tym z Rafałem Brzoską, twórcą InPostu. Nie ma nic złego w tym, że jeden z najbogatszych Polaków i innowator miałby wesprzeć polską flagową jednostkę badawczą, lecz pytanie brzmi: dlaczego nie możemy jako państwo, które chce uciec z pułapki tzw. średniego rozwoju, znaleźć pieniędzy dla takich fachowców?

– Osobiście zawsze będę wspierał inwestycje w nowoczesne technologie, w tym w AI. Kilka dni temu widziałem się z prof. Piotrem Sankowskim, jednym z najbardziej liczących się w Europie informatyków i badaczy AI. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, że rolą państwa jest rozwój innowacyjnych rozwiązań. To dla rządu premiera Donalda Tuska absolutny priorytet.

Jesteśmy zdeterminowani, żeby zwiększać też wydatki na naukę. Dlatego przekazaliśmy dodatkowo kwotę pół miliarda złotych na dofinansowanie Narodowego Centrum Nauki. I mogę obiecać, że będziemy podejmować kolejne działania.

A sam pan używa narzędzi AI w pracy?

– W Ministerstwie Finansów oraz Krajowej Administracji Skarbowej wykorzystywane są różne narzędzia bazujące na sztucznej inteligencji. Postrzegamy AI jako narzędzie usprawniające pracę, które bezpiecznie wdrażamy, jednocześnie zapoznając pracowników z ryzykiem, jakie niesie.

W moim resorcie AI wspiera pracownika w codziennej pracy dzięki zabezpieczonej platformie generatywnej AI, ale nigdy nie podejmuje za niego decyzji. Jednym z ciekawych narzędzi z wykorzystaniem AI jest system OKO-RTG, który pomaga celnikom wykrywać przemyt towarów.

Wywodzi się pan z rynku kapitałowego. Tu też planował pan zmiany, wręcz strategię.

– Powstaje cały pakiet reform. Nie muszę tego nazywać strategią. Chcę dokonywać faktycznych, realnych zmian, aby uczynić polski rynek kapitałowy atrakcyjnym źródłem pozyskiwania pieniędzy dla polskich firm. Sektor bankowy ma środki, ale nie jest w stanie udzielić finansowania niektórym rodzajom przedsiębiorstw, szczególnie tym, które potrzebują kapitału wyższego ryzyka. Tę funkcję powinien zacząć wypełniać rynek kapitałowy.

Jednym z elementów tego pakietu jest oczywiście podatek od zysków kapitało-

wych, czyli tak zwany podatek Belki. Chciałbym, żeby w 2026 roku ten podatek był ograniczony. Podkreślę: nie zlikwidowany, ale ograniczony. Ale tak jak wspomniałem, to element większej układanki.

Jeśli chodzi o giełdę, to mamy kryzys. Pojedyncze debiuty giełdowe, brak napływu nowych inwestorów.

– Kryzys to trochę za mocno powiedziane. Chciałbym, żeby debiutów było więcej, żeby najbardziej konkurencyjne polskie spółki, w szczególności te małe i średnie, chciały wchodzić na giełdę po to, żeby pozyskiwać kapitał. To one powinny stanowić o sile polskiej giełdy, a niekoniecznie spółki kontrolowane przez skarb państwa. I myślę, że tak się stanie. Będziemy przedstawiać konkretne rozwiązania w najbliższym czasie. Chociaż trzeba mieć świadomość, że podobne problemy dotyczą giełd w całej Europie. Nie znaczy to jednak, że nie można spróbować odwrócić tego trendu. Już dziś na warszawskim parkiecie są mocne spółki, które dzięki GPW zbudowały swoją siłę. Chcemy uczynić „polską giełdę great again”.

Także dla drobnych inwestorów, którzy pojawiali się 10-15 lat temu przy dużych debiutach?

– Oczywiście, drobni inwestorzy są ważną częścią rynku i chcemy ich przyciągnąć z powrotem. Nowe rozwiązania będą tworzone również z myślą o nich.

W polityce sporo wyzwań, w gospodarce też. Odreagowuje pan grą w szachy?

– Ostatnio mniej gram, mniej trenuję, mniej oglądam streamów na YouTube. Choć oczywiście – i mogę to powiedzieć głośno – kibicuję Dudzie [chodzi o Jana Krzysztofa Dudę, najbardziej utytułowanego polskiego szachistę w historii].

W rankingu portalu Chess.com lekko pan ostatnio spadł. Jednak z trzech ostatnio rozegranych partii dwie pan wygrał.

– A panowie też grają?

Nasze rankingi nijak się mają do pana. Ja mam 1300, a pan 1700. To przepaść.

– Ostatnio trochę straciłem w rankingach. Muszę to nadgonić. Kilka miesięcy temu miałem okazję zagrać jednak z Garrim Kasparowem. Przegrałem, ale od polskich arcymistrzów dostałem później informację, że wstydu nie było w tej partii. Mile wspomnienie. A jakie otwarcia pan gra?

Najczęściej staram się grać partię włoską i obronę sycylijską.

– Czarnymi też wybieram obronę sycylijską, gram wariant przyspieszonego smoka, a białymi gram partię szkocką.

W szachach jest ustawienie określane mianem widełek, czyli sytuacja, w której musimy poświęcić jedną figurę. Może u pana z pieniędzmi dla PiS to są takie widełki? Albo podpadnie pan premierowi i swojemu obozowi politycznemu, albo nie wypłaci tych pieniędzy i narazi się na odpowiedzialność osobistą?

– Nie, przepraszam, ale to fałszywa analogia. Ja nie mam tu wyboru, muszę działać w granicach prawa. Czekam na wyjaśnienia ze strony Państwowej Komisji Wyborczej.

Andrzej Domański – ur. w 1981 r., ekonomista, minister finansów. Skończył ekonomię na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie. Wiele lat działał na rynku kapitałowym, najpierw jako analityk, potem zarządzał funduszami inwestycyjnymi, był dyrektorem i członkiem zarządu w instytucjach finansowych, m.in. w Banku BPH, w Towarzystwie Funduszy Inwestycyjnych Noble Funds i Eques Investment. Wykładał finanse na Uczelni Łazarskiego i na Uniwersytecie SWPS. Aktywność polityczną rozpoczął w Młodym Centrum, młodzieżówce Unii Wolności. Dołączywszy do PO, został głównym ekonomistą i wiceszefem jej think tanku, Instytutu Obywatelskiego. Zajmował się energetyką, współtworzył program gospodarczy PO. ●

Zakazane słowo na „p”

Nowa „architektura wyboru” nie ogranicza twoich decyzji, zakłada jednak, że możesz być głupi



Marcin Matczak

Czy wypada kogoś jednocześnie bronić i krytykować? Dzisiaj absolutnie nie, zaraz cię oskarżą o rozdwojenie jaźni. W czasach walki plemiennej nie można być miękkim. Niuans to zdrada, a tę każe się surowo, najczęściej sankcją typu „BB” czyli banicją z bańki, która, co ciekawe, wcale nie musi być karą, tylko błogosławieństwem otwierającym oczy.

Tydzień temu broniłem WOŚP przed atakami prawicy i lewicy. Dzisiaj chcę zrozumieć pravicową alergię na „Róbta, co chceta”. Bo choć ta agresywna grupa hejterów, którzy fabrykę nienawiści przenieśli z telewizji publicznej do „republikańskiej”, atakuje Owsiaka dla politycznego zysku, są i tacy, którzy krytykują go z pozycji rozsądnych. Dla nich Owsiak to osoba, która ma ogromny wpływ na młodzież. Czy więc Owsiakowa wersja słów św. Augustyna („Kochaj i rób, co chcesz”) nie promuje zbyt daleko idącej wolności, mówią? I dlaczego pomija „kochaj”?

Nie pomija – cała Orkiestra jest jedną wielką miłością. To w jej kontekście wyzwała się od 30 lat młoda energia, która niesie dobro. Ale dzisiaj słowa łatwo wyrrywają się nam z kontekstów. W badaniach młodzi coraz częściej deklaruja, że nie wiedzą, co robić, więc „róbta, co chceta”, rozumiane jako pochwała nieograniczonej wolności, niesie myśl jednocześnie pustą i niebezpieczną.

Niebezpieczną przede wszystkim politycznie – bo nie potrafi ona konkurować chociażby z propozycjami Konfederacji, na którą młodzi ludzie coraz częściej głosują. Jak Artur z „Tanga” mają dość wolności bez formy, chaosu opcji i wizji, na który nikt nie potrafi nałożyć struktury. Zachęcani, by dokonywać wyborów, w których nie ma hierarchii, bo ponoc wszystkie są dobre, dają się nabrać na karykaturę tradycjonalizmu w postaci posła Brauna i jego „Szczęść Boże”. Podziwiają zasadniczość Mentzena w sprawach aborcji i stosunku do Ukraińców, zadziwiają ich sprawność, z jaką konfederaci jednocześnie udają talibów i wolnościowców.

I tak „róbta, co chceta” przegrywa ze „Szczęść Boże”, co liberałów powinno zastanowić. Popatrzenie na prezydenckich kandydatów – na fali strachu przed PiS, która z czasem przecież osłabnie, wciąż liderem jest Trzaskowski, a więc w uproszczeniu wizja wolności bliska Owsiakowi. Ale za nim są niemal wyłącznie kandydaci pravicowi, a przynajmniej o wiele bardziej konserwatywni niż on. Poparcie dla kandydatów lewicy jest znikome, co pokazuje rozjazd między polskimi „elitami” a polskim „suwerenem”. W mediach i na uniwersytetach postępowo jak zawsze, przy urnach coraz bardziej konserwatywnie. W końcu i u nas jest Ameryka!

Wizja człowieka oparta na „wolności od”, na braku ograniczeń, jeszcze się trzyma, ale jak długo? Czy będzie z nią jak z Macronem (słabnie, ale trwa), czy jak z Trudeau (już upadł)? Czy postępowi politycy rozumieją, że wyborcy „wolność od”

traktują już jak powietrze i potrzebują więcej tej drugiej ze słynnego eseju Izajasza Berlina „Dwie koncepcje wolności”: wolności „do” – zdolności do kierowania swoim życiem, ustalania, jakie cele są ważne, a jakie nie. Po co bowiem komu ocean, skoro nie potrafi żeglować, a nawet, jak potrafi, nie wie, dokąd warto płynąć?

Na liście słów zakazanych wolnego świata jest takie jedno, które przez wiele lat aż strach było wymawiać: paternalizm. Mówienie innym, jak mają żyć, kiedyś synonim dziaderstwa, wąsatego wuja na weselu i księżowskiej hipokryzji, dzisiaj staje się polityczną bronią.

Dzisiaj Trump, pozujący na surowego ojca rodziny, wygrywa z Kamalą Harris, kreującą się na koleżankę ze szkoły. Na polskim Tik Toku, który kształtuje poglądy przyszłych wyborców, bardziej popularny jest biegający z gaśnicą wąsaty wuj niż biegający z mikrofonem rockman w czerwonych okularach. W dodatku ten wuj specjalnie nosi wąsy i brode, żeby wyglądać staro, choć jest młodszy od rockmana o 14 lat.

Paternalizm staje się polityczną bronią, bo w świecie, w którym wszystko można, nie wiadomo, co warto. I myśl liberalna zaczyna się z tym zmagać – stosując „paternalizm miękki”. Nie będzie mówić ludziom, jak mają żyć, ale będzie ich zachęcać, żeby żyli inaczej, niż odpowiada im ich własna intuicja. Bo ta może być zwodnicza.

Ta zmiana to w świecie „róbta, co chceta” wręcz rewolucja. Cass Sunstein, doradca Obamy, pisze książkę „Impuls: jak podejmować właściwe decyzje dotyczące zdrowia, dobrobytu i szczęścia”. Impuls („nudge”) to słowo, które zmiękcza paternalizm – nie zmuszamy cię, jedynie popychamy w dobrym kierunku. To nowa „architektura wyboru”, która nie ogranicza wprawdzie twoich decyzji, zakłada jednak, że możesz być głupi.

Przykład: zamiast obowiązkowego planu emerytalnego, dajemy ci plan dobrovolny, ale taki, z którego musisz się wypisać, jeśli chcesz zrezygnować. Dlaczego nie taki, do którego musisz się zapisać? Bo wiadomo, że jesteś leniwy i w takiej sytuacji raczej w planie pozostaniesz. Zamiast mówić ci, żebyś jadł zdrowo, tak organizujemy półki w sklepach, żeby zdrowe jedzenie było na wysokości twoich oczu. Masz wrażenie, że sam wybierasz, ale tak naprawdę ktoś wybiera za ciebie. Dla twojego dobra oczywiście.

Czy miękki paternalizm nie będzie dla postępowców tym, czym dla komunistów był socjalizm z ludzką twarzą? Pęknięciem w tamie, zdradą ideałów, przyznaniem, że jednak ludziom trzeba mówić, jak żyć: jak jeść, czego nie pić, i czy się szczepić? Czy to nie równia pochyła? Taka aksjologiczna miękka faja w porównaniu z samczym, wyprężonym kręgosłupem moralnym prawicy? No bo skoro można mówić ludziom, jakich wyborów żywieniowych czy finansowych powinni dokonywać, dlaczego nie mówić im, jakie wybory moralne są lepsze, a jakie gorsze? To się jeszcze w postępowych głowach nie mieści, ale będzie musiało.

Bo na razie odnosi się wrażenie, że postępowcy zwalczają paternalizm moralny, jakby zwalczali paternalizm kodeksu drogowego. Nie rozumieją, że moralna jazda bez trzymanki w sprawach seksu, rodziny czy posiadania dzieci też jest moralnym wyborem, który ktoś promuje. A wąsaty wuj to rozumie aż za dobrze i promuje wizję przeciwną, w której trzeba jeździć ściśle według zasad. Ale skręcać wyłącznie w prawo. ●

Arkadiusz Gruszczyński

Donald Tusk zaprezentował w Parlamencie Europejskim spójny zarys nowej polityki europejskiej. W skrócie: w Starym Kontynencie drzemie niewykorzystany potencjał gospodarczy, Europejczycy mogą nadal proponować progresywne idee, jednocześnie unijny przywódca wyznający wiarę w zasady demokracji liberalnej powinien wsłuchać się w głos społeczeństwa, które odczuwa coraz więcej lęków związanych z utratą szeroko rozumianego bezpieczeństwa.

Polski premier kolejny raz udowodnił, że ma dobrze przemyślaną receptę na europejskie problemy. Dlatego więc nie prezentuje podobnego politycznego programu dla Polski?

Czy diagnoza Anne Applebaum pasuje do Polski 2025

Zanim wyjaśnię, dlaczego rząd nie widzi błędów, jakie popełnia, ani tego, jakie może to przynieść konsekwencje, spójrzmy na sytuację, w jakiej znalazła się Polska. Anne Applebaum uważa, że zachodni świat w 2025 roku przypomina ten z 1917 roku, czyli z przedednia wybuchu rewolucji rosyjskiej, kiedy zwykli ludzie przestali wierzyć w sprawczość rządzących.

Z kolei Marek Cichocki stawia tezę, że

Zachód przypomina dzisiaj Republikę Weimarską, kiedy pogrążona w wewnętrznych konfliktach demokracja nie była w stanie rozwiązywać realnych problemów państwa.

Oba rozpoznania łączy jedno: sto lat temu władzę na Wschodzie i Zachodzie przejęli dyktatorzy, dzisiaj do „koncernu autokracji” dołączają po kolei USA, Austria, Słowacja, Węgry czy Argentyna, a antyliberalne siły umacniają się we wszystkich krajach Zachodu.

Polska nie pasuje do tej układanki, bo przetestowaliśmy na żywym organizmie rządu autokratów, którzy wszędzie działają według tego samego mechanizmu. Podporządkowują interesom partii wymiar sprawiedliwości, znającą ograniczają wolność słowa i dyskredytują w oczach opinii publicznej opozycję.

Interes partyjny jest kluczowy dla zrozumienia autokratów, ponieważ w miejscu niezależnych, apolitycznych ekspertów, urzędników, dziennikarzy, prezesów spółek skarbu państwa pojawiają się zaleźni, polityczni i często niekompetentni wykonawcy politycznej woli szefa partii rządzącej, którzy przy okazji w krótkim czasie się bogacą.

My w Polsce wiemy, jak poradzić sobie z AfD

Zachodnie społeczeństwa dopiero doświadczają podobnych procesów i na własne oczy przekonają się, na czym polega eksperyment przekazania władzy takim partiom jak Alternatywa dla Niemiec (AfD).

Tusk mówi na to tak: wiemy w Polsce, w jaki sposób odsunąć prawicowych populistów od władzy, mamy doświadczenie naprawy państwa po rządach antyliberalnych autokratów, zdajemy so-

Na pochyły rząd każda koza skacze

Jeśli Koalicja 15 Października nie poprawi komunikacji z wyborcami, w 2027 roku PiS wróci do władzy i Ziobro z Kaczyńskim dokończą prawicową kontrrewolucję

bie sprawę z tego, na jaką skalę można naruszyć fundamenty państwa prawa, dlatego polska lekcja powinna zostać odrobiona na Zachodzie.

Według Tuska receptą na prawicowe szaleństwo jest realizacja niektórych postulatów populistów, chociażby tych związanych z obroną granic i szczegółową weryfikacją osób, które trafiają nielegalnie do Europy.

Jednocześnie Tusk wyciągnął wnioski po fiasku neoliberalnych reform gospodarczych i namawia inne kraje do wprowadzania świadczeń socjalnych. Polski premier jest zwolennikiem usług publicznych.

Ta mieszanina – bezpieczeństwo militarne, świadoma polityka migracyjna i odbudowa państwa opiekuńczego – jest filozofią nowego liberalizmu.

Wszystkie grzechy rządu Tuska

Tusk jest z uwagą słuchany w Europie, co potwierdzają moi rozmówcy z rządu, którzy obserwują spotkania polskiego premiera z przywódcami Niemiec, Francji czy krajów skandynawskich. Ale w Polsce nowy pomysł na państwo w ogóle się nie przebija. Dlaczego?

Grzech pierwszy: gdzie jest rzecznik prasowy? Premier do dzisiaj nie ma rzecznika, który odpowiadałby na bieżące pytania dziennikarzy. Tusk niezwykle rzadko udziela wywiadów, choć jednocześnie na konferencjach prasowych czy w Sejmie potrafi długo i wyczerpująco rozmawiać z ludźmi mediów.

Premier komunikuje się ze społeczeństwem głównie poprzez serwisy społecznościowe, gdzie nie ma miejsca na zniuansowany przekaz, a wpisy szefa rządu są lakoniczne, polaryzujące lub mają charakter kronikarski.

Styl komunikacji wiąże się z **drugim grzechem, czyli z oporem liberałów przed promowaniem własnych sukcesów**. Rząd wraz z Sejmem w ciągu pierwszego roku pracy – z nieprzychylnym prezydentem i rozedrganą koalicją -

- podwyższył wysokość alimentów,
- wprowadził „babciowe”, czyli zupełnie nowe świadczenie społeczne dla rodzin,
- zmienił klimat wokół aborcji, odzyskał pieniądze z Krajowego Programu Odbudowy,
- wprowadził rentę wdowią,
- uchwalił 24 grudnia dniem wolnym od pracy,
- wprowadził wakacje od ZUS-u dla przedsiębiorców,
- odbudował pozycję Polski na arenie międzynarodowej,



POŁ.DAVID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

- utrzymał wszystkie programy socjalne przyjęte przez poprzedników,
- zreformował nauczanie religii w szkołach,
- znalazł dodatkowe środki na rozwój nauki,
- podwyższył pensje nauczycielom,
- zaczął budować żłobki w całym kraju,
- przywrócił refundację in vitro,
- w miarę sprawnie zareagował na powódź,
- rozpoczął poważne inwestycje obronne.

Lista sukcesów przewyższa dokonania z pierwszego roku rządu Beaty Szydło. Dlaczego więc obecny mierzy się ze spadkiem zaufania? Według CBOS 43 proc. Polaków źle ocenia gabinet Tuska. To tylko o 4 pkt mniej niż w najgorszym momencie rządu Mateusza Morawieckiego.

Odpowiedź jest banalna: obecny rząd nie potrafi skutecznie chwalić się sukcesami. Od polityków KO usłyszałem, że Tusk reaguje alergicznie na wszelkie pomysły kampanii promocyjnych, nie pozwala wydawać na nie pieniędzy i oburza się na wszelkie sugestie zmiany tej strategii.

Tusk uważa, że w czasach rządów PiS-u ludzie źle odbierali podobne kampanie realizowane przez ludzi Morawieckiego, dlatego nie chce wejść w buty poprzedników. To błąd, szczególnie w epoce, kiedy powtarzane są fake newsy, a zwykli ludzie są zalewani potokiem komunikatów i informacją.

Trzecim grzechem są rozliczenia. W KO narasta rozczarowanie stylem pracy Adama Bodnara, który – zanim podejmie decyzję – zamawia po kilkanaście analiz prawnych, prowadzi wielogodzinne rozmowy ze współpracownikami, a na końcu i tak Marcin Romanowski ucieka do Budapesztu.

Tusk grozi, że zrobi z Romana Giertycha wiceministra sprawiedliwości, a posłowie Koalicji 15 Października nie wiedzą, co mają mówić wyborcom.

Jasne: prokuratura musi działać powoli, zbierać dowody, gromadzić materiały. Ale minister mógłby opublikować na stronach internetowych kalendarz działań albo organizować w każdy poniedziałek konferencję prasową, w trakcie której informowałby opinię publiczną o tempie rozliczeń.

Grzech czwarty: gaszenie pożarów zamiast wprowadzanie reform. To polska klasyka: wprowadzenie ustrojowych zmian blokuje aparat urzędniczy, więc żaden rząd nie jest w stanie zreformować żadnej sfery. A poza tym w oczach opinii publicznej reformy są słowem znienawidzonym, bo kojarzą się z chaosem. Przekonali się o tym Jerzy Buzek, który po czterech wielkich reformach musiał pożegnać się z władzą, oraz Mateusz Morawiecki, którego zmiotł Polski Ład.

Dlatego rząd Tuska gasi pożary: tak było w przypadku alkoetubek, kiedy administracja nie zareagowała odpowiednio wcześniej na pomysł wprowadzania na rynek tubek z alkoholem, czy po atakowaniu ratownika w Siedlcach, kiedy do rządzących dotarły zgłaszane od wielu lat postulaty służb medycznych.

Co z inwestycjami? To pytanie należy zadać przy okazji wytknięcia **piątego grzechu** obecnego rządu. Niektórzy eksperci udowadniają, że czołowe inwestycje z czasów rządów PiS-u były przeskalowane, nietrafione, niedoszacowane lub po prostu niepotrzebne.

O ile plany Orlenu zostały mocno zrewidowane, o tyle rząd chce wybudować Centralny Port Komunikacyjny i siatkę połączeń kolejowych. Warto się jednak zastanowić, co mogłoby świadczyć

o sile polskiej gospodarki za 5 lub 10 lat. Czy rząd nie powinien śmiało dotować rozwoju biznesu IT i tego związanego ze sztuczną inteligencją? A może Polska mogłaby się stać europejskim centrum produkcji samochodów elektrycznych, skoro już teraz na masową skalę składane są u nas baterie? Wydaje się, że Polacy oczekują od rządzących podobnych projektów.

Idźmy dalej: **wyborcom wydaje się, że rząd nie dowozi obietnic**, ponieważ do tej pory nie zostały zrealizowane najgłośniejsze postulaty z kampanii wyborczej z 2023 roku. Wśród nich najważniejsze miejsce zajmuje liberalizacja prawa aborcyjnego.

Jak słyszę w Sejmie, do wyborów prezydenckich posłowie nie zajmą się tymi konkretnymi projektami ustaw, ponieważ Nowa Lewica przstraszyła się, że próba zawarcia kompromisu z Polskim Stronnictwem Ludowym odbierze im wiarygodność w oczach ich własnego elektoratu. Liderzy Koalicji 15 Października zgodzili się kilka tygodni temu, że za jednym zamachem zostaną przyjęte dwie ustawy – dekryminalizująca aborcję oraz ta złożona przez ludowców zakładająca powrót do przepisów z 1993 r.

Do czerwca jednak nic się w tej sprawie nie wydarzy. To **sósty grzech**.

I ostatni, **siódmy grzech: rząd Tuska nie snuje opowieści**. W kampanii wyborczej przyszły premier zapewniał, że po rozliczeniu rządów poprzedników po jedna ze sobą ludzi. Wówczas odczytałem to jako zapowiedź wprowadzenia konkretnych mechanizmów ochronnych, instytucji publicznych, które miałyby stać na straży prawa i demokracji liberalnej.

Ta opowieść była niezwykle kusząca: oto odsuwamy prawicowych populistów od władzy, sprawnie rozliczamy ich rządy, a następnie przystępujemy do śmiałej reformy państwa, dzięki czemu obniża się temperatura wewnętrznych sporów. Tusk jednak na obecnym etapie odpuścił te marzenia, bo polityczni gracze zdają sobie sprawę z zasad panujących na boisku, gdzie wygrywa ten, kto ma po swojej stronie kibiców, a nie przemyślaną taktykę.

Na użytek wewnętrzny premier Tusk od czasu do czasu powtarza, że najważniejszym wyzwaniem, przed jakim stoi Polska, jest ochrona granic. To jednak za mało: od rządzących oczekiwałbym czegoś więcej niż wpisów na X, popisów retorycznych w telewizyjnych programach publicystycznych i przepychanek w Sejmie.

Życzyłbym sobie pracowitego rządu i Sejmu, który pierwszego dnia po wyborach prezydenckich złoży na biurko głowy państwa 100 projektów ustaw odpowiadających na najpilniejsze problemy kraju.

Poparcie dla rządu spada, bo ten popełnia błędy, mimo że zaplecze strategiczne i intelektualne ma przecież opracowany plan naprawy czy rozwoju kraju.

To wspomniane połączenie bezpieczeństwa granic, świadomej polityki migracyjnej oraz wspierania państwa opiekuńczego. A tuż za rogiem czai się niebezpieczeństwo powrotu prawicowych populistów do władzy. ●

CZY BĘDZIE TBILISI W WARSZAWIE

**Trzaskowski wygrywa, Nawrocki protestuje,
Duda przedłuża kadencję i co wtedy?**

Klaus Bachmann

Iest czerwiec 2025 roku, wybory prezydenckie się odbyły, ale wynik nie jest jasny. Z przecieków z PKW wynika, że między kandydatami drugiej tury jest niewielka różnica, a zwycięstwo zależy od tego, czy PKW uwzględni głosy oddane na jednego z kandydatów po zamknięciu lokali wyborczych.

PKW ostatecznie je uwzględni, ale w skład komisji wchodzi sędziowie, którzy w myśl uchwały trzech połączonych izb Sądu Najwyższego nie są sędziami. Przegrany komitet wyborczy natychmiast odwołuje się do Sądu Najwyższego.

Pierwsza prezes SN kieruje skargę do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, która w opinii jednego z komitetów (i w myśl orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Trybunału Sprawiedliwości UE) nie jest sądem.

Ale pierwsza prezes i jeden z komitetów wyborczych uważają, że przy wyborach prezydenckich, liczeniu głosów i uznaniu wyborów za ważne, nie stosowano „prawa UE”, więc czy IKNSP jest sądem w rozumieniu prawa UE, nie ma tu nic do rzeczy.

Codziennie przed budynkiem SN dochodzi do masowych manifestacji zwolenników obu komitetów. Urzędujący prezydent ogłasza, że do rozstrzygnięcia sprawy przez „polski, i tylko polski sąd”, nie ma zamiaru opuścić gmachu na Nowym Świecie. Koczują tam już jego zwolennicy, aby go bronić przed „puczem reżimu Tuska”.

Mimo że kadencja już upłynęła, zgłasza kolejne weta wobec ustaw i wnioski o kontrolę konstytucyjną do Trybunału Konstytucyjnego, który na wniosek posłów popierających jednego z kandydatów orzeka, że Europejska Konwencja Praw Człowieka i Traktaty UE „w zakresie, w jakim ingerują w funkcję IKNSP”, są sprzeczne z konstytucją, tak samo, jak uznanie przez PKW wątpliwych (bo za późno oddanych) głosów za ważne.

Każda ze stron politycznego sporu ma swoje instytucje, które przyznają jej rację: po jednej stronie stoją TK, IKNSP i prezydent, po drugiej – sądy międzynarodowe, PKW i część SN.

Polska będzie jak Gruzja? To całkiem realna groźba. Wszystkie elementy takiego kryzysu mamy już obecnie. Więcej, wiemy też, która strona taką konfrontację wygra: ta, która ma poparcie rządu. Rząd ma aparat, urzędników, rozdziela pieniądze z podatków i wydaje rozkazy policji, służbom specjalnym i wojsku. Jeśli chce, może wyprowadzić sędziów TK, prezydenta i całą IKNSP z budynku oraz zamknąć ich w areszcie.

Wiemy to, bo tak się stało w Gruzji: przed groźbą aresztu pani prezydent opuściła w końcu swój gmach, a jej zwolennicy poszli do domu. W takich konfliktach zawsze wygrywają ci, którzy mają po swojej stronie zasoby państwa – pod warunkiem że kontrolują wojsko i że wojsko nie ma własnych ambicji politycznych.

Na tym kończą się podobieństwa z Gruzją: tam wygrała opcja prorosyjska, antyunijna i antyliberalna, tu wygrałaby opcja prounijna i liberalna. W obu przypadkach zwycięzcą okazuje się ta strona, która już rządzi.

Teoretycznie rzecz biorąc, obecnie rządzący w Polsce mogą więc spać spokojnie: jeśli osadzeni w instytucjach przez poprzednie władze zwolennicy PiS, prezydenta Dudy i liczni (już około jednej trzeciej wszystkich sędziów w Polsce) neosędziowie przeholują, to muszą się liczyć z tym, że aparat państwa, jaki PiS zbudował przez osiem lat, zmiążdży ich.

Ostrzegałem przed tym od 2016 roku, kiedy PiS przejął TK: instytucje powołane do ochrony praw obywateli i opozycji, które za sprawą PiS stały się instrumentami władzy, nie będą w stanie bronić PiS po utracie władzy, bo nikt poza PiS ich już nie będzie respektował. Wszystkim, którzy obecnie w prasie i serwisach społecznościowych narzekają, jak bezwzględnie „reżim Tuska” ich prześladuje, można odpowiedzieć: wpadliście w dołek, który sami wykopalście.

Ale to nie rozwiązuje podstawowego problemu, jaki mamy wszyscy, obojętnie, po której stronie stoimy. Być może istnieją sposoby – jak twierdzą niektórzy czołowi prawnicy konstytucyjni – aby przeprowadzić i rozstrzygnąć wybory prezydenckie w zgodzie z prawem polskim i europejskim. Ale niestety, to już nie wystarczy.

Najbardziej spójne i precyzyjne prawo nie pomoże, jeśli spora część elit politycznych i ich zwolenników go nie uznaje. Można je wtedy stosować, ale to nie zażegna sporu. Konkretnie: rząd Tuska może przyjąć korzystną dla siebie interpretację prawa i korzystając z monopolu państwa na przemoc, narzucić ją swoim adwersarzom (i nam wszystkim) siłą, nie zawierając żadnych kompromisów. Ale wtedy za trzy lata znajdzie się w takiej samej sytuacji jak PiS w 2023 roku: musi wygrać za wszelką cenę wszystkie kolejne wybory, aby chronić siebie i swoich zwolenników przed zemstą.

Zamiast co cztery lata decydować o tym, w jaki sposób, jaki rząd ma rozwiązać jakie problemy, obywatele pójdą decydować, który kolejny autorytarny władca będzie mógł się odgrywać na tych, którzy jego i jego zwolenników w latach poprzednich gnębili.

Rządzący liczą być może na to, że uda im się podzielić i rozbić PiS na kilka drobnych, ry-



walizujących partyjek, które nie przekroczą progów wyborczych. To się może udać, ale sympatycy, zwolennicy i radykalowie zostaną wśród wyborców PiS. Polska konserwatywna, katolicka, wiejska, elektorat autorytarny albo – jak o sobie sami mówią – „obóz patriotyczny” nie zniknie. A dzięki wsparciu z Węgier, ze Stanów Zjednoczonych i od europejskiej prawicy nacjonalistycznej wręcz się wzmocni.

Również kalkulacja na wygrane wybory i uchwalenie „ustaw naprawczych” bez weta prezydenckiego może się okazać chybioną. PO zakłada, że Rafał Trzaskowski wejdzie do drugiej tury i tam pokona kandydata PiS.

Pomijam już, że od takiej chybionej kalkulacji w roku 2015 zaczął się zwycięski marsz PiS przez instytucje. To nie jest powtórka sprzed 10 lat: PiS jest obecnie organizacyjnie w większym marazmie niż PO wtedy – ale właśnie w tym tkwi duże zagrożenie dla obecnie rządzących.

Co, jeśli do drugiej tury kandydat PiS w ogóle nie wejdzie i zamiast z Nawrockim Trzaskowski będzie rywalizować z Hołownią? Co z tego, że ten wyścig wygra, jeśli potem – pod wpływem kampanii wyborczej – obóz rządzący się rozpadnie i dojdzie do wcześniejszych wyborów w warunkach obecnego dualizmu prawnego? Wtedy obóz rządzący będzie miał klarowny, trudny do podważenia mandat dla nowego prezydenta, ale za to przestanie rządzić.

Obojętnie którą ścieżką rządzący będą kroczyć – obywatele nie dostaną ani więcej praworządności, ani bardziej obliczalnego, przyjaznego państwa. Albo dostaną więcej autokracji (jeśli obecny obóz rządzący zaaplikuje opozycji pełną dawkę jej własnego autorytaryzmu, narzucając interpretację prawa za pomocą policji i wymiaru sprawiedliwości), albo wieczny dualizm prawny (jeśli obóz rządzący się rozpadnie), albo zemstę i autorytaryzm (jeśli PiS wróci do władzy). Jakie jest wyjście z tego marazmu?

Jeśli w elitach politycznych jakiegoś kraju panuje zasadnicza niezgoda co do reguł gry

zapisanych w konstytucji i tej zgody nie da się osiągnąć poprzez współdziałanie organów państwa, prowadzi to do wojny domowej, do puczu albo do zmiany konstytucji.

Aby doszło do wojny domowej, dowództwo musiałoby się podzielić, wojsko się rozpaść i poszczególne frakcje zacząć stosować przemoc na dużą skalę, jak w Libii i Syrii. Nic na to wskazuje. Tak samo pucz: Wojsko Polskie jest na tyle apolityczne, że najwyżsi generałowie odważyli się jedynie na demonstracyjne dymisje w końcowej fazie kampanii wyborczej 2023 roku.

Zostaje zmiana konstytucji. Jej załączek już jest – w postaci dwóch projektów zmian dotyczących Trybunału Konstytucyjnego przedstawionych przez Senat i ministra sprawiedliwości. Słuch o nich zaginął, bo kiedy zostały zgłoszone, większość rządu potrzebowała głosów PiS, aby je uchwalić, a PiS nie był nimi zainteresowany.

Wtedy politycy PiS mogli jeszcze liczyć na to, że z pomocą okopanych w TK nominatów tej partii i wetującego prezydenta obronią się przed rozbiem ich partii, uwięzieniem ich prominentnych kolegów i wywłaszczeniem ich układów. Ale rząd przestał w ogóle przyjmować do wiadomości „zabezpieczenia” i wyroki TK, zabrał się do rozliczenia afer i zaczął rządzić w sposób dość podobny do PiS z czasów, kiedy partia Kaczyńskiego nie była już pewna swojej większości parlamentarnej – czyli sterując administracją publiczną za pomocą rozporządzeń i poleceń.

Za Morawieckiego nikt ich nie zaskarżył do TK, jeśli były niezgodne z ustawami albo nawet z konstytucją, bo wszyscy wiedzieli, że ów i tak orzekałby po stronie rządu. Dziś też nikt tego nie robi, wiedząc z góry, że negatywny werdykt TK rząd i tak by zignorował. Rezultat jest ten sam: rząd może rządzić z pominięciem parlamentu, o ile w łonie koalicji rządzącej jest na to zgoda. A obywatele jak nie mieli broniącego ich praw TK pod rządami PiS, tak nie mają go pod rządami PO.

Ale z punktu widzenia życia politycznego obywatel prawie się nie liczy. Najbardziej



Nawet jeśli rządzącym uda się rozbić PiS na kilka drobnych partyjek, które nie przekroczą progu, Polska konserwatywna, katolicka, wiejska, elektorat autorytarny nie znikną. A dzięki wsparciu z Węgier i z USA wręcz wzmocnią się

żwawo nowa koalicja przystąpiła do ataku tam, gdzie chodziło o jej interesy. Aby odzyskać państwowe media, rady nadzorcze i kontrolę nad organami państwa, użyła żelaznej miotły. Praw zabranych obywatelom przez PiS – takich jak przejrzysty system podatkowy, możliwości skargi konstytucyjnej, niezależnego, skutecznego i szybkiego sądownictwa albo prawa do decydowania o własnym ciełe – po roku rządzenia obecna koalicja nadal nie oddała.

Dla dynamiki życia politycznego ważniejsze niż to, czego nie tak już nowa władza nie zwraca obywatelom, jest to, co zabrała PiS: finansowanie, wolność niektórym liderom, możliwość obrony status quo za pomocą TK i bezkarność. To bowiem pokazuje PiS bez ogródek, że okopanie się w status quo prowadzi do marginalizacji.

W pierwszych miesiącach rządu Tuska, kiedy nie wiadomo było, co nowa koalicja chce zrobić z TK, KRS, SN i neosędziami, ludzie upadłej władzy mogli się jeszcze ludzi, że trwanie w okopach opłaca się bardziej niż pójście na kompromis. Teraz coraz więcej polityków i zwolenników PiS zdaje sobie sprawę z tego, że tak nie jest. Objawia

wia się to lamentem nad autorytarnymi metodami „reżimu Tuska” albo rozpaczliwymi apelami do opinii publicznej z powodu rzekomych prześladowań. W obliczu komisji śledczej, rewizji domowej albo nakazu aresztowania twardziele błyskawicznie przemieniają się w biedne, płacziwe ofiary prześladowań.

Niektórzy z niegdyśiejszych obrońców suwerenności i przeciwników UE wystosowali już nawet apele do UE o pomoc. Jak dotąd wysłuchał ich jedynie rząd Węgier. Ale z Węgier nie da się wygrać wyborów w Polsce – a gdziekolwiek indziej PiS będzie pukać do drzwi, tam PO już od dawna ma lepsze kontakty. Nie tędy droga.

Mądry głupiemu ustępuje, twierdzi mądrość ludowa. Ale w polityce to tak nie działa, tam każdy płaci sam za własną głupotę, jak obecnie politycy dawnej Solidarnej vel albo Suwerennej Polski, którzy w czasach ministra Ziobry drastycznie podwyższyli kary za najcięższe przestępstwa, nie myśląc o tym, że mogą kiedyś dotknąć ich samych.

• **Prorosyjski nowy prezydent Gruzji Micheil Kawelaszwili z rządzącej partii Gruzińskie Marzenie, przemawia po zaprzysiężeniu w parlamencie w Tbilisi 29 grudnia 2024. W czasie uroczystości budynek chroniły siły bezpieczeństwa. W Gruzji trwają masowe protesty wywołane tym, że prezydenta nie wybrano w głosowaniu powszechnym. Zdecydowało, bez udziału opozycji, kolegium elektorów z Gruzińskiego Marzenia.**

FOT REUTERS/IKRALI GODENIDZE

W polityce ustępuje nie mądry, lecz słabszy. Dlatego ruch teraz po stronie PiS. Liderzy tej partii mogą podnieść ledwo zakamuflowaną ofertę Senatu i Adama Bodnara i przystać na zmianę konstytucji – albo czekać, aż to autorytarne państwo, które sami zbudowali, spadnie im na głowę z całą siłą.

Jest co zyskać. Można to pokazać na podstawie przykładów. PiS może obecnie czekać, aż rządząca koalicja i przychylny jej przyszył prezydent uchwałą nową ustawę o TK, która go „zresetuje”, skracając kadencję obecnym sędziom i wybierając większością absolutną nowych sędziów na dziewięcioletnie kadencje.

Na pierwszy rzut oka to śmiertelny ruch dla PiS i wygodne wyjście dla PO i jej koalicjantów. PiS traci całkowicie możliwość blokowania ustaw i prawnej ochrony liderów, PO zamieni kłopotliwy i jawnie wrogi trybunał w przychylny. Do następnych wyborów parlamentarnych PiS w TK nie będzie miał nic, obecna koalicja – wszystko.

Lecz drugie spojrzenie okazuje słabość takiego ruchu: nowy TK byłby „trybunałem Tuska”, tak jak poprzedni był „trybunałem Kaczyńskiego”, nie miałby żadnej legitymizacji ani w oczach PiS, ani w oczach chętnych do składania skarg, ani w oczach zagranicznych ekspertów. A po przegranych wyborach nowi władcy mogliby powtórzyć ten manewr, „resetując” TK jeszcze raz.

Polacy mieliby TK, który zawsze będzie po stronie rządzących, co jest dokładnym przeciwieństwem tego, co autorzy konstytucji mieli na myśli. Tak jak nie było i nie ma broniącego obywateli TK, tak i w przyszłości by go nie było.

Inaczej sprawa wygląda, jeśli wszystkie partie w Sejmie uzgodnią taki tryb powołania sędziów TK, który zagwarantuje jego bezpartyjność i niezależność od rządu, parlamentu i partii politycznych np. poprzez wybór sędziów na podstawie większości dwóch trzecich albo trzech piątych w Sejmie.

Oczywiście większość sejmowa musiałaby mieć pewność, że PiS nie użyje fortelu, uchwalając najpierw odpowiednią zmianę konstytucji, aby potem całkowicie blokować wybór nowych sędziów. Ryzyko jest jednak małe, bo to nie zmieniliby przecież status quo, w którym TK po prostu nie funkcjonuje. PiS w zasadzie stoi pod ścianą – może wybrać między scenariuszem, wedle którego nie ma wpływu na TK, bo obsadza go koalicja, a scenariuszem, wedle którego nie ma nań wpływu, bo sam bojkotuje wybór jego sędziów.

Jeśli więc pójdzie na kompromis bez forteli, korzyści będą większe dla wszystkich, w tym i dla samego PiS: każdy będzie miał trochę wpływu na wybór sędziów i potem trybunał, który jest w stanie go chronić, ponieważ przeciwnicy też uznają jego wyroki. Tusk miałby pewność, że PiS nie będzie kwestionował decyzji nowego TK i że nowy TK nie zostanie „zresetowany” po przegranych wyborach. PiS mógłby liczyć na to, że niezależny trybunał chroni go lepiej niż obecna atrapa. A obywatele dostaliby funkcjonujący TK, który może ich obronić przed każdą władzą.

Tę logikę można też stosować do Krajowej Rady Sądownictwa i do Sądu Najwyższego: jeśli PiS weźmie udział w ich „resecie”, uzyska większy wpływ na ich obsadę, niż miałby, gdyby obsadzono je zgodnie z obecnym brzmieniem zapisów konstytucyjnych. A koalicja (i obywatele) w miejsce

instytucji dysfunkcyjnych i zdezauduowanych przez część elit politycznych dostaliby instytucje działające i powszechnie respektowane.

• Główny problem tych scenariuszy polega na tym, jak przeprowadzić je w warunkach kampanii wyborczej. Bo takie zmiany, aby uratować kraj od kryzysu „gruzińskiego”, musiałby wejść w życie jeszcze przed wyborami prezydenckimi w maju.

Koalicja, PiS i Konfederacja musiałby więc prowadzić kampanię wyborczą i jednocześnie współpracować we wspólnej komisji Sejmu i Senatu, którą bardzo łatwo byłoby blokować, ponieważ musiałaby mieć odpowiednio wysoki próg większości, najlepiej dwóch trzecich, aby zapewnić odpowiedni wpływ opozycji. A to pozwala stosunkowo małej grupie posłów na tworzenie mniejszości blokującej.

Druga poważna przeszkoda to same wybory prezydenckie, a zwłaszcza niepewność co do ich wyniku. Mniejsza nawet o obstrukcję ze strony urzędującego prezydenta, który musi zatwierdzić ustawę zmieniającą konstytucję, aby mogła wejść w życie. Rzecz w tym, że ciągle zmiany preferencji wahających się wyborców w zależności od sondaży mogą skłonić do obstrukcji niektórych koalicjantów Tuska, jeśli będzie wyglądało na to, że ich przedstawiciel ma szansę przejść do drugiej rundy.

Zawsze ta partia, której kandydat ma większe szanse na wygraną, będzie skłonna w konstytucji przyznawać większe uprawnienia w procesie mianowania, zaprzysiężenia i odwoływania sędziów i członków KRS niż partię, których kandydaci takiej szansy w świetle sondaży nie mają.

• Czy ten kohabitacyjny scenariusz jest realistyczny? Nie, chociaż trochę tak.

Jest korzystny dla obywateli, którzy odzyskaliby respektowane instytucje chroniące ich przed arbitralnymi decyzjami władzy, ale właśnie z tego powodu nie jest korzystny dla władzy, i to żadnej władzy. Dopóki więc dwa zwalczające się obozy będą przekonane, że mają szansę przejąć władzę w następnych wyborach parlamentarnych, dopóty nie mają powodu do takiego resetu politycznego. Ale po 2015 r. PiS zmienił działanie państwa tak, że ten, kto zagarnie większość w wyborach i tworzy rząd, może rządzić niepodzielnie za pomocą policji, służb, administracji, budżetu i dekrétów, a bez kontroli parlamentu i sądownictwa.

Więc teraz PiS może dojść do wniosku, że wspólne przywracanie instytucji kontrolnych da mu więcej wpływu na politykę niż nadzieja, że za trzy lata przejmie całe to autorytarne państwo z powrotem (i że PO odda je pokojowo). Ale w takim wypadku musi się spieszyć: zmiana konstytucji w pełni podlega przepisom obecnej konstytucji i wymaga m.in. upłynięcia 30 dni między przedstawieniem projektu w Sejmie a jego pierwszym czytaniem, daje Senatowi 60 dni na uchwalenie ustawy przyjętej przez Sejm i prezydentowi 21 dni na jej podpisanie. Jeśli więc zmiany mają wejść w życie przed wyborami prezydenckimi, to projekt należałoby wnieść pod obrady Sejmu teraz.

Jeszcze przed pierwszą turą wyborów prezydenckich rozstrzygnie się, w jakim państwie przyjdzie nam żyć: w takim, gdzie po zmianie władzy zmieni się też obsada TK, KRS i SN i całe sądownictwo przechyla się w stronę wygranych – czy w państwie, gdzie niezależne od zwycięzców instytucje bronią praw przegranych i obywateli wobec nowej władzy?

Wbrew temu, co kandydaci będą chcieli nam wmówić w najbliższych tygodniach, ten wybór nie zależy od wyborców ani od tego, kto zostanie prezydentem. To, jakie państwo powstanie, rozstrzygnie się wcześniej – wtedy, gdy strony zdecydują, czy chcą kompromisu politycznego i zmiany konstytucji, czy nie. •

Karolina Słowik

I o co, bye, bye”, „Narka i koniec”, „Gratuluje porażki” – pisali w sieci uczniowie i uczennice 15 października 2023 roku. Szkoły fetowały. Umowne korki od szampana strzelały w pokojach nauczycielskich, gdy minister edukacji Przemysław Czarnek z PiS zwalniał gabinet przy Alei Szucha.

Po likwidacji gimnazjów, strajku nauczycieli (to jeszcze za Anny Zalewskiej, która „wszystko miała policzone”), po próbach dobicia organów prowadzących i zwiększania luki oświatowej – czyli różnicy pomiędzy państwową subwencją a rzeczywistymi wydatkami na oświatę (to za Dariusza Piontkowskiego, który mówił, że samorządy „biadola, jak trzeba coś dolożyć” do edukacji), wreszcie po agresywnym stylu Czarnka, który dosłownie ścigał nauczycieli za każde nieposłuszeństwo, ludzie szkoły odetchnęli z ulgą. „Wolna Szkoła od Czarnka!” – pisali aktywiści oświatowi, którym trzykrotnie udało się zablokować „lex Czarnek”, mające dać władzę absolutną kuratoriom podległym MEN i wyprowadzić organizacje pozarządowe ze szkół. I mieli ogromne nadzieje na zmiany.

Wcześniej nie próżnowali. Spotykali się z politykami i polityczkami obecnej koalicji rządzącej, uzgadniali stanowiska, projektowali założenia do ustaw (m.in. o powołaniu Komisji Edukacji Narodowej, która miała odpartyjnić edukację).

Był listopad 2023 r., już po wyborach. – Próbuje tu uspołecnić politykę oświatową – mówiła Alicja Pacewicz z SOS dla Edukacji, federacji blisko 70 organizacji pozarządowych, podczas II Szczytu dla Edukacji, czyli międzysektorowej konferencji środowisk oświatowych. W szczycie udział wzięli m.in. obecne wiceministры edukacji Katarzyna Lubnauer z Nowoczesnej i Joanna Mucha z Polski 2050, była ministra edukacji i obecna przewodnicząca sejmowej komisji edukacji Krystyna Szumilas z PO, ministra rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk z Lewicy, minister sprawiedliwości Adam Bodnar. Podpisali Pakt dla Edukacji, który w dziesięciu punktach mówi głównie o tym, by edukację odpolitycznić, zdecentralizować i postawić na dowartościowanie nauczycieli oraz dofinansowanie systemu.

Entuzjazm był spory. Więc dlaczego, kiedy nowa ministra edukacji Barbara Nowacka bierze się za reformę oświaty, już ma tytuł krytyków pośród ludzi, którzy pokładali w niej nadzieje?

Jarosław Pytlak (od 1990 r. dyrektor szkół Społecznego Towarzystwa Oświatowego na warszawskim Bemowie): – *Kroi się potworna strata czasu. I chaos. Nie widzę większej różnicy między Nowacką a Czarnkiem. To politycy. Jest brak zaufania ze strony środowiska, bo te zmiany to wielka ściema. Dla mnie temat zaczyna się i kończy na harmonogramie. W półtora roku nie robi się reformy.*

Dr Iga Kazimierzczuk (pedagożka, nauczycielka, działaczka edukacyjna, związana z pedagogiczną Uczelnią Korczaka): – *Środowisko jest niezadowolone. Kiedy słyszymy o reformie edukacji, a z konkretów dostajemy jedynie zapowiedź zmian w podstawie programowej, to rzeczywiście cierpliwość nauczycieli zaczyna się kończyć. Ludzie lubią spójne komunikaty, tym bardziej środowisko edukacyjne. Słyszymy: „Konsultujemy i uzgadniamy”, ale to dzieje się w bardzo szybkim tempie i w zasadzie to konsultacja gotowych produktów. Ministerstwo przedstawia w zasadzie skończony dokument, daje ustawowe dni na zgłaszanie uwag, te uwagi często nie są publikowane, a potem eksperci nanoszą wybrane poprawki, albo nie. A jeśli MEN-owskie pomysły byłyby dobrze skonsultowane przed ogłoszeniem projektu, to nie trzeba byłoby ich poprawiać.*

Jerzy Wiśniewski (ekspert oświatowy, były dyrektor generalny MEN, matematyki):

Kłopot z reformą edukacji

ZRÓBCIE FERIE TEJ REFORMY

Umysł ścisły z doświadczeniem w szkole, nowoczesna pedagożka, samorządowiec, była ministra z dużym doświadczeniem. Barbara Nowacka ściągnęła do resortu edukacyjny dream team. Co poszło nie tak?

– *MEN wpadło w pułapkę populizmu. Objawy? Wrzucanie chwytliwych rzeczy typu likwidacja prac domowych i ucieczka od rzetelnej diagnozy tego, co nie działa. Jeśli nie ma diagnozy, to nie ma założeń tego, co się chce osiągnąć, a wtedy tyle się osiągnie, że wyda się pieniądze.*

Danuta Kozakiewicz (dyrektorka warszawskiej szkoły podstawowej nr 103): – *Ja nadal nie wiem, co czeka moją szkołę. Co będzie dalej. Te pierwsze ruchy nie do końca pasują mi do decentralizacji, autonomii i do nowoczesnego nauczania, opartego na autonomii nauczyciela, który ma warunki i czas, żeby odpowiednio dobrać metody do każdego ucznia. Wszystko mi się rozjeżdża. Nadzieje? Olbrzymie. Nie chciałabym, żeby wróciło to, zanim zaczęłam chodzić na marsze i protesty. Pracuję już bardzo długo i przesłałam wiele reform. I wiem, że reforma może nie być żadną wartością.*

Dr Karol Dudek-Różycki (nauczyciel chemii oraz przewodniczący Polskiego Stowarzyszenia Nauczycieli Przedmiotów Przyrodniczych): – *Osobiście chciałbym, żeby ministra Barbara Nowacka została prezydentką albo premierką. Świetnie nadaje się do polityki. Powiem więcej: jest jednym z moich ulubionych polityków. Ale kompletnie nie nadaje się na ministra edukacji. Bo na edukacji się nie zna, podobnie jak anglista na chemii.*

Ministra **Barbara Nowacka** nie ma doświadczenia pracy w szkole, jakie miały jej poprzednicy i poprzedniczki, i z PiS (Dariusz Piontkowski, Anna Zalewska), i z PO (Krystyna Szumilas, Katarzyna Hall), a wcześniej SLD (Krystyna Łybacka).

Natomiast to rzeczywiście polityczka z krwi i kości. Z wykształcenia jest inżynierką informatyki (tytuł uzyskała w Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych, której rektorem jest jej ojciec Jerzy Nowacki). Zdobyła dyplom magistra z zarządzania na Uniwersytecie Warszawskim. I dyplom MBA. W politykę angażu-

je się już od lat 90. Należała do pryncypialnie socjaldemokratycznej Unii Pracy. Posłanką pierwszy raz została w 2019 r. Wcześniej, w latach 2015-17, współprzewodniczyła partii Twój Ruch. Inicjatywę Polską założyła w 2016 r., dwa lata później dołączyła z nią do KO. W wyborach w 2015 r. była liderką Zjednoczonej Lewicy.

Po śmierci matki, która zginęła w katastrofie smoleńskiej, została wiceprezeską zarządu Fundacji im. Izabeli Jarugi-Nowackiej, która działała na rzecz „praw człowieka, w szczególności praw kobiet i równego statusu płci, przeciwdziałania wszelkim przejawom dyskryminacji ze względu na płeć, wiek, rasę pochodzenie etniczne, status ekonomiczny i społeczny, światopogląd, niepełnosprawność lub orientację seksualną”.

Angażowała się w czarne protesty przeciwko zaostrzeniu prawa antyaborcyjnego. Za działalność na rzecz kobiet w 2016 r. znalazła się na liście Top 100 Global Thinkers amerykańskiego czasopisma „Foreign Policy”. A rok później dostała – razem z komitetem inicjatywy ustawodawczej Ratujmy Kobiety – międzynarodową nagrodę „Dla wolności kobiet” im. Simone de Beauvoir.

Nowacka do MEN-owskiego gabinetu dobrała ludzi, którzy styczeńność ze szkołą mieli. Jej prawą ręką jest **Katarzyna Lubnauer** z Nowoczesnej – absolwentka matematyki na Uniwersytecie Łódzkim. Pracowała tam jako adiunktka w Katedrze Teorii Prawdopodobieństwa i Statystyki. Uczyla też matematyki w VIII LO im. Adama Asnyka w Łodzi. U schyłku rządów PiS zasłynęła – z Krystyną Szumilas – ujawnieniem dokumentów w sprawie „Willi plus”, czyli aferze z dotacjami przyznanymi przez resort Czarnka organizacjom związanym ze Zjednoczoną Prawicą. To ona wzięła na barki najważniejsze dla szkoły tematy. Odpowiada za wdrażanie reformy oświaty, podstawy programowe, podręczniki, religię, ocenianie, egzaminy, aż po organizację roku szkolnego.

Szkolny rodowód ma też wiceministra **Izabela Ziętka** z Polski 2050 – pedagożka

specjalna, polonistka, była dyrektorka specjalnego ośrodka szkolno-wychowawczego w Gubinie. Z kolei **Henryk Kiepusa** z PSL to samorządowiec i prawnik. Zna edukację od strony organu prowadzącego.

Doświadczenia szkolnego nie ma **Joanna Mucha** z Polski 2050 – ekonomistka z wykształcenia. Kierowała za to resortem sportu u Tuska w latach 2011-13. Zna się na zarządzaniu. Zajmuje się rozliczaniem afer, w tym „Willa plus” i „Bizancjum”, czyli ekstrawaganckimi wydatkami w Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji. Odpowiada też za ukraińskie dzieci w szkołach.

Paulina Piechna-Więckiewicz z Nowej Lewicy pracy w szkole też nie doświadczyła. Sprawdza się jednak jako pełnomocniczka ministra edukacji ds. zdrowia psychicznego uczniów.

Wydawałoby się, że to **dream team**: **Lubnauer** – umysł ścisły z pewnym doświadczeniem w szkole, **Ziętka** – pedagożka, **Kiepusa** – samorządowiec, **Mucha** – wrażliwa społecznie była ministrem z dużym doświadczeniem urzędniczym, a nad nimi **Nowacka** – zawodowa polityczka, o jakiej wielu obserwatorów życia publicznego marzyło, o szerokich horyzontach, zorientowana w wielkich trendach cywilizacyjnych.

Ale okazuje się, że to wciąż za mało. A na pewno daleko do „gabinetu technicznego”, unikającego politycznych imb – oceniają krytycy Nowackiej, którzy domagają się długofalowej strategii polityki oświatowej. Na miarę reform takich, jak w Walii, które trwały przeszło dekadę i były projektowane przez wszystkie środowiska polityczne: od lewicy po prawicę.

Gdy pytam kierownictwo resortu o wizję reformy, słyszę, że wciąż się wykuwa. I że nie jest pisana przez polityków, tylko przez ekspertów.

Rzeczywiście, MEN powołał szereg zespołów do spraw wszelakich (podstaw programowych, oceniania, praw i obowiązków



• Pierwszy dzień urzędowania Barbary Nowackiej w Ministerstwie Edukacji przy Alei Szucha w Warszawie, 13 grudnia 2023 r.

FOT. JACEK MARCZEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

ucznia, wsparcia nauczycieli, ramowych planów nauczania), do którego doprosił tych nauczycieli i aktywistów, którzy za Czarnka aktywnie udzielali się (głównie na ulicach, protestach i pikietach) w kwestii edukacji.

Tyle że choć w zespołach prace trwają, na razie niewiele wnoszą do debaty publicznej. A zaproszeni społecznicy i „silaczk” oraz „silacze” publicznie kręcą nosem na kierownictwo resortu.

Tymczasem ministerstwo kreśli ambitne plany. Jak ostatnio się dowiedzieliśmy, reforma to nie tylko zmiana podstaw programowych zapowiadana od 2026 roku, ale aż osiem filarów:

1. wiedza, kompetencje, sprawczość uczniów i uczennic;
2. wzmocnienie nauczycieli;
3. wspierające ocenianie;
4. mądre egzaminy;
5. wspomaganie pracy szkół;
6. rola wychowawcza szkół;
7. dobre podręczniki;
8. redefinicja autonomii szkół.

Moglibyśmy te punkty rozwijać, ale w zasadzie mówią same za siebie: oto w końcu, po latach przywoływania skandynawskich wzorców, doczekamy się przysłowiowej „fińskiej szkoły”. Gdy jednak dopytuję twórców tej wizji, jak zostanie ona przekuta na szkolną rzeczywistość, najczęstszą odpowiedzią jest: „zespoły eksperckie nad tym pracują”.

Danuta Kozakiewicz: – Narzekania oświatowców wynikają z braku dobrego przekazu na temat tego, na czym konkretnie polegać ma reforma. My do dziś nie wiemy, co dokładnie nas czeka. Te zmiany, które się pokazują, pojawiają się bez przedstawienia całości planu. Jest taka przypowieść o kamieniarzach. Ten, który ma świadomość, że buduje katedrę, pracuje najlepiej. A ten, który uważa, że tylko łupie kamienie, pracuje słabo. Tak samo jest z nami: jeśli wiemy, do czego dążymy, mamy wizję reformy, wiemy, na czym ona ma polegać, wtedy każdy kamyczek powinien pasować nam do tej układanki i zaczynamy rozumieć, o co tu chodzi. Natomiast teraz ma-

my podawane zmiany i nie do końca czujemy, że zostały skonsultowane z praktykami, takie, które nie do końca świadczą o uwzględnieniu naszej autonomii, dosyć mocno ingerują w to, co się dzieje. I nie zawsze rozumiemy, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi.

A najgorsze, że słyszymy o wejściu w życie wielkiej reformy już w 2026 roku. Zapowiedzi są bardzo szumne i bardzo nas cieszą, bo reforma powinna być wielka. Ale nie wiemy, co za tymi zapowiedziami się naprawdę kryje.

• To, co widać, to na razie zmiany efektowne, ale punktowe:

- wymiana kuratorów oświaty (za słynną Barbarą Nowak z Krakowa, która stała się symbolem upolitycznienia i topornej bogoojczyźnianej ideologizacji oświaty, mało kto tęskni),
- ograniczenie prac domowych,
- 30-procentowe podwyżki dla nauczycieli,
- odchudzenie podstaw programowych,
- zniesienie niesławnego czarnkowego HiT-u,
- wprowadzenie już od tego września nowego przedmiotu – edukacji obywatelskiej (ma być praktyczny, ma kształtować postawy obywatelskie, ale i patriotyczne, ma pokazać Polskę w kontekście europejskim i globalnym),

■

Gdy pytam w ministerstwie, czy czas wdrażania reformy podyktowany jest kalendarzem politycznym, słyszę, że „nie ma rzeczy, która nie byłaby zależna od wyborów prezydenckich”

- zniesienie WDŻ z jego kuriozami w rodzaju podręcznika informującego, że „ciało kobiety jest glebą, a mężczyzna to siewca, który składa nań życie”,
- próby wprowadzenia edukacji zdrowotnej – obejmującej nie tylko tematykę seksualną, na której w ramach wojny kulturowej skupił się atak prawicy i z powodu której utracił ją konserwatywny szef MON, wyra- stający na „drugiego po Tusku” peeselowiec Władysław Kosiniak-Kamysz, ale też zdrowie fizyczne i psychiczne, odżywianie i profilaktykę uzależnień, oraz

- ograniczenie lekcji religii z dwóch do jednej tygodniowo.
- Gdy lekarze podejmują leczenie chorego w ostrym stanie, najpierw dają mu środek przeciwzapalny i robią badania. Dopiero na tej podstawie szykują pacjenta do gruntownej operacji, która ma doprowadzić go do zdrowia. Szybkie urealnienie podstaw programowych, zadania domowe – to działania doraźne dla pacjenta w stanie głębokiej zapaści. To nie są działania bez sensu – uspokajał niespokojnych dr Tomasz Gajderowicz, wiceszef Instytutu Badań Edukacyjnych jeszcze w marcu.

Głównym zadaniem IBE jest prowadzenie badań naukowych nad funkcjonowaniem i efektywnością systemu edukacji w Polsce. Przeprowadza m.in. słynne międzynarodowe badania PISA i TIMSS. Od niedawna jest też odpowiedzialny za merytoryczne przygotowanie reformy oświaty. I, jak słyszę, środowisku oświatowemu nie podoba się właśnie ten ruch. Dlaczego?

Dr hab. Dawid Sześciło, prawnik z UW, związany z SOS dla Edukacji, mówił w „Wyborczej”, że IBE jest od badań, nie od reformowania. – To silna instytucja od strony analitycznej, eksperckiej, której można ufać, jeśli chodzi o jakość ekspertyzy. Ale to po stronie MEN, nie IBE, leży zaprojektowanie procesu reformy i zadbanie o to, by była prowadzona z udziałem szerokiego grona interesariuszy – uważa.

– Ministerstwo jest zbyt słabe od strony koncepcyjnej, żeby wypracować założenia realnej reformy systemu oświaty. Ale rozwiązaniem nie jest zrzucanie tego na IBE. Bo IBE ma dostarczać wiedzy, materiału analitycznego, a polityka państwa ma powstawać gdzie indziej. I przeczucie na barki IBE tej odpowiedzialności za tworzenie polityki oświatowej jest pomyleniem roli tej instytucji. Może jedynie narazić ją na problemy. Będzie zderzaniem, a w najgorszym wypadku kozłem ofiarnym – przewiduje prawnik.

Gajderowicz odpowiada tak: – Gdyby moja rola miała ograniczać się do wykonywania poleceń politycznych, a nie proponowania merytorycznych rozwiązań, to na pewno by mnie tu nie było.

I przekonuje, że IBE ma plan, by tak zmienić system, żeby PiS po ewentualnym powrocie do władzy nie mógł od razu wszystkiego odkręcić. Zmiany mają być nie tylko ustawowe – ustawy można przepisać w jedną noc – ale naprawdę głębokie. A że jesteśmy, jak ironizują aktywiści, na etapie wbicia pierwszej łopaty? – To nie płacek, który kładziesz na stół. Reforma to proces ciągłego doskonalenia się. To podstawowe założenie tej reformy. Ucząca się szkoła – mówi.

Największe wyzwanie? Zmiana sposobu prowadzenia lekcji przez nauczycielki i nauczycieli. I zmiana myślenia o nauczaniu w ogóle. Ma być więcej praktyki, więcej sprawczości, krytycznego myślenia, więcej powiązań między przedmiotami. A metody mają być dobierane tylko takie, które są skuteczne. A swoją skuteczność mają potwierdzać w badaniach naukowych.

Tylko jak przekonać do tego nauczycieli? Zmęczonych, wypalonych, po pięćdziesiątce, z wciąż zbyt niskimi wynagrodzeniami, często na dwóch etatach, często pracujących w wielu szkołach? Oraz – o czym w resorcie głośno nikt nie mówi, ale wspominają o tym sami zaangażowani nauczyciele – nierzadko przypadkowych, idących do zawodu po krótkiej specjalizacji nauczycielskiej na studiach nie z powołania, a z braku lepszego pomysłu lub wiary, że poradzą sobie na rynku pracy w swojej dziedzinie.

W IBE nazywają to „luką wdrożeniową”. Bo jeśli ci zmęczeni nauczyciele do zmian resortu nie będą przekonani, a co gorsza – nieprzygotowani, to wdrażać ich nie będą.

Karol Dudek-Różycki: – Uważam, że podstawy programowe są tak złe, że gorsze być nie mogą. Przeładowane, przestarzałe, przegadane, bez powiązań między przedmiotami, przypominające te z PRL-u, szczególnie jeśli chodzi o przedmioty przyrodnicze. Sukces więc będzie niezależnie od tego, kto by rządził, jeśli tylko wprowadzi jakkolwiek zmianę. Przynajmniej w przypadku przedmiotów przyrodniczych. Natomiast czas jest czynnikiem limitującym. Jeśli mamy wprowadzać coś sensownego, dobrego w 2026 roku, to musi być przygotowane z sensem. Nie chodzi tylko o podręczniki, przeszkolenie nauczycieli, chodzi o przygotowanie wszystkiego. To ma być zupełnie nowe spojrzenie, wyprowadzenie polskiej edukacji z marazmu postsowieckiego w świeży oddech Europy Zachodniej. Musimy spojrzeć na edukację w zupełnie inny sposób.

A do tego potrzebni są odpowiednio przygotowani nauczyciele. A my tego w ogóle nie robimy. Przygotowujemy podstawy programowe, chociażby świetne, ale przecież ktoś tego będzie musiał uczyć. Ktoś będzie musiał się z tym zmierzyć. Ja mogę wysłać pani najlepszy przepis na sernik. I jak ja go zrobię, to będzie pyszny. A jak pani go zrobi, to będzie nie do zjedzenia. To jest na takiej samej zasadzie.

Trzeba mieć świadomość, że wszystkie zmiany zależą od nauczycieli. I dopóki nie rozpocznie się zmian od kształcenia nauczycieli, od zmiany statusu finansowego nauczycieli, od weryfikacji nauczycieli, to żadne zmiany nie będą wprowadzone dobrze. Bo pomysłów możemy mieć tysiące i nie chodzi o to, kto ma rację, tylko o to, że jeden czy drugi pomysł jest bez sensu, jeśli osoby, które mają te pomysły wprowadzać, nie będą do tego odpowiednio przygotowane. A nie są. Przez lata zaniedbań mamy w szkole gros osób przypadkowych, które się nie nadają do tej pracy. Ale mamy też gros osób, które są rewelacyjne, ale już po prostu pracują ponad siły i to za bardzo małe pieniądze i należy te osoby docenić. I od tego trzeba zacząć.

• Nad wdrażaniem reformy ma czuwać Rada ds. Monitorowania Wdrażania Reformy Oświaty im. KEN powołana przy IBE. Złożona z nauczycieli, dyrektorów, związkowców, akademików, przedsiębiorców, samorządowców, wydawców, ma nadzorować prace IBE związane z reformą, rekomendować rozwiązania i „krytycznie przyglądać się temu, co robi IBE”. – Mam nadzieję, że rada zostanie z nami na dłużej i będzie nadzorowała jakość edukacji. Jak Komisja Edukacji Narodowej – mówił „Wyborczej” wiceszef IBE dr Tomasz Gajderowicz.

Radzie przewodniczy prof. Zbigniew Marciniak z Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, a obserwatorami jej prac mają być ministrowie sportu, kultury, cyfryzacji, klimatu, rolnictwa, sprawiedliwości, finansów, rodziny, nauki i obrony narodowej. Czyli w zasadzie wszyscy, których dziedziny splatają się z edukacją. Można pomysłu – spełnienie marzeń wszystkich ekspertów i społeczników od lat zabiegających o tzw. holistyczne, nie wycinkowe i „silo-sowe” podejście do oświaty. Ale to też się w środowisku nie podoba.

– Słychać pomruk niezadowolenia. KEN to instytucja, która ma swój copyright. Nie chodziło nam o kolejną radę – słyszę od aktywistów. Bo KEN, przypominają, to nie było żadne ciało doradcze, jedno z wielu i być może fasadowe, ale pierwsza w Polsce i Europie instytucja o charakterze współczesnego ministerstwa oświaty. Która w ramach prób ratowania Rzeczypospolitej, w cieniu pierwszego rozbioru, ostro zabrała się za projektowanie oświeconej powszechnej i możliwie egalitarnej edukacji.

Dawid Sześciło, który opracował dla SOS dla Edukacji założenia KEN, nie krył rozczarowania. Mówił „Wyborczej”: – To nie jest inicjatywa, która ma szanse cokolwiek zmienić, jeśli chodzi o szerszą reformę systemu oświaty w Polsce. W naszym kraju rad to ko-

lejna rada, która będzie miała wyłącznie opiniodawczo-doradczy charakter. Według niego niezbędne jest powołanie współczesnej Komisji Edukacji Narodowej, która byłaby sprawcza, nadawała kierunek i konkretne rozwiązania legislacyjne polityki oświatowej, czyli odciążałaby w dużej mierze MEN. – To, czego polska szkoła po ośmiu poprzednich latach potrzebowała, to spokój i namysł nad całościową zmianą. Spokojne wypracowanie wizji całościowych zmian, które byłyby owocem współpracy wszystkich najistotniejszych aktorów w tym systemie oświaty, a nie wynikiem wyłącznie politycznej kalkulacji, co się w danym momencie dobrze sprzeda – komentował.

Jarosław Pytlak: – Nie ma bardziej palącego problemu niż przebudowa systemu edukacji. Ale ja najpierw uporządkowałbym sprawy prostsze, dotyczące warunków pracy w szkołach. A jednocześnie zorganizowałbym taką pracę nad przyszłością edukacji, która nie zostanie wyrzucona do kosza przez następną ekipę. Czyli zaprosiłbym też ekspertów PiS. Nie wiem, czy to jest możliwe, ale wiem, że to, co teraz robimy, przy najbliższej okazji skończy się wywróceniem stolika. Na pierwszy ogień pod młotek pójdzie edukacja zdrowotna. Tak jak HiT teraz.

A to, co mnie wkurza maksymalnie to fasadowość konsultacji. Byłem członkiem jednego z ministerialnych zespołów. Wymyślaliśmy np. harmonogram ferii. Oddaliśmy nasze wnioski. A pani minister ogłosiła, że będzie inaczej. No to mnie szlag trafił.

●
O ile treść reformy ma być wypracowana przez ekspertów, to decyzja o harmonogramie jest decyzją polityków. A harmonogram wdrażania reformy jest taki: Podstawy programowe dla I i IV klasy, zgodnie z obietnicami resortu, mają być gotowe do września. Pozostanie rok na napisanie programów nauczania, podręczników i przeszkolenie kadry. We wrześniu 2026 roku z nowych podręczników mają zacząć uczyć się klasy I i IV szkoły podstawowej, w 2027 – klasy II i V, w 2028 – III i VI, w 2029 – VII, w 2030 – VIII. Klasy I szkół średnich nowe podręczniki mają dostać we wrześniu 2027 r. W 2028 klasy II, w 2029 klasy III, w 2030 klasy IV, w 2031 – klasy V technikum. Nowe egzaminy zaplanowane są na rok 2023.

Gajderowicz nie ukrywa, że czasu jest mało. – Idealnie byłoby mieć 12 lat na to, żeby to wszystko przygotować – przyznaje. – Rozumiemy jednak, że to decyzja polityczna. I są argumenty za tym, żeby spróbować jak najszybciej: żeby objąć zmianami w możliwie krótkim czasie największą liczbę uczniów, żeby już mogli na tym skorzystać. Ale podkreślam, że ta reforma nie polega na tym, że we wszystkich obszarach naraz wchodzimy do szkół i wywracamy nauczanie – zaznacza.

Gdy pytam w ministerstwie, czy czas wdrażania reformy podyktowany jest kalendarzem politycznym, słyszę, że „nie ma rzeczy, która nie byłaby zależna od wyborów prezydenckich”.

Gajderowicz jest przekonany, że jeśli zmiany nie zaczniemy teraz, to już jej nie zaczniemy w ogóle. – Próbujemy jednak wyjść naprzeciw temu deficytowi czasu i już konsultujemy nasze pomysły. Konsultacje będą szersze niż do tej pory, koordynowane przez kuratorów w 16 województwach, by dotrzeć do wszystkich nauczycieli, do wszystkich chętnych szkół spoza warszawskiej bałki, która dominuje dyskusję. Powstają zespoły ekspertów odpowiedzialne za kolejne obszary, których będzie dotyczyć reforma – wymienia.

Czasu rzeczywiście mogło być więcej. Od kwietnia do grudnia trwały prace nad profilem absolwenta, czyli dokumentem, który ma powiedzieć, kogo i w jaki sposób polska szkoła ma wykształcić do 2030 r. Po dziewięciu miesiącach IBE zaprezentowało kółko z pożądanymi „kompetencjami absolwenta”, czyli z wartościami, umiejętnościami i obszarami kształcenia. Ten „gadżet za trzy miliony”, jak komentują wynik prac nieprzychylni, ma być kotwicą dla podstaw pro-

gramowych wszystkich przedmiotów. Jak podkreślają twórcy, muszą się przekładać nie tylko na treść podręczników, ale także na metody rzeczywiście stosowane przez nauczycielki i nauczycieli. Istnieje obawa, że jeśli dziewięć miesięcy trwało stworzenie tego schematu, MEN i IBE mogą nie wyrobić się z całą resztą – podstawami programowymi, programami nauczania, podręcznikami, szkoleniem kadry. No i konsultowaniem się ze społeczeństwem w tej sprawie.

A potrzeba uspołecznienia procesu jest w środowisku szkolnym bardzo silna.

Jerzy Wiśniewski: – Od centralizacji oświaty żęśmy się nie wyzwolili. Jak wdrażamy reformę? Z jednej strony mamy hasła typu profil absolwenta, które nijak się nie przekładają na praktykę. Dostaliśmy diagram, który mówi o wartościach i sprawczości. Jak to osiągnąć w 30-osobowej klasie z nauczycielem, który pracuje w kilku szkołach? Nikt tego nie mówi. A z drugiej strony nie robimy rzeczy, które doraźnie mogłyby tę praktykę pracy szkół i nauczycieli poprawić. W tej dyskusji le dwie są dotknięte kwestie kompetencji nauczycieli, mamy ogólne rzeczy, bez struktury.

Wpadliśmy w pułapkę populizmu. Objawy? Wrzucanie takich rzeczy jak prace domowe przy braku rzetelnej diagnozy tego, co nie działa. Trzeba dać szkołom więcej luzu, rzeczywiście autonomii.

Iga Kazimierczyk: – Zostawiamy półtora roku na przygotowanie podstaw, podręczników i przeszkolenia nauczycieli. Podstawy programowe pisze się długo, napisanie podręczników, jeśli zakładamy, że mają mieć wysoką jakość, również zajmuje czas. A podręcznik musi mieć też obudowę metodyczną, odpowiednie ilustracje. I mamy na to półtora roku? Nauczyciele już obawiają się, że ta reforma będzie papierowa. Mówią wprost: chcicie mieć reformę szybką, to ją zrobimy, będą zmiany w dokumentach, ale szkolna rzeczywistość zmieni się w niewielkim stopniu.

Nauczyciele obawiają się i tego, że jeśli dojdzie do zmian politycznych, ta reforma zostanie cofnięta. Zrozumiałe, że w kampanii prezydenckiej jakiś sukces trzeba dowieźć. Ale chodzi o to, czy jest to sensowne. Bo czasem lepiej stać w miejscu niż głupio chodzić w kółko.

I niestety, przyglądając się pewnym zmianom, które zachodzą w resorcie, odnoszę wrażenie, że jest to ministerstwo nadmiarowych kroków. Dobrym przykładem jest edukacja zdrowotna. Było wiele prac, żeby przedmiot – sensowny i potrzebny – wprowadzić. Ale okazało się, że to ma dziać się na szybko, bez korekty siatki godzin, bez przeszkolenia nauczycieli, z dużym oporem części rodziców. Efekt? Dużo pracy po nic – przedmiot będzie dobrowolny. Nie trzeba robić wszystkiego, wszędzie i naraz.

A te zmiany, które nam się proponuje, wciąż nie są ze sobą powiązane. Mówimy o autonomii nauczyciela, ale godziny czarnkowe nadal są utrzymywane [oprotestowany bezskutecznie przez przeciążonych nauczycieli wymóg bycia dostępnymi przez godzinę w tygodniu dla rodziców, niezależnie od wywiadówek i dni otwartych]. Główny zarzut, który pojawia się w środowiskach nauczycielskich, który ja podzielam, że to nie jest reforma edukacji. To zmiana podstaw programowych. Potrzebna, ale kiedy mówimy „reforma” to powinniśmy rozmawiać również o zmianie systemu kształcenia nauczycieli, ich wspierania, musimy mieć pomysł na to, jak doskonalić tych, którzy już pracują. Zarzucanie nauczycieli kolejnymi szkoleniami to nie to, czego potrzebują.

A my już wiemy, że w tej reformie właśnie to jest polem ryzyka i braku. Na razie nie ma pomysłu, jak nauczycieli wspierać, a to jest kluczowe. 10 osób z różnymi orzeczeniami w klasie, kadra pracująca ponad siły, wypalenie zawodowe – to są wyzwania na już. I nauczyciele widzą, że kwestia profilu absolwenta nie koresponduje z tymi kryzysami, który dzieją się teraz. Dlatego trudno zmianę podstaw programowych nazwać reformą.

Jeszcze kwestia języka. Czarnek mówił językiem, który był obcy, wykluczający, agresywny, momentami bardzo niekulturalny. To ministerstwo mówi językiem, jakim przez lata mówili społecznicy. Tylko nie robi tego, o czym

mówili. Może stąd bierze się ta frustracja, że nauczyciele słyszą z ust ministery swoje własne komunikaty, ale nie widzą za nimi czynów. Konsultujemy, wzrasta prestiż, nauczyciele są filarem zmian? A realia to 5 proc. podwyżki, żadnych widoków na kolejne urealnienie plac, zakaz prac domowych, centralne ustalanie, jak ma być układany plan lekcji. W nauczycielach wzrasta frustracja. Bo ministerstwo, choć zajęte wprowadzaniem zmian, nie podejmuje tematów zgłaszanych przez środowisko.

●
Dlaczego MEN nie zabiera się za nauczycieli? Poprzestał na 30-procentowej podwyżce. W tym roku to już jedynie 5 proc. Związek Nauczycielstwa Polskiego domaga się powiązania nauczycielskich plac ze średnim wynagrodzeniem w gospodarce. Projekt obywatelski ZNP-owcy napisali w 2021 r., PiS wsadził go do zamrażarki, marszałek Szymon Hołownia odmroził, ale od pierwszego czytania w Sejmie minął już rok. Zdążono powołać podkomisję.

Gdy pytam w MEN, czy jest wola polityczna, żeby ten temat ruszyć, słyszę, że jest. Przecież sam premier Tusk to ogłosił.

Gdy pytam: kiedy, słyszę, że w tym roku nie, w następnym też pewnie nie. Dlaczego? „Bo PiS zrujnował skarbiec”. A jeszcze trzeba służbę zdrowia ratować.

■
Dr Karol Dudek-Różycki, nauczyciel chemii, społecznik:
Nie chodzi tylko o podręczniki, o podstawy programowe. To ma być zupełnie nowe spojrzenie, wyprowadzenie polskiej edukacji z marazmu postsowieckiego. Do tego potrzebni są przygotowani nauczyciele

Inny zarzut środowiska jest taki, że stracono czas i energię na małe zmiany, te „środki przeciwwzpalne” czy, jak chce MEN, „jaskółki reformy”. Miały przynieść polityczny zysk, ale w szkołach wywołały niepokój. Zaczęło się od zadań domowych. O ich zniesienie prosił Maciej z Włocławka. A prosił nie byle kogo – samego Donalda Tuska podczas wiecu w połowie sierpnia przed październikowymi wyborami 2023 roku. Trzy tygodnie potem hasło „zlikwidujemy prace domowe w szkołach podstawowych” stało się częścią „100 konkretów” KO. Stało na ich ograniczeniu – można je zadawać, ale nie na ocenę – i tylko w szkołach podstawowych. Nowacka już potwierdziła, że nie przewiduje takiego rozporządzenia dla szkół średnich.

W resorcie wiedzą, że uczniowie są prze-męczeni, zwłaszcza z liceach, które walczą o pozycję w rankingu, po 8-9 godzinach w szkole drugie pół etatu odsiadują – po tym, jak już skończą korepetycje i naukę do taśmowo urządzanych sprawdzianów – nad zeszytami w domu. Ale opór pedagogów był silny. Ministra usłyszała, że to ograniczanie autonomii szkół, wchodzenie w metodykę nauczania nauczycielek i nauczycieli, że to ręczne sterowanie rozporządzeniem. A to przecież szkoły najlepiej znają swoje warunki, swoich podopiecznych i ich potrzeby.

Kolejnym manewrem, który miał zdobyć przychylność wyborców, miało być usunięcie ze szkół przedmiotu, który wprowadził Czarnek. Historia i Teraźniejszość był symbolem konserwatywnej władzy, a przesiąknięty wyrzekaniem na współczesną cywilizację podręcznik prof. Wojciecha Roszkowskiego jego emanacją. Nowacka postanowiła się go pozbyć. Eksperci stworzyli nowoczesną podstawę programową do edukacji obywatelskiej, przedmiotu, który już od września – rok przed właściwą reformą – ma go zastąpić. I ten dokument zebrał dobre opi-

nie, chociaż – znowu – praktycy mówili, że usuwanie HiT-u to raczej polityczny ruch, bo znakomita większość szkół z podręcznika Roszkowskiego i tak nie korzystała, że nauczyciele już znaleźli swoje sposoby, jak uczyć tego przedmiotu i to tylko niepotrzebne zamieszanie.

Większa burza przetoczyła się po próbach wprowadzenia obowiązkowej edukacji zdrowotnej. Nowacka poległa, nóż w plecy wbił jej koalicjant z PSL. A ministra mogła sama się cofnąć, nie pod wpływem partyjnych czy kampanijnych rozgrywek, tylko z bardziej realnego i prozaicznego powodu: nie ma przeszkolonej kadry do całkowicie nowego przedmiotu.

Iga Kazimierczyk: – Pomysł z edukacją zdrowotną jako osobnym przedmiotem był bardzo dobry. Wydzielenie go miało wymiar symboliczny, nadający mu wysoki status. Ale nie było czasu na przygotowania do jego wprowadzenia. Nauczyciele nie czuli się przygotowani merytorycznie i emocjonalnie do rozmawiania o tematach, które bywają trudne. Przedmiot miał być realizowany bez korekty siatki godzin – czyli dodajemy coś nowego nie w zamian za coś, a dokładając uczniom obowiązków. No i przygotowanie opinii publicznej do takiego przedmiotu powinno być oparte na dyplomacji, a nie tylko na serwowaniu argumentów politycznych.

A dyskusja o nim nie powinna toczyć się w cieniu kampanii, bo przy okazji poruszane były kwestie światopoglądu, które tylko dolewały oliwy do ognia konfliktów toczących się wokół edukacji. A kwestie światopoglądowe są jak ostra przyprawa w jedzeniu – wyciągają na wierzch wszystkie antagonizmy i niestety dokładają do tego kotła szkolnych konfliktów między rodzicami.

●
Obserwując dyskusję wokół edukacji zdrowotnej, widzieliśmy podobne poruszenie, jak przy „lex Czarnek”. Tam też emocje rozpalalo słowo na „s”. To powinno być wskazówką dla rządzących, że podejmowanie takich tematów, choć ważne, wymaga więcej czasu, argumentów i umiejętności mierzenia się z krytyką.

Wicepremier Kosiniak-Kamysz próbował też zablokować ograniczanie lekcji religii, ale tu Nowacka postawiła na swoim, mimo głośnego sprzeciwu Kościoła.

●
To jak w końcu jest? Czy dla szkół te „jaskółki” reformy to „środki przeciwwzpalne”? Religia, która i tak jest dla chętnych? Nawet odchudzenie znienawidzonych podstaw programowych autorstwa Anny Zalewskiej do 20 proc. zostało przyjęte ze średnim entuzjazmem. Środowisko orzekło, że można było ciąć bardziej. Ciśnie się więc mało konstruktywny komentarz: a mogliśmy w tym czasie skupić się na dużej reformie.

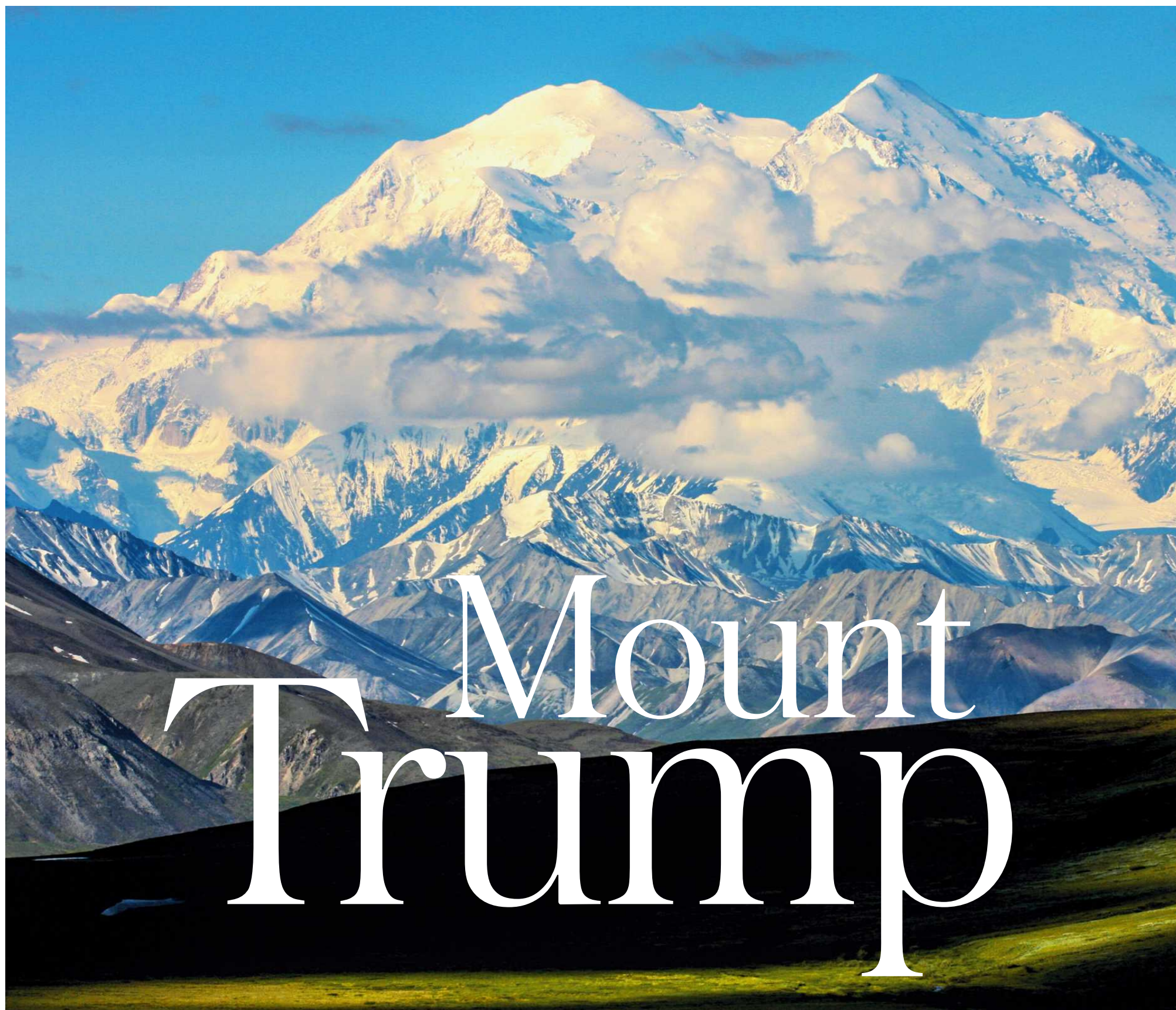
Ale możemy jeszcze coś ugrać i na czasie zyskać. Jak? Opóźnić reformę o rok.

Ministerstwo na zarzut „naklejania plasterka” i chwytów pod publiczność odpowiada pytaniem: a co z dziećmi, które teraz są w szkole? Dla nich też coś musi się zmienić na lepsze. – Ludzie by nas rozjechali, nie tylko jako polityków, bo oczekiwanie na zmiany jest duże – przekonuje resort.

Na co aktywiści odpowiadają, że opóźnienie reformy i jej gruntowne przygotowanie może przynieść lepsze skutki. Nawet jeśli PiS czy jakies jego nowe wcielenie wygrają w 2027 roku, to trudno będzie im odwrócić naprawdę głębokie zmiany, sięgające wszystkiego, od podręczników przez programy po pokój nauczycielski.

A najważniejsi są w tym nauczyciele i ich przygotowanie, przekonanie i przeszkolenie. Na to trzeba czasu. Rozporządzeniem czy nowelizacją ustawy tego nie da się zrobić. Za to jeśli Nowackiej udałooby się zacząć oddolną rewolucję w myśleniu o uczeniu, to byłaby największa wartość i sukces tej reformy.

Może nie da się tego odtrąbić na konferencji jako sukces, odhaczyć, jak zadania domowe, ale – jak słyszę – długofalowo Nowacka zdobyłaby przychylność środowiska. Wszystkich świeżo upieczonych krytyków, którzy szczerze cieszyli się, że „mamy ministę jak ze Skandynawii”, a teraz przecierają oczy ze zdumienia. ●



Jaka będzie ta prezydentura? Taka, jak zamiana Denali w McKinley.

Aleksander Gurgul

Prezydent McKinley uczynił nasz kraj bardzo bogatym dzięki taryfom celnym i talentowi, był naturalnym biznesmenem i dał Teddy'emu Rooseveltowi pieniądze na dokonanie wielu wspinalnych rzeczy – oznajmił Donald Trump, 47. prezydent Stanów Zjednoczonych, podczas inauguracji. I wydał polecenie, by Denali na Alasce przywrócić poprzednią nazwę – Mount McKinley. Najwyższy szczyt Ameryki Północnej nosił ją właśnie na pamiątkę 25. prezydenta USA, którego we wrześniu 1901 r. śmiertelnie postrzelił Leon Czolgosz, anarchista, syn polskich emigrantów.

Wśród tych, którzy fetują pomysł Trumpa, jest m.in. Derrick Evans, skrajnie prawicowy polityk z Wirginii Zachodniej, który był w grupie skazanych za wtargnięcie na Kapitol. Zaraz po inauguracji Trump ułaskawił 1,5 tys. skazanych za atak na świąty-

nię demokracji, a Evans był jednym z nich. Natomiast nie wszyscy Republikanie są zachwyceni tym pomysłem Trumpa.

„Zdecydowanie nie zgadzam się z decyzją prezydenta” – napisała Lisa Murkowski, republikańska senatorka z Alaski, która przewodniczy senackiej komisji ds. Indian. I przypomniała, że Denali nazywali członkowie rdzennej społeczności Koyukon z grupy Atabasków. Ich język jest bliski wymarcia, a członkowie tej społeczności „opiekowali się tą ziemią od niepamiętnych czasów” – dodała senatorka.

– Wolę nazwę Denali, która została nadana tej wielkiej górze przez wspinały, patriotyczny lud Koyukon tysiące lat temu – powiedział drugi senator z Alaski, Dan Sullivan, w nagraniu, które opublikował na X. I ponarzekał, że media „obsesyjnie” rzucili się na ten pomysł Trumpa.

Faktycznie, od kilku dni o Denali piszą wszyscy. Artykuł kultowej górze poświęcił m.in. „Sports Illustrated”. W słynnym magazynie czytamy: „Denali przeszła znaczące zmiany odzwierciedlające przemiany kulturowe, polityczne i historyczne. Jej nazwa pokazuje napięcia między rdzenną tradycją a wpływami kolonialnymi”.

Jak na razie najważniejsze organizacje zrzeszające rdzennych mieszkańców Alaski nabrały wody w usta. Nie komentują na

gorąco decyzji Trumpa, mimo że pytania do nich ślą dziennikarze wielu amerykańskich redakcji.

Natomiast w wydawanej na Alasce gazecie „Juneau Empire” dzień po zaprzysiężeniu ukazał się sondaż, z którego wynika, że: 54 proc. mieszkańców stanu sprzeciwia się przechrzczeniu Denali z powrotem na McKinley, 26 proc. ją popiera, a 20 proc. nie ma zdania.

W badaniu wzięło udział ponad 1,8 tys. osób, a pytanie o zmianę nazwy góry było częścią szerszego sondażu na różne tematy, który przeprowadzono między 11 a 13 stycznia, a więc jeszcze zanim Trump wprowadził się do Białego Domu.

Margines błędu w badaniu jego autorzy – pracownia Alaska Survey Research – szacują na 2,3 proc., co oznacza, że nawet biorąc nań poprawkę, to i tak ponad połowa ludzi na Alasce nie popiera zmiany nazwy. Przy czym wśród zwolenników Trumpa za zmianą było 47 proc. badanych, ale przeciwko aż 37 proc.

Gerard M. Smith, adiunkt antropologii na Uniwersytecie Alaski w Anchorage, powiedział „The New York Times”, że nazwa Denali i tak się utrzyma. Trump może sobie zadekretować zmianę, ale ludzie zamiast tej oficjalnej nazwy będą i tak nazywać ją Denali, tak jak to robili od dawien dawna.

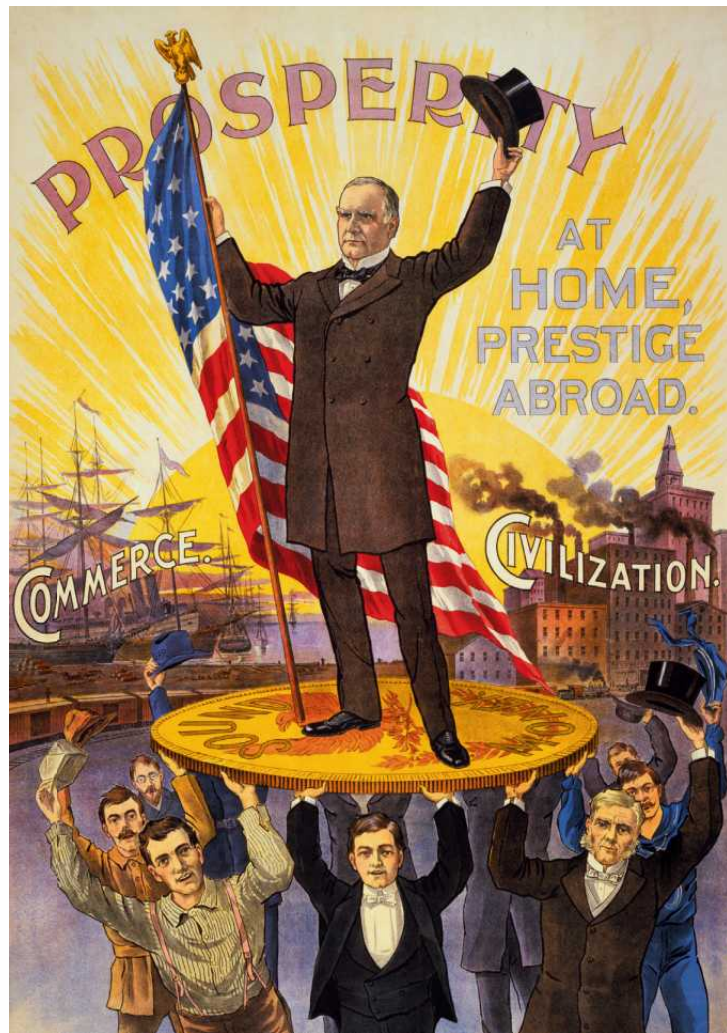
Jak na razie jedynie ultrakonserwatywna Oklahoma oficjalnie poinformowała, że

Denali zacznie nazywać McKinley, a Zatokę Meksykańską – Zatoką Amerykańską.

W 2007 r. na Denali, która jeszcze wtedy nazywała się Mount McKinley, wspinała się Martyna Wojciechowska. W ramach projektu „Korona Ziemi” zdobywała najwyższe szczyty na poszczególnych kontynentach.

W „Zapiskach (Pod)różnych” pisała później: „Anchorage nie jest pięknym miastem, ale ma zasadniczą zaletę – leży na Alasce i jest bazą wypadową do podróżowania po Parku Narodowym Denali. Krótko mówiąc, jeśli człowiek chce się wspiąć na szczyt McKinley, to po prostu musi się tu pojawić, żeby zrobić zakupy i przesiąść się do pociągu przecinającego Alaskę w kierunku północnym”.

Po kilku dniach Wojciechowska ruszyła w drogę, do Obozu I, ciągnąc załadowane sanie, a słońce paliło jej twarz. Potem było tylko gorzej: „Obudziłam się, bo miałam nieodparte wrażenie, że za chwilę nasz namiot z trzema osobami na pokładzie po prostu odleci. Wiał tak silny wiatr, że doginał stelaż do ziemi, wdmuchiwał przez niewidoczne szczeliny tumany śniegu do wnętrza i drwił sobie z nas, wiedząc, że niecierpliwie czekamy na poprawę pogody”. Kurczyły się zapasy, więc chodziła wyzebrać coś do jedzenia u sąsiednich ekip wspinaczkowych. „Muszę powiedzieć, że całkiem do-



• 25. prezydent William McKinley (1897-1901) obiecywał Amerykanom (jak na tym plakacie) dobrobyt w kraju i prestiż za granicą. Trump też obiecuje im Wielką Amerykę i zaczyna od Alaski. Ale za z pozoru niewinną zmianą nazwy góry, kryje się niebezpieczne przyzwolenie na wydobycie i wyrąb lasów na ogromną skalę. McKinley o klimacie nie musiał myśleć, Trump klimat ignoruje

FOT. SHUTTERSTOCK, REUTERS/DANIEL COLE, DOMENA PUBLICZNA

Zamiana nazwy z Denali na McKinley niesie symboliczne znaczenia. To za McKinleya Amerykanie przemocą przyłączyli Hawaje i wyszarpali w wyniku sprowokowanej wojny z Hiszpanią, którą nazwali wyzwolenczą – kawałek Kuby

brze mi szło. Szkoda tylko, że z takim trudem zdobyte jedzenie okazało się niezdatne do spożycia i spowodowało zatrucie pokarmowe u 2 z 4 naszych wspinaczy... Jak na złość ja nie zachorowałam, co ewidentnie sugerowało sabotaż” – wspominała później podróżniczka.

Ekipa podjęła decyzję, że zostawiają sanie i podchodzą lodowo-śnieżną ścianą *Head Wall* na wysokość 5 200 m n.p.m. do High Campu. Większość wspinaczy po noclegu z tego miejsca atakuje szczyt. Ale znów zerwał się huraganowy wiatr, który nie pozwolił nawet na wyjście z namiotu na sikanie. „Nigdy wcześniej nie zmarzłam tak jak tutaj! Nawet wybitny himalaista Jerzy Kukuczka w 1974 r. przyplącił zdobycie McKinleya amputacją palca u stopy” – czytamy w zapiskach Wojciechowskiej.

O tym straconym palcu w książce „Listy z pionowego świata. Wspomnienia żony himalaisty” pisała Cecylia Kukuczka, wdowa po najsłynniejszym polskim „zimowym wojowniku”, rywalu Reinholda Messnera. Do historii przeszło zdjęcie Kukuczki z alaskańskiego szpitala, na którym czyta „Playboya”.

Wróćmy do opowieści Wojciechowskiej: „Człowiek ma wrażenie, że taki sześciotysięcznik to pikuś, tymczasem niższe ciśnienie atmosferyczne spowodowane bliskością bieguna sprawia, że wdrapanie się na szczyt tej wysokości na Alasce można porównać do zdobycia siedmiotysięcznika w Hima-

lajach...”. Na szczęście przyszło okno pogodowe i widoki zapierające dech w piersiach. „Obrazy, które na zawsze pozostały w mojej głowie i dla których warto było przyjechać na Alaskę. Atak szczytowy zmęczył mnie bardziej niż zdobycie ośmiotysięcznika, ale to uczucie niewyobrażalnego szczęścia zrekompensowało wszystko... Stoję na dachu Ameryki Północnej, na wysokości 6194 m n.p.m., i niemal modłę się, żeby mnie nie zwiąło. Jest chyba – 40 stopni Celsjusza” – opisała Martyna wejście na szczyt.

Pierwszą kobietą, która weszła na szczyt Denali, była Barbara Washburn. Pionierka amerykańskiego kobiecego alpinizmu dokonała tego w czerwcu 1947 r.

Denali w lokalnym, rdzennym języku oznacza po prostu „wysoki”. Najwyższa góra Ameryki Północnej doczekała się tej nazwy dopiero w 2015 r. Ale to nie pierwsza taka zmiana. Nim stała się szczytem McKinleya, nosiła kilka innych imion, także takich, które nadawali jej... Rosjanie.

Do 1867 r. Alaska należała bowiem do Rosji. Dopiero wtedy to olbrzymie i zasobne w surowce terytorium odkupili Amerykanie. Carscy urzędnicy i administratorzy, co prawda podejrzewali, że surowców tam pełno, ale złota mieli dość na Syberii, a kolonia sprawiała same problemy; odległa, kosztowna w utrzymaniu i z kłopotliwymi, nie-

pokornymi rdzennymi mieszkańcami. Nim więc monumentalny, omiatany wichrami i słynący z błyskawicznie zmieniającej się pogody masyw został McKinleyem i Denali, najpierw był po prostu Bolszoją Górą, potem Tenadą – Wielką Górą, które to imię jeden z rosyjskich odkrywców również zaczerpnął z atabaskańskiego słownictwa – aż stał się Densmore’s Mountain. W ten sposób nowi gospodarze Alaski uhonorowali poszukiwacza złota, który zapuszczał się w ten zakątek Alaski jako jeden z pierwszych.

„Prezydenckie” imię, które nosiła przez blisko 100 lat, góra zawdzięcza pewnemu poszukiwaczowi złota. William Dickey był jednym z drobnych górników, którzy podczas gorączki złota penetrowali rejon Zatoki Cooka. Jak pisze National Park Service, czyli amerykańska służba parków narodowych, Dickey, zwolennik republikańskiego prezydenta elekta, nadał ośnieżonemu szczytowi imię swojego faworyta w 1897 r. w artykule dla „New York Sun”.

Pochodzący z Ohio McKinley nigdy nie odwiedził góry swojego imienia, nawet nie był na Alasce. Mimo to park narodowy, powołany w 1917 r. na terenach otaczających szczyt, też otrzymał jego imię.

Rok po tym, jak Kukuczka wdrapał się na McKinleya, władze stanowe rozpoczęły długie i zmutny proces zmiany nazwy na rdzenną, która lokalnie wciąż funkcjonowa-

ła. Zabiegała o to przede wszystkim Tanana Chiefs Conference, organizacja non-profit, koalicja ok. 40 wiosek, w których mieszkają rdzenni Alaskańczycy. Na poziomie federalnym przez lata zmianę nazwy blokowali politycy z Ohio. Ostatecznie, w sierpniu 2015 r., za zgodą prezydenta Baracka Obamy, Departament Spraw Wewnętrznych oficjalnie przemianował Mount McKinley na Denali. Administracja stanęła na stanowisku, że ustawa z 1947 r. daje sekretarzowi spraw wewnętrznych – a wówczas sekretarzyni, bo tę funkcję sprawowała Sally Jewell – uprawnienia do zmiany nazw geograficznych za pośrednictwem Amerykańskiej Rady ds. Nazw Geograficznych.

Jak na ironię to Demokratą zrobił coś, o co zabiegali politycy z krwiościami „czernego”, a więc republikańskiego stanu. A skrytykowali to oczywiście politycy z Ohio. „The New York Times” pisał wówczas, że Obama chce w ten sposób naprawić relacje rządu federalnego z rdzennymi mieszkańcami Alaski, co deklarował w kampanii wyborczej.

Zapowiedź zmiany nazwy na Denali 44. prezydent USA ogłosił podczas kilkudniowego tournée po tym stanie, kiedy zachęcał też do działań na rzecz walki ze zmianą klimatu. Czyli walki z czymś, w co Trump nie wierzy i właśnie zdecydował, że wycofa USA z porozumienia paryskiego, najważniejszego międzynarodowego pak-

tu, którego celem jest ograniczenie emisji, niebezpiecznie rozgrzewających planetę.

Gdy Obama przemianowywał McKinley na Denali, alaskańska gazeta „Anchorage Daily News” zamieściła tekst profesora Alana Boraasa z Kenai Peninsula College. Antropolog opowiadał, jak zmiana nazw geograficznych była częścią kolonizacji, którą biali osadnicy z Europy prowadzili przez kilka wieków w Ameryce Północnej.

Otóż marginalizacja i sekowanie rdzennych kultur objawiało się nie tylko tym, co znamy z podręczników do historii, powieści i filmu – przejmowaniem ich ziem, zapędzaniem do rezerwatów i pacyfikacjami. Również nadawaniem gór, rzekom i terytoriom imion bohaterów tej angielskiej, ale też francuskiej kolonizacji i późniejszego amerykańskiego osadnictwa. Lokalne społeczności były praktycznie wymazywane z krajobrazu, w którym mieszkaly od wieków, a ich ziemia symbolicznie zawłaszczana na mapach. Dlatego prof. Boraas nazwał decyzję Obamy „aktem dekolonizacji”.

„Nie jest zaskoczeniem, że czarny prezydent dekolonizuje nazwę jednego z najbardziej kultowych miejsc w Ameryce Północnej. Donald Trump przysiągł, że gdy zostanie wybrany na prezydenta, zmieni nazwę z powrotem na Mount McKinley. Byłby to akt neokolonializmu i przeciwieństwo dekolonizacji. Neokolonializm to praktyki dominacji ekonomicznej i kulturowej przez elitę władzy, czego celem jest kontrolowanie grup mniejszości” – pisał prof. Boraas. Proroczo, bo w 2015 r., jeszcze przed zaskakującym zwycięstwem prezydenckim milionera celebryty. Zasłużony alaskański antropolog nie dożył neokolonialnej decyzji Trumpa,

**Trump od razu po
zaprzyiężeniu podpisał
zarządzenie, które otwiera
Alaskę na eksploatację
surowców i wyręb lasów.
– 20 stycznia naprawdę
oznacza koniec wojny
administracji Bidena
z Alaską – oświadczył
gubernator Mike Dunleavy**

zmarł w 2019 r. Był najdłużej pracującym profesorem w Kenai Peninsula College.

Ale zamiana nazwy z Denali na McKinley ma więcej symbolicznych znaczeń. To za McKinleya Stany znacznie poszerzyły wpływy na świecie: Amerykanie przemocą przyłączyli Hawaje i wyszarpali – w wyniku sprowokowanej wojny z Hiszpanią, którą nazwali wyzwoleniczą – kawałek Kuby i politycznie zdominowali wyspę na kolejne lata.

Kiedy więc Trump ogłaszał zmianę nazwy Zatoki Meksykańskiej na Amerykańską, odzyskanie Kanału Panamskiego, a także zapowiedział przejęcie Grenlandii oraz wyprawę kolonizującą Marsa, zapachniało klasycznym amerykańskim neoimperializmem.

W ub.r. w „Wyborczej” rozmawialiśmy z Benem Goldfarbem, dziennikarzem, autorem książki „Crossings: How Road Ecology Is Shaping the Future of Our Planet”, czyli „Przejścia: jak ekologia dróg kształtuje przyszłość naszej planety”. Goldfarb opowiada w niej m.in. o eksperymencie, który od lat prowadzi władze parku narodowego Denali, dziś znacznie większego niż ten powołany w 1917 r. – obecnie ma prawie 24,5 tys. km kwadratowych.

Przez park przebiega licząca 148 km Denali Park Road. Drogę budowano od lat 20. zeszłego stulecia do 1938 r. Tylko częściowo jest asfaltowa, w dużej mierze to droga szutrowa, która ulega procesom erozji i musi być od czasu do czasu zamknięta i naprawiana. Ostatnie duże osuwisko było w 2014 r. Wtedy postanowiono zbudować za grube miliony dolarów most; jego otwarcie planowane jest na 2027 r. Wpływ na kondycję drogi ma także rozmarzanie wiecznej zmarzliny.

Od lat 70. odwiedzających park zaczęto intensywnie zachęcać, aby przesiadli się z prywatnych samochodów – gdyż w USA wiele parków narodowych Amerykanie zwiedzają, siedząc w aucie – do autobusu kursującego w takim rytmie, aby nie zakłócić migracji dzikich zwierząt, które o pewnych porach dnia chcą/muszą przejść przez drogę. Wśród gatunków, które migrują przez park Denali, są m.in. *Ovis dalli*, czyli owce jukońskie, żyją tam karibiu, jelenie, wilki i niedźwiedzie grizzly.

Ale ograniczenie ruchu samochodowego (w połowie lat 80. wprowadzono limit: od Memorial Day w maju do połowy września do parku może wjechać 10,5 tys. aut) ma jeszcze jeden skutek, którego turyści w pierwszej chwili nie odczuwają, ale szybko zaczynają się orientować – „jak tu cicho”. Otóż wyrugowanie samochodów z Denali Park Road, zmniejszono zanieczyszczenie hałasem do tego stopnia, że Goldfarb opisuje Denali jako „jeden z najlepszych krajobrazów dźwiękowych w Ameryce”.

„W sali symfonicznej Denali natura odgrywa dziwne, niepowtarzalne kompozycje – śpiew trznadli towarzyszący zejściu lawiny późną wiosną brzmi, powiedzmy, jak sekcja perkusyjna dudniąca za instrumentami dętymi drewnianymi” – pisze Goldfarb w książce. Żadnego – jak w polskich górach – warkotu silników, zgrzytu hamulców czy ryku klaksonów.

Ale niebawem Alaska może stać się jednym wielkim placem budowy – albo raczej naftowo-wiertniczym – bo Trump od razu po zaprzyiężeniu podpisał zarządzenie, które otwiera ten stan na eksploatację surowców i wyręb lasów. Przyklasnął temu gubernator Mike Dunleavy z Alaski i zwołał konferencję prasową, na której oświadczył, że ta decyzja dla niego jest jak wielkie sanie wypakowane prezentami na Boże Narodzenie. – 20 stycznia naprawdę oznacza koniec wojny administracji Bidena z Alaską – powiedział Dunleavy. A stojący u jego boku John Boyle, komisarz Departamentu Zasobów Naturalnych Alaski dodał, że „mamy rząd federalny, który zamiast traktować nas jak lenno, zamierza traktować nas jak równych partnerów”.

Ale zapytany o zmianę nazwy Denali na McKinley, gubernator oznajmił, że nie będzie zajmował publicznie stanowiska w tej sprawie. Wybiera się natomiast w lutym do Waszyngtonu, by przegadać sprawę z Trumpem. Ma poruszyć kwestię tego, co nazwa tej góry oznacza dla rdzennych mieszkańców Alaski.

– Dopóki nie przeprowadzę tej rozmowy, powstrzymam się od mówienia, co powinno być, a co nie. Ale w tej chwili nazwa brzmi Denali – powiedział gubernator dziennikarzom.

Już wiadomo, że z zarządzeniem Trumpa, które otwiera drogę nafciarzom i górnikom, powalczą w sądach organizacje ekologiczne. „Zachodnia Arktyka, Arctic National Wildlife Refuge i Tongass National Forest to tylko niektóre z terenów publicznych atakowanych przez nową administrację” – wymieniają aktywiści z organizacji Earthjustice, zapowiadając, że razem ze swoimi klientami na Alasce nie będą bezczynnie przyglądać się, jak przez przemysł wydobywczy niszczone są cenne siedliska przyrody, tereny łowieckie i miejsc tradycyjnych połowów. ●

Ludwik XIV



• **Zaostrzenie polityki imigracyjnej to nie deklaracja. Zatrzymywania i deportacje zaczęły się prawie od razu po inauguracji Trumpa. Na zdj. nielegalni imigranci na pokładzie wojskowego samolotu C-17 Globemaster III, który za chwilę wystartuje z lotniska Tucson w Arizonie. (23.01.2025)**

FOT. REUTERS/
DEPT. OF DEFENSE/
SENIOR AIRMAN
DEVLIN BISHOP

„Gdzie są prawnicy Trumpa” – martwi się najważniejsza gazeta amerykańskiego biznesu

Andrzej Lubowski

Lasada trójpodziału władzy stanowiąca podstawę ładu konstytucyjnego w USA rozgranicza, co należy do Kongresu, co do prezydenta, a co do systemu sądownictwa. Pierwsze decyzje prezydenta Trumpa pokazują, że rości on sobie prawa Kongresu i ignoruje władzę sądowniczą.

W inauguracyjnym przemówieniu przedstawił się jako namaszczony przez Boga zbawca „Ameryki w ruinie”: kraju upadającej gospodarki, deptanego prawa, gwałconej wolności wypowiedzi i grabionego przez przestępców wpuszczonych przez niestrzeżone granice. Państwa oszukiwanego przez cały świat. I taki stan rzeczy uzasadnia rewolucję, a nie reformy. On, jako jedyny zdolny tego dokonać, zabiera Amerykę w drogę ku restauracji jej świetności.

Wymaga to jego zdaniem zburzenia tego, co przed nim zbudowali niegodziwcy i nieudacznicy. Siedzący w pierwszym rządzie „technologiczni” miliarderzy słżyć mieli za dowód no to, że w tym dziele odrodzenia wspierać go będą najtęższe umysły kraju.

Choć wygrał w głosowaniu powszechnym przewagą zaledwie 1,5 punktu procentowego: 49,8 proc. do 48,3 proc. dla Kamali Harris – a więc nie dostał 50 proc. głosów – Trump traktuje ten wynik jak nokaut. Trzeba by się cofnąć ćwierć wieku – do wyborów

Al Gore kontra George W. Bush w 2000 r. – aby znaleźć przewagę mniejszą niż Trumpa nad Harris. Lecz słuchając go, można odnieść wrażenie, że dostał od narodu pozwolenie na znacznie więcej niż remont domu, który mu się nie podobą – mandat na zburzenie całej chałupy i budowę zupełnie innej.

To, że skromna wygrana w głosach przekształciła się w percepcji w miażdżące zwycięstwo, jest wynikiem dominacji Republikanów w serwisach społecznościowych. One są dziś maszyną do narzucania narracji. Platforma X w rękę Elona Muska stała się bronią masowego rażenia propagandowego. Hurtowa, na skalę wcześniej niespotykana, produkcja i dystrybucja kłamstw – 1,2 mld odsłon tweetów samego Muska w tygodniach poprzedzających wybory – zmieniła los Ameryki i kto wie, czy nie historii. Nie tak dawno Mark Zuckerberg przyznał, że Facebook nie przeciwstawił się dezinformacji i ingerencji Rosji. Dziś mówi, że weryfikowanie faktów to „coś z roku »1984«” Orwella.

Oponentów Trumpa coraz bardziej niepokoi jego stosunek do prawa – graniczący z przekonaniem, że to on je tworzy. Obawa ta udziela się nawet „Wall Street Journal” – sprzyjającemu tradycyjnie Republikanom, kontrolowanemu przez Ruperta Murdocha dziennikowi o największym papierowym nakładzie w Ameryce i drugiej po „New York Timesie” liczbie subskrybentów.

W przemówieniu inauguracyjnym Trump zapewniał, że jego rząd „w odróżnieniu od poprzednika” będą rządami prawa. Po czym ulaskawił bezwarunkowo niemal wszystkich aresztowanych i skazanych za szturm na Kapitol 6 stycznia 2021 r. „Wall Street Journal”

2.0



w komentarzu redakcyjnym napisał 22 stycznia, że Trump próbuje wymazać datę 6 stycznia. Imputuje, że „setki jego grzecznych zwolenników znalazły się tego dnia w niewłaściwym miejscu” i od tego czasu gniły w więzieniu. „Nie ma nic patriotycznego w tym, co się dzieje na Kapitolu. To jest anarchia antyamerykańska w stylu Trzeciego Świata” – to słowa Marka Rubio, obecnie sekretarza stanu, z tamtych dramatycznych dni. „Miał rację – pisze „WSJ”. – To, co wydarzyło się tego dnia, jest plamą na dziedzictwie Trumpa. Uwalniając ludzi, którzy bili policjantów, prezydent dodaje kolejną plamę”.

„Rażąco niezgodnym z konstytucją” nazwał sędzia federalny John Coughenour, nominowany przez Ronalda Reagana, zarządzenie Trumpa odmawiające gwarantowanego konstytucją prawa do obywatelstwa dzieciom nielegalnych imigrantów urodzonym w USA. Sędzia Coughenour: „Gdzie byli prawnicy, gdy podejmowano tę decyzję?”. A redakcja „WSJ” komentuje: „Czy jego Departament Sprawiedliwości będzie marnował cenny czas i zasoby na apelację, której szanse powodzenia są znikome lub zerowe?”.

Sąd Najwyższy USA jednogłośnie – co się zdarza niezwykle rzadko – poparł zastosowanie przyjętego w 2024 r. aktu prawnego, który nakładał na ByteDance, chińską spółkę matkę aplikacji TikTok, obowiązek zbycia swoich udziałów w TikToku do 19 stycznia 2025 r. pod groźbą ogólnokrajowego zakazu. Jedną z pierwszych decyzji Trumpa było udzielenie Chińczykom – jak pisze „WSJ” – „nielegalnej amnestii”: „Trump nie może zawieszać praw niczym angielski

król przed Kartą Praw z 1689 roku. Kongres jest równorzędną władzą, a nie spółką podległą prezydentowi. Amnestia dla TikToka pokazuje pogardę dla granic jego władzy, co nie wróży dobrze na następne cztery lata”.

Łamanie prawa lub próby jego obchodzenia jednych przerażają, innych bulwersują, jeszcze innych zaskakują. Przestało już dziwić coś, co karalne nie jest, ale prezydentowi albo po prostu nie przystoi, albo źle o nim świadczy. Redakcja „WSJ” pisze: „Donald Trump nie zawsze oddziela swoje osobiste interesy od obowiązków publicznych, a jaskrawym przykładem jest jego nagły nowy status kryptomiliardera. Prezydent, jak się wydaje, szuka kłopotów. Rynki kryptowalut przeżywają rozkwit od czasu jego wyboru, po części w oczekiwaniu bardziej przyjaznych regulacji. I niech tak będzie. Jednak Trump i jego rodzina próbują zarobić na tej manii, bijąc monety z logo Trumpa. W przeciwieństwie do kubków ze stemplem Trumpa (42 dol.) i łopatek do pikli (180 dol.) tokeny kryptograficzne są narzędziem spekulacji. Podmioty stowarzyszone z Trump Organization posiadają 80 proc. tych tokenów – o wartości 31,4 mld dolarów (według ceny rynkowej z 22 stycznia). Biznesmen lub urzędnik zagraniczny mający interesy związane z rządem federalnym może starać się o przychyłność Trumpa, ogłaszając plany zakupu milionów jego tokenów w celu podniesienia ceny. Lub, co gorsza, szepzcząc Trumpowi, że dokonał zakupów, ponieważ zasoby kryptowalut nie są ujawniane.

Żaden ostrożny prezydent nie zbliżyłby się do takiego ryzyka politycznego i nie przypominamy sobie żadnego prezydenta, który by to zrobił. Gdzie są prawnicy Trumpa? To niepokojący sygnał, że doradcy Trumpa nie rozumieją różnicy między służeniem danemu prezydentowi a publiczną służbą na rzecz urzędu prezydenta lub że są zbyt zastraszeni, aby zabrać głos”.

W innym tekście, zatytułowanym „Imperialna prezydentura Trumpa” autorstwa Daniela Henningera, członka rady redakcyjnej „WSJ”, czytamy: „Zakres rozporządzeń prezydenckich Trumpa jest imponujący, ale jest także oznaką systemu, który nie działa tak, jak go pierwotnie zaprojektowano.

Kongres ma reprezentować różnorodne interesy kraju, aż do poziomu 435 odrębnych okręgów Kongresu. A są one różne. Trump zastępuje ten federalizm interesów prostszą ideą jednolitego interesu narodowego, przez niego definiowanego i realizowanego. Instynkt Trumpa, widoczny w tym pierwszym tygodniu, nakazuje mu nie dać się zamknąć w żadnych ramach. Konserwatyści, nie wyłączając jego własnych ludzi, będą musieli przywołać 47. prezydenta do odpowiedzialności”.

Powodzenia.

O odebraniu ochrony byłym bliskim współpracownikom redakcja „WSJ” pisze: „Możliwość utraty łask prezydenta Trumpa stanowi ryzyko zawodowe dla doświadczonej administracji, którzy służą w jego administracji, ale wygląda na to, że osiąga nowe dno: według doniesień Trump nakazał zaprzestanie

ochrony trzech byłych doradców, którzy żyją pod groźbą zabójstwa ze strony Iranu.

Decyzje dotyczące szczegółów bezpieczeństwa należy podejmować na podstawie neutralnej oceny zagrożenia, a nie mściwego kaprysu. Jeśli Iran dopuści się przemocy wobec kogoś z tych ludzi, Trump nie będzie mógł uniknąć części odpowiedzialności. Poza tym – co sekretarz stanu Marco Rubio ma sądzić o tym, że jego szef odmówił ochrony jego poprzednika?”.

Peggy Noonan, stała komentatorka „WSJ”, kiedyś główna autorka przemówień Reagana, o miliarderach z branży technologicznej w pierwszych rządach podczas inauguracji: „Ale oni nie całują pierścienia – to twarzą i zdeterminowani goście, którzy robią, co muszą, aby dostać to, czego chcą. Dostali transmitowane na żywo spotkania w Białym Domu, podczas którego prezydent podekscytowany niczym chłopaczyna opowiadał, jak to sztuczna inteligencja wyleczy raka. To nie wszystko, co może ona sprawić, poczytaj Geoffreya Hintona [jeden z ojców sztucznej inteligencji]. Sztuczna inteligencja nie potrzebuje cheerleadera; wymaga ostrożności i powagi. Dać się tak nabrać wyrafinowanym naciągaczom wysokiej klasy nie było ani obiecujące, ani świeże, tylko zawstydzające”.

William A. Galston, komentator „WSJ”, przypomina: „Większość Amerykanów nie chce, aby Trump wykorzystywał Departament Sprawiedliwości do prowadzenia dochodzeń w sprawie jego politycznych rywali, karał reporterów za pisanie tekstów, których nie lubi, ułaskawiał skazanych za przestępstwa popełnione 6 stycznia 2021 r., zastępował obecnych pracowników rządu federalnego nominatami politycznymi, konfiskował fundusze Kongresu ani żeby używał siły dla powstrzymania protestów przeciwko niemu. Nie chcą też, aby nowy prezydent zlikwidował Departament Edukacji, uczynił szpiegienia dzieci dobrowolnymi, wycofał się z porozumień klimatycznych z Paryża, zamachnął się na Grenlandię, Kanadę i Kanał Panamski lub zmienił nazwę Zatoki Meksykańskiej na Zatokę Amerykańską. Większość Amerykanów nie popiera deportacji dłużej mieszkających, którzy przybyli nielegalnie, lecz od chwili przybycia przestrzegali prawa. Nie popierają też wydalenia »Marzycieli« – dzieci, które przybyły do Stanów Zjednoczonych nielegalnie z rodzicami, dorastały tutaj jako Amerykanie i nie znają żadnego innego kraju jako domu”.

Holman Jenkins, członek rady redakcyjnej „WSJ”, entuzjastyczny

zwolennik Trumpa, tym razem zachodzi w głowę: „Jak na kogoś, kto rzekomo kocha amerykańskich biznesmenów, w szczególności producentów, Donald Trump przyprawia ich o ciężki ból głowy. Jego groźby celne zmuszają firmy do gromadzenia zapasów i środków produkcji na wypadek przyszłych zakłóceń, więc blokowania kapitału obrotowego w czasie rosnących stóp procentowych. Desygnowany przez Trumpa na sekretarza skarbu Scott Bessent w przesłuchaniach w Senacie śmiało określił clą jako szwajcarski szczyroryk Trumpowskiej polityki gospodarczej, przydatny do karania nieuczciwych praktyk handlowych, przydatny do zwiększania dochodów rządu. Pominął oczywiście zastrzeżenie: dopóki inne kraje nie odpowiedzą.

Każda prezydentura jest inna. Trump zapewnia świetny spektakl telewizyjny. Prawdopodobnie zna także różnicę między spektaklem światło-dźwięk a projektem strukturalnym, niezależnie od tego, czy chodzi o wznoszenie budynku, czy wynegocjowanie wyjścia spod góry długów”.

Dla zrozumienia dzisiejszej Ameryki i dynamiki takiego ruchu, jak MAGA i jemu podobne, przydatne jest przypomnienie słów filozofa samouka Erika Hoffera sprzed ponad 70 lat. Jego najważniejszą książkę „True Believer” (polski tytuł „Prawdziwy wyznawca”) spopularyzował w latach 50. republikański prezydent przez dwie kadencje, generał Dwight Eisenhower. A najwyższe odznaczenie cywilne Ameryki zawiesił na szyi Hoffera 30 lat później Ronald Reagan, także przez dwie kadencje prezydent USA z ramienia Republikańców.

Zdaniem Hoffera skrajne ruchy masowe opierają się nie tyle na konkretnej ideologii, ile na nienawiści do teraźniejszości i tęsknocie za nieokreśloną utopijną przyszłością. Rola lidera tego ruchu nie wymaga ani wyjątkowej inteligencji, ani szlachetnego charakteru, ani oryginalności. Te cechy są wręcz przeciwwskazane. Główne „kwalifikacje” to: przekonanie, że jest się posiadaczem jedynej prawdy; zuchwała radość ze stawiania innym okoniem, zdolność do żarliwej nienawiści; pogarda dla teraźniejszości; rozkoszowanie się symbolami (spektakle i ceremonie); bezgraniczna bezczelność; zdolność do stworzenia grupy ślepo lojalnych podwładnych.

Niezbędna jest także szarlataneria – dodaje Hoffer – jako że masowy ruch nie obejdzie się bez świadomego przeinaczania faktów. „Wszystkie ruchy masowe do najwyższych cnót zaliczają posłuszeństwo, stawiając je na równi z wiarą. Nienawiść jest najbardziej dostępnym i wszechstronnym ze wszystkich czynników jednocyjących. Wspólna nienawiść jest w stanie jednoczyć rozmaite odłamy masowego ruchu. Zwykle nie szukamy sojuszników, gdy kochamy. Ale zawsze szukamy sojuszników, gdy nienawidzimy. Potrzeba ich zwłaszcza, gdy nie jest oczywiste, dlaczego nienawidzimy. W razie wątplenia we własną wartość pojawia się nienawiść do całego świata i pałace przekonanie o potrzebie nowego ładu. To zaś podsycia determinację, aby sta-

re zrównać z ziemią i zbudować nowe”. „Wiedza jest przeszkodą, ignorancja ogromnym atutem, wręcz koniecznością” – dodaje Hoffer.

W pierwszej kadencji Trump nie dał milionom „zapomnianych ofiar globalizacji” tego, co obiecał. To jeden z powodów, dla których przegrał z Bidenem. Nadal twierdzi, że wygrał w 2020 r., grozi wendetą przeciwnikom, zapowiada ukaranie mediów i firm, które go krytykują. Owinął sobie wokół palca Partię Republikańską, która miała na sztandarach hasła wolnego handlu, dyscypliny budżetowej i liberalnej polityki imigracyjnej. Wyroki sądowe przeciwko Trumpowi nie zmniejszyły poparcia; odwrotnie – stanowiły kolejny dowód na to, że walczy z elitami. Nie obudził demonów rasizmu, nie wymyślił amerykańskiej bigoterii – ale spuścił je ze smyczy.

To, że powtórnie obiecał znacznie więcej, niż jest w stanie dokonać, nie będzie mieć przez najbliższe cztery lata większego politycznego znaczenia. Tak jak nie zaszkodził Trumpowi fakt, że muru na granicy z Meksykiem, który miał zatrzymać imigrantów, nigdy nie zbudował, a Meksyk ani przez chwilę nie rozważał, by za ten mur zapłacić. W 2019 r. był o krok od wyprowadzenia wojska na ulice Ameryki, aby siłą wywalić imigrantów. Jeden z jego doradców: „Wierzyliśmy, że można zaplanować nad niemoralnymi impulsami tego człowieka. Myliliśmy się”.

Wielu członków jego pierwszej administracji ostrzegało, że druga kadencja będzie znacznie bardziej brutalna, nastawiona na rewanz. Że będzie radykalna i konfrontacyjna, coraz bardziej będzie odchodzić od standardów demokracji. Władza ustawodawcza zostanie zneutralizowana, a sprzeciwiającym się Partii Republikańskiej zostanie nałożony kaganiec. Do ukarania wrogów ruchu MAGA zostanie wykorzystany aparat wymiaru sprawiedliwości.

Od pierwszego dnia prezydent zdaje się manifestować, że jego prawo nie obowiązuje. Że prawo to on. Jeśli Trump naruszy fundament demokracji, wyrządzi jej nieodwracalną szkodę nie tylko w USA, ale także na całym świecie.

Sukces w polityce zawdzięcza rozzarowaniom, frustracjom, a przede wszystkim lękom milionów Amerykanów o przyszłość. Oferuje proste odpowiedzi na trudne pytania. Świetnie się czuje w roli twardziela. A ludzi przestraszeni tym, co się dzieje na świecie, szukają obrońcy w nieustraszonemu szeryfie, nie bacząc na to, czy ma jakiś plan, czy też macha na cały kijem bejsbolowym.

Polityka Trumpa będzie radykalna – taką zapowiadał i takie są jego pierwsze decyzje. Pytanie: czy będzie odpowiedzialna? Wielu obserwatorów Ameryki podkreśla, że Donald Trump jest lepszy w burzeniu niż budowaniu. To, czy jego rządy – zamiast budowy lepszego ładu – pozostawią i Amerykę, i świat w ruinie, czas pokaże.

Wiadomo, że nic nie wiadomo. Poza tym, że „talk is cheap”, czyli obietnice niewiele kosztują. Chaos jawi się jako scenariusz bardziej prawdopodobny niż początek złotej ery. ●

„Wall Street Journal”:

Trump nie może zawieszać praw niczym angielski król przed Kartą Praw z 1689 roku. Amnestia dla TikToka pokazuje pogardę dla granic jego władzy

Niall Ferguson:

TRUMP PRZEMÓWIŁ — I ŚWIETNIE!

Wizja amerykańskiego złotego wieku: inspirująca. Ostra krytyka administracji Bidena: w pełni zasłużona.

Olaf Gersemann
Holger Zschäpitz

WELT

Szkot Niall Ferguson (ur. w 1964 r.) to jeden z najbardziej wpływowych historyków na świecie. Wykładowca na Uniwersytecie Stanforda i Harvardzie, autor książek o polityce zagranicznej, historii gospodarki oraz imperializmie brytyjskim i amerykańskim (m.in. „Imperium. Jak Wielka Brytania zbudowała nowoczesny świat”, „Cywilizacja. Zachód i reszta świata”). Ma konserwatywne poglądy, był doradcą w prezydenckiej kampanii wyborczej senatora Johna McCaina. Dziś jest zadowolony z przemówienia inauguracyjnego Donalda Trumpa – i wyjaśnia dlaczego. Rozmawiamy podczas Forum Ekonomicznego w Davos.

Wygląda na to, że przemówienie Trumpa z 20 stycznia się panu podobało?

NIALL FERGUSON: Och, było dobre, naprawdę świetne. Napisałbym mu takie samo, gdyby mnie o to poprosił.

Poważnie?

– Oczywiście. To, co jest wyjątkowe w drugiej kadencji Trumpa, to fakt, że dokładnie zapowiedział on i nam, i amerykańskim wyborcom, co zrobi – w całej serii nagrań, które były publikowane na stronie internetowej jego kampanii. Jeśli przejrzeć te filmy, nagrywane sukcesywnie już od 2023 r., to nie można być w ogóle zaskoczonym wszystkimi dekretemi i rozporządzeniami, które Trump podpisał tuż po zaprzysiężeniu.

Mamy fundamentalne zmiany w polityce migracyjnej. Mamy zwrot w polityce gospodarczej, zwłaszcza w handlu – chociaż administracja Bidena była tutaj dość blisko działań Trumpa z pierwszej kadencji, więc zmiana jest mniej znacząca. I po trzecie, co najważniejsze, mamy przełożenie wajchy w szeroko rozumianych wojnach kulturowych, od kwestii związanych z gender po tzw. „lawfare”, czyli uprawianą przez



FOT. DAVID LEVENSON/GETTY IMAGES

Demokratów walkę polityczną za pomocą środków prawnych.

I to niby idzie teraz w dobrym kierunku?

– Tak uważam. Ale przemówienie było jeszcze lepsze pod innymi względami. To znaczy lepsze, niż śmiałem mieć nadzieję – ponieważ po prostu uderzyło we właściwe nuty. „To jest Ameryka – niemożliwe jest tym, co realizujemy najlepiej”: myślę, że to hasło w punkt. „Amerykański upadek kończy się dzisiaj”: kolejny świetny slogan. Wizja amerykańskiego złotego wieku: inspirująca. Ostra krytyka administracji Bidena: w pełni zasłużona.

Dlaczego radykalne zmiany w merytorycznej polityce miałyby być słuszne?

– Administracja Bidena prowadziła całkowicie lekkomyślną i niemożliwą do utrzymania politykę otwartej południowej granicy. Była to oburzająca polityka, która nigdy nie powinna być realizowana i dobrze, że się teraz skończyła. Co ciekawe, jej koniec nastąpił jeszcze przed zaprzysiężeniem Trumpa, ponieważ ludzie Bidena w zasadzie dawno zdali sobie sprawę, że nie da się jej utrzymywać. Bardzo pożądanym jest również deportowanie nielegalnych imigrantów, a zwłaszcza tych, którzy na terytorium USA popełnili przestępstwa. Granice nie powinny być otwarte, nie powinny być czymś, co da się wykorzystywać politycznie. Istnieje legalny proces migracyjny – sam przez niego przeszedłem – i to jest właściwy sposób, aby stać się Amerykaninem, a nie tylko poprzez przekroczenie granicy USA.

Tylko że Trump mówił o zamiarze deportacji milionów ludzi.

– Czas pokaże, czy dostępne są odpowiednie środki. Bardzo w to wątpię. Ale zdecydowanie ważniejsze było ogłoszenie końca otwartej południowej granicy. Możemy spodziewać się deportacji w szczególności imigrantów z otwartą kartoteką kryminalną, co jest kluczowym krokiem i zapewne wystarczy elektoratom Republikańców.

Trump mówił również o „pokoju poprzez siłę”. Co na ten temat mówi historyk?

– „Pokój dzięki sile” to jedna z najbardziej podstawowych zasad uprawiania polityki, której zastosowanie możemy prześledzić już od czasów starożytnych Rzymian – jeśli chcesz pokoju, przygotuj się na wojnę. I, jak sądzę, dokładnie to zamierza zrobić administracja Trumpa.

Pochwalam to, ponieważ moim zdaniem polityka zagraniczna administracji Bidena była katastrofą. Katastrofa ta wynikała z braku odstraszenia, braku dobitnego ukazania, że Stany Zjednoczone są silne. Z Trumpem to zapewne się zmieni, to zresztą najwyraźniejsza część jego programu.

Trump chciał zakończyć wojnę w Ukrainie „w ciągu 24 godzin”. Czy uda się to przynajmniej w ciągu sześciu miesięcy?

– Cóż, rozumiem, że odpuścił już tę obietnicę z kampanii, ponieważ niezwykle trudno jest powstrzymać trwającą wojnę. Wojny łatwo się tylko rozpętuje. Jasne jest dla mnie, że zespół ludzi zajmujących się w eki-

pie Trumpa bezpieczeństwem narodowym – Marco Rubio, Mike Waltz, a w przypadku konkretnie Ukrainy Keith Kellogg – to dość twardy zespół. Nie zamierzają po prostu zostawić Ukrainy Putinowi. Sądzę, że w samej administracji, a także w łonie NATO będzie toczyć się teraz spór o to, jak zakończyć tę wojnę, ponieważ nie jest wciąż oczywiste, jak skłonić Putina do sensownych negocjacji.

Co pana zdaniem musi się wydarzyć, aby Putin zaczął negocjować?

– Jedynym sposobem, według mnie, jest maksymalne zwiększenie presji na niego, zarówno ekonomicznej, jak i militarnej. W przeciwnym razie po prostu nadal nie będzie miał powodu, aby zatrzymać wojnę.

Czy istnieje ryzyko, że Putinowi zostanie zaoferowane zbyt łatwe dla niego wyjście? Oczywiście. W otoczeniu Trumpa są ludzie, którym nie można zaufa. Jest wielu takich, jak jego syn, Donald Jr., czy Tucker Carlson, którzy w zasadzie stali się rzecznikami interesów Kremla.

Ale nie zajmują oni kluczowych stanowisk. Dlatego uważam, że należy słuchać raczej tego, co doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, sekretarz stanu i inne kluczowe osoby mówią o Rosji i Ukrainie.

Czy jest więc możliwe, że amerykańskie wsparcie wojskowe dla Ukrainy wzrośnie?

– Jest to bardzo prawdopodobne. Nawet najbardziej podstawowa wiedza z zakresu zarządzania państwem i kryzysem wojennym mówi, że teraz trzeba nałożyć na Rosję znacznie wyższe koszty niż ma to miejsce obecnie. Największą porażką administracji Bidena było to, że nie odstraszyla Putina, a następnie dostarczała wsparcie dla Ukrainy tylko w kropłórkach, więc koszt wojny dla Rosji jak dotąd nigdy nie okazał się wystarczająco wysoki.

Trump ogłosił w swoim przemówieniu, że chce dostępu do Kanału Panamskiego. Nie oburza to pana?

– Warto przy tym odbyć krótką lekcję historii.

Jest powód, dla którego William McKinley jest tym prezydentem USA, o którym Trump mówił najczęściej w ostatnich latach. Trump powiedział już w wywiadzie dla „Bloomberga” zeszłego lata, że McKinley to dla niego wzór do naśladowania. Jeśli spojrzeć na prezydenturę McKinleya (rządził w latach 1897-1901), charakteryzowała się ona przede wszystkim protekcjonistycznymi taryfami celnymi i znaczną ekspansją terytorialną. Po wojnie hiszpańsko-amerykańskiej Stany Zjednoczone przejęły Guam, Portoryko i tymczasowo Fi-

lipiny. Za kadencji McKinleya USA przejęły również Hawaje.

I co nam to mówi?

– To, że jeśli ktoś myślał, że Trump jest izolacjonistą, to po prostu nie uważał. Trump skłania się, jeśli w ogóle ku czemukolwiek, to w kierunku imperialnym. Przy tym nieodzownym elementem sposobu uprawiania polityki przez Trumpa jest nieustanne prowokowanie. Kanada nie stanie się 51. amerykańskim stanem, bez względu na retoryczne wycieczki Trumpa. A duża część z tego, co oznajmia publicznie – i nonszalancko – to po prostu rzeczy, które bardziej podpadają pod rozrywkę dla opinii publicznej, jak zmiana nazwy góry na Alasce (znów: McKinley) czy Zatoki Meksykańskiej. Ale już kwestia Grenlandii jest jak najbardziej poważna. Podobnie jak Kanał Panamski. Tylko że to są poważne kwestie od co najmniej 50 lat.

Skąd więc to obecne związane z nimi – nazwijmy to – przyspieszenie?

– W obu przypadkach należy przestrzegać to jako reakcję na ciągłe poszerzanie swoich wpływów przez Chiny. Chiny próbują od pewnego czasu zwiększyć swoją obecność w Grenlandii i pogłębiać wpływy w Ameryce Środkowej. Jeśli Trump rozważa teraz podjęcie kontrposunięć przez Stany Zjednoczone, uważam, że mają one doskonały sens strategiczny.

Jeśli McKinley jest wzorem do naśladowania dla Trumpa, to na co musi przygotować się reszta świata?

– Duża różnica między tamtymi a obecnymi czasami polega na tym, że Stany Zjednoczone nie były wtedy dominującym światowym supermocarstwem. Dziś są. Tak więc wyzwanie, które powinniśmy potraktować poważnie, polega na tym, że jeśli weźmiemy politykę z końca XIX wieku i spróbujemy ją powielić w drugim kwartale XXI wieku – nie bardzo się tak da, bo zbyt wiele się zmieniło. Pytanie brzmi więc: jakie są niezamierzone konsekwencje protekcjonizmu, ograniczeń migracyjnych i XIX-wiecznej z ducha polityki w świecie, w którym pozycja Stanów Zjednoczonych bardziej przypomina pozycję Imperium Brytyjskiego w latach 30. ubiegłego wieku?

Jak wobec tego Europejczycy powinni zareagować na przemówienie inauguracyjne?

– Trump od ośmiu lat powtarza, że Europejczycy muszą zrobić więcej dla własnego bezpieczeństwa. I Europejczycy już na to zareagowali. Nie można oczekiwać, że będziemy zależni od Stanów Zjednoczonych w kwestiach bezpieczeństwa przez cały XXI wiek. Nawet dwa procent PKB na obronność nie wy-

starczą w obliczu zagrożeń ze strony de facto faszystowskiego reżimu w Rosji. Najbardziej oczywistą rzeczą, jaką muszą zrobić Europejczycy, jest więc to, co już zapowiedział m.in. Friedrich Merz, a mianowicie zwiększenie wydatków na obronę i rozluźnienie do pewnego stopnia hamulca zadłużenia. Francuski prezydent Emmanuel Macron po raz pierwszy użył terminu „strategiczna autonomia”, już wiele lat temu. Teraz to musi stać się wreszcie rzeczywistością.

To trudne, ponieważ nie jest łatwo zwiększać wydatki na obronność, gdy własna gospodarka ledwo rośnie lub pogrąża się w stagnacji. Europa musi zatem przemysłuć swoją strategię po całości. Lata 90. są dawno za nami. Nie można polegać na amerykańskiej polityce bezpieczeństwa, a jednocześnie próbować zdobywać chiński rynek i zaopatrywać się w rosyjską energię. Cudowny przepis na europejski wzrost i utrzymanie dobrobytu umarł – i kandydat niemieckich chadeków na kanclerza to rozumie. Rozumie, jak wielkim wyzwaniem jest wytyczenie nowej drogi dla Europy. Życzę mu powodzenia.

A jak Europa powinna zareagować na groźby Trumpa dotyczące cel? Taryfami odwetowymi? Uległością i ofertami porozumienia?

– Myślę, że cła zostaną wykorzystane jako dźwignia do uzyskania wielu innych ustępstw. Meksykanie i Kanadyjczycy już się na to od miesięcy przygotowują. Dla Waszyngtonu to oni zresztą są najważniejsi. Sądzę, że Europejczycy powinni odpowiedzieć na każdą groźbę wprowadzenia cel na wszystkie towary, ale pewnymi ustępstwami w obszarach, które są ważne dla Trumpa. Myślę, że istnieją sposoby na uniknięcie wojny handlowej na pełną skalę. Różnica między obecną sytuacją a tą sprzed ośmiu lat polega na tym, że Europejczycy traktują dziś Trumpa poważniej. Osiem lat temu drwili z niego po całości – w tym za diagnozy, które okazały się słuszne. Dziś nikt się już nie śmieje.

Ale czy Trump traktuje Europę, i Niemcy, poważnie?

– Trump potraktuje Niemcy poważnie, gdy będą miały nowy rząd, który będzie poważniej podchodził do kwestii bezpieczeństwa i zapewnienia warunków dla wzrostu gospodarczego. Trump jest pod wieloma względami bardziej proeuropejski niż inni członkowie amerykańskiego establishmentu, których znam. Jest na pewno bardziej proatlantycki niż niektórzy ludzie ze świata technologii.

Wybory w Niemczech już 23 lutego. Czy Merz jest właściwym człowiekiem do negocjowania z Trumpem z ramienia UE? A może bardziej włoska premier Giorgia Meloni, albo jeszcze ktoś inny?

– Upprzedzam, że jestem fanem Merza, co pewnie da się łatwo wytłumaczyć, jeśli ktoś pamięta o mojej dawnej krytyce pod adresem Angeli Merkel. Myślę, że jeśli Merz zostanie kanclerzem, będzie najlepszym szefem największej europejskiej gospodarki od czasów Helmuta Kohla. Jestem optymistą, bo Merz oznacza powrót do poważnej niemieckiej polityki gospodarczej i zagrańniczej. To mile widziana zmiana i czekam na nią z niecierpliwością.

Ale dlaczego najbliższy aktualnie doradca Trumpa, Elon Musk, tak ostentacyjnie wspiera AfD, skrajnie prawicową, a zarazem prorosyjską partię?

– Znam Elona Muska od ponad dziesięciu lat. Wiem, że to człowiek, który publikuje posty na swojej platformie X równie impulsywnie, jak gra w gry wideo. Jego interwencje w brytyjską politykę są tak niezgodne z moimi poglądami, jak jego interwencje w politykę niemiecką. Moim zdaniem Europa potrzebuje silnego rządu w Berlinie kierowanego przez CDU. AfD jest, mówiąc ogólnie, pełna ludzi, którzy są absolutnie nie do przyjęcia.

A co z ochroną klimatu, skoro USA wycofały się ponownie z porozumienia paryskiego, a Chiny nie robią zgola nic, by ograniczać emisje?

– Otóż to, proszę pamiętać, że nie ma większego znaczenia, czy USA respektują paryskie porozumienie klimatyczne, czy nie, ponieważ paryskie porozumienie nie działa w sytuacji, w której Chiny każdego roku budują setkę nowych elektrowni węglowych. Głównym problemem dla klimatu są Chiny i do pewnego stopnia cała Azja. Duże, ludne i rosnące gospodarki azjatyckie są nadal uzależnione od węgla. Jest to główna przyczyna ciągłego wzrostu emisji CO2. Cokolwiek zrobią Stany Zjednoczone lub Europa, pozostanie to bez znaczenia, jeśli Chiny, Indie i Indonezja będą kontynuować swój obecny kurs. Zachowajmy więc trzeźwy osąd sytuacji.

Ocieplenie klimatu i ekstremalne zjawiska pogodowe – nie będzie skutecznej walki z tymi zjawiskami, dopóki Chiny, Indie i inne kraje azjatyckie spalają węgiel, jakby nie było jutra. Paryskie porozumienie klimatyczne w tej sytuacji jest bezwartościowe. Należy to uznać.

Jeszcze jedna kwestia związana z Chinami: co powinno się stać z TikTokiem? Albo: co prezydent USA powinien zrobić z TikTokiem?

– Pytanie brzmi inaczej: co Chiny zamierzają zrobić z TikTokiem? Mają teraz szansę uratować firmę, sprzedając ją amerykańskim inwestorom. Dlaczego tego nie robią? Są ludzie, którzy chcą kupić tę firmę, wiemy o tym. Ale Chińczycy nie chcą sprzedawać algorytmów. Jest bowiem coś, czego nie chcą, abyśmy wiedzieli o tym, jak dokładnie działa TikTok. Myślę więc, że TikTok jest teraz bardziej problemem dla Chin – dla chińskiego rządu i chińskiej firmy-matki. W tej sprawie już wypowiedziały się amerykańskie sądy, wypowiedział się Kongres, a Trump daje teraz Chińczykom ostatnią szansę na podjęcie jedynej właściwej decyzji. Mają wybór: sprzedać TikToka amerykańskim właścicielom lub zamknąć go w USA. Jak powiedział Musk, jeśli X nie jest dostępny w Chinach, dlaczego TikTok miałby być dostępny w USA pozostając pod chińskim nadzorem? To nie ma sensu. To nigdy nie miało sensu.

Nie miałby pan nic przeciwko, gdyby to np. Musk kupił TikToka?

– Nie miałbym, byleby nie był już własnością Komunistycznej Partii Chin i nie był wykorzystywany przez chiński rząd do manipulowania zachodnią opinią publiczną. Kluczowe jest to, aby ściśle połączenie TikToka z chińskim rządem zostało skutecznie przerwane. ●

Imperium kontratakuje

Wtykanie sztandaru

Wielu zamożnych zwolenników Trumpa, zwłaszcza w branży technologicznej, uważa Grenlandię za cenną wcale nie ze względu na jej minerały czy strategiczną lokalizację, ale jako sposób na przełamanie duchowego marazmu w narodzie.

Robert Stefanicki

Różne są interpretacje chrapaki Donalda Trumpa na Grenlandię. Kanał Panamski i Kanadę. W Kongresie trumpiści piszą ustawy mające ułatwić aneksje. Realisci uspokajają, że Trump tylko przestrasza, żeby wytargować ustępstwa. A niektórym zakusy nowego prezydenta kojarzą się z powrotem do „przestarzałego pragnienia dominacji” z ery G.W. Busha.

W rzeczywistości polityka graniczna Trumpa ma niewiele wspólnego z republikańskim neokonserwatyzmem, który w 2001 r. po zamachach Al-Kaidy pochwycił sztandar bitewny, by po kompromitującej okupacji Iraku wycofać się na z góry upatrzone pozycje. Przez lata Trump krytykował iracką awanturę i wytykał administracji Busha katastrofalne błędy. Pragnął też zakończyć wojnę w Afganistanie, ostatnie dziedzictwo neokonserwatywnej manieri naprawiania świata na siłę.

Wielu zwolenników Trumpa poparło go, bo uwierzyli, że zakończy trwające konflikty i nie będzie wikłał Ameryki w kolejne – a on zamiast tego proponuje rozbudowę imperium. Jednak sprzeczność jest pozorna. Izolacjonizm i imperializm nacjonalistyczny są sobie bliskie, oba wykazują wrogość wobec sojuszy transoceanicznych i skłonność do osiągania celów przy użyciu siły.

Pozłacany wiek

Idea, że imperatywem Ameryki jest rozszerzanie granic, pochodzi z tzw. pozłacanego wieku, który rozpoczął się po wojnie secesyjnej. Wizja Trumpa ma więcej punktów stycznych z tym okresem, charakteryzującym się powszechną korupcją, niskimi podatkami i wysokimi clamami chroniącymi rodzimy przemysł. Wtedy powstały kolosalne fortuny. Ale przede wszystkim pozłacany wiek jest definiowany przez dążenie do zapewnienia hegemonii USA nad półkulą zachodnią. Politykę tę w teoretyczną ramę ubrał prezydent James Monroe (1817-25). Istnieniu młodej republiki zagrażali wtedy Francuzi oraz Brytyjczycy, którzy ledwie kilka lat wcześniej spalili Waszyngton. Monroe zażądał, aby Europejczycy nie interweniowali już na półkuli zachodniej, ani poprzez kolonizację, ani przez reżimy marionetkowe. W zamian USA nie będą wtrącać się w sprawy europejskie.

Dziś wskazuje się na zagrożenie ze strony Chin, lecz nie jest ono egzystencjalne. USA są teraz w zupełnie innym punkcie historii niż 200 lat temu. Jako największe supermocarstwo walczą o utrzymanie tego statusu, zakresu wpływów w świecie, oraz dolara jako waluty rozliczeń i rezerw.

Trump nawet nieszczególnie się wysiła, żeby uzasadnić rozszerzenia terytorialne, tłumacząc je

mgliście potrzebami bezpieczeństwa narodowego. Tylko w przypadku Panamy wyraźnie wskazał, że chodzi o wyrugowanie stamtąd Chińczyków (firma z Hongkongu zarządza portami po obu stronach kanału). Grenlandia miałaby być przyczółkiem USA w kierunku północnej Eurazji, a także źródłem surowców – czyli Alaską bis. W zgodzie z kolonialną mentalnością zdanie mieszkańców wyspy nie jest brane pod uwagę; Trump bezpodstawnie przekonuje, że większość pragnie zamiany duńskiej kurateli na amerykańską.

Kanadę Trump zdaje się postrzegać jako sztuczny twór, czyli tak, jak Putin widzi Ukrainę. Jeśli jednak USA mają pozostać demokracją, aneksja północnego sąsiada nie wchodzi w grę, bo danie prawa głosu Kanadyjczykom oznaczałoby, że Republikanie pożegnają się z władzą na zawsze. Ten sam problem jest z Meksykiem. Fajnie byłoby go przyłączyć, kontynuując ekspansję XIX-wieczną, niestety wiązałoby się to z przyłączeniem Meksykanów, dlatego bezpieczniejszymi zmianami nazwę Zatoki Meksykańskiej na Amerykańską.

W swoim przemówieniu inauguracyjnym Trump przywołał sformułowanie wyjęte z kaba-

■
Chiny i Rosja od dawna przedstawiają Amerykę jako siłę destabilizującą i teraz mówią z satysfakcją: wyszło na nasze. Skoro amerykański prezydent zachowuje się agresywnie, to każdemu wolno. Wara od prawa Rosji do Ukrainy oraz Chin do Tajwanu

ły XIX-wiecznych imperialistów: „oczywiste przeznaczenie” (Manifest Destiny). To hasło zostało użyte po raz pierwszy przez redaktora „Democratic Review” Johna L. O’Sullivan’a w 1845 r. Napisał on, że prawo USA do przejęcia Oregonu wpisuje się w „nasze oczywiste przeznaczenie, którym jest zajęcie całego kontynentu ofiarowanego nam przez Opatrzność”. Potem dokonywano różnych interpretacji tej koncepcji w zależności od aktualnego zapotrzebowania – począwszy od uznania, iż głosi ona prawo Amerykanów do przejęcia obszarów pomiędzy Atlantykiem a Pacyfikiem, aż po prawo do kontroli nad całą półkulą zachodnią.

Kształtującą się doktrynę Trumpa politolog Walter Russell Mead wpisuje w tradycję „jacksonowską”, od prezydenta Andrew

Jacksona (1829-37). Jacksonianie nie podzielają przekonania, że powinnością Ameryki jest uczynić świat lepszym. Ale nie są też izolacjonistami, którzy za wszelką cenę chcą trzymać USA z dala od konfliktów. Napędza ich poczucie dumy narodowej – głębokie, instynktowne przekonanie, że Ameryka jest wspaniałym krajem, któremu należy się szacunek i który ma prawo zabezpieczać się w sposób, jaki uzna za konieczny, w tym poszerzać swoje granice. Jacksonianie uważają, że w czasie wojny trzeba dążyć do zwycięstwa, nie zważając na cenę w postaci życia cywilów. Są wrogo nastawieni do międzynarodowych porozumień i organizacji wielostronnych, postrzegając je jako ograniczenia swobody działania Ameryki.

Z początku powiększając obszar swojej kontroli rządu USA targowały się z Indianami, aż Jackson przyjął politykę otwarcie kolonialną i ludu rdzenne zaczęto wysiedlać siłą lub podstępem. W 1846 r. jacksonizm doprowadził do wojny z Meksykiem, ożywił też pragnienie zdobycia Kolumbii Brytyjskiej. Wraz ze wzrostem amerykańskiej potęgi przemysłowej pod koniec XIX w. rosły ambicje i możliwości. Wspominany czule przez Trumpa William McKinley dodał do imperium Hawaje, Guam, Filipiny, Portoryko i podporządkował Kubę. Tak jak Trump kochał cła i był finansowany przez najbogatszych ludzi, J.P. Morgana i Johna D. Rockefellera. Wyznawcą idei „boskiego przeznaczenia” był też kolejny prezydent Theodore Roosevelt, który ustanowił amerykański protektorat w Panamie, Haiti, Nikaragui i Dominikanie.

Jawny ekspansjonizm stracił na popularności po II wojnie światowej. Dążenie do siłowej zmiany granic źle się kojarzyło i administracja Harry’ego Trumana poczęła pozycjonować Amerykę jako obrońcę porządku międzynarodowego opartego na zasadzie suwerenności narodowej. Jednak pragnienie ekspansji nie zniknęło. Można wyśmiewać pomysł zajęcia Grenlandii, ale politycy amerykańscy marzyli o tym co najmniej od 1867 r., kiedy to sekretarz stanu William Seward, wkrótce po zakupie Alaski od Rosji, rozważał zakup tej wyspy – i Islandii – od Danii. Administracja Trumana w 1946 r. zaofiarowała Kopenhadze 100 mln dol. za Grenlandię. Duńczycy odmówili. Później wiceprezydent u Geralda Forda, Nelson Rockefeller, proponował przejęcie wyspy ze względu na jej bogactwa mineralne. W 1975 r. felietonista „NYT” C.L. Sulzberger napisał, że Grenlandię należy uważać za objętą doktryną Monroe. W 1990 r. Pat Buchanan – republikański strateg i polityk uważany za prekursora Trumpa – proponował aneksję Kanady i Grenlandii.

Odzyskanie Kanału Panamskiego to też stara obsesja amerykańskiej prawicy. W post-Reaganowskiej Partii Republikańskiej, zdominowanej przez neokonserwatystów, którzy wierzyli, że lepiej skupić się na walce z tyranami i islamistami, były to postawy marginalne, ale nigdy nie zniknęły całkowicie. Trump wyciągnął je z zamrażarki. Zresztą nie tylko trumpiści są zwolennikami ekspansji: William Kristol, znany prawicowy komentator i przeciwnik Trumpa, w 2021 r. wskazał Kubę jako kolejny stan USA.



➤ Czy Trump przejdzie od słów do czynów?

Opinie są podzielone, niemniej budowanie imperium musi prowadzić do konfliktów. Nawet jeśli nie będą to konflikty zbrojne, skutki już są opłakane dla „wolnego świata”, którego rzecznikiem mianował się Trump. USA ryzykują utratą zaufania sojuszników oraz utratą moralnej wyższości wobec dyktatur, z którymi konkurują. Trump legitymizuje nowy porządek świata, w którym agresja jest nagradzana. Chiny i Rosja od dawna przedstawiają Amerykę jako siłę destabilizującą i teraz mówią z satysfakcją: wyszło na nasze. Skoro amerykański prezydent zapożyczył od Chin agresywną dyplomację „włczych wojowników”, to każdemu wolno. Skoro uznaje, że ma boskie prawo do terytoriów innych państw, to wara od boskiego prawa Rosji do, na początek, Ukrainy, oraz Chin do Tajwanu.

Kraje globalnego Południa może i będą schlebiać Trumpowi, ale nie omieszkają się zabezpieczyć, zawierając sojusze z Chinami, Rosją albo z krajami własnego regionu. Pograżony w letargu przez pierwszą dekadę swojego istnienia BRICS wyrasta na poważnego konkurenta grupy G8, ma już 11 członków, a będzie więcej.

Zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej niewiele potrzeba, by obudzić nastroje antyamerykańskie. Panamie nie jest do śmiechu, ostatni najazd USA miał tam miejsce 34 lata temu. Nawet jeśli Trump wymusi od niej ustępstwa, np. niższą stawkę dla amerykańskich okrętów, to długoterminowy efekt raczej będzie niekorzystny dla USA.

Groźby jednoczą ideologicznie podzielony region w obronie suwerenności Panamy. W przeszłości Latynosi wielokrotnie wiązali się z rywalami Stanów, od meksykańskich konserwatystów, którzy zaprosili Francuzów w 1862 r., po kubańskich komunistów, którzy sto lat później przyjęli Sowietów na Kubie. Kolejni prezydenci od F.D. Roosevelta po Bidena dostrzegali, że lepiej się układać z sąsiadami niż im grozić (choć logika zimnej wojny skłaniała ich nierzadko do układów z dyktatorami niepopieranymi przez większość społeczeństwa). Dlatego w 1977 r. Jimmy Carter zdecydował oddać Kanał Panamski, widząc, że amerykańska kontrola jest nieakceptowana przez całą Amerykę Łacińską. Nawet jego następcę Ronald Reagan, który głośno sprzeciwiał się tej decyzji w kampanii wyborczej, jako prezydent nic w tej sprawie nie zrobił i przyłączył się do dwupartyjnego konsensusu, który dystansował się od imperializmu.

Dziś dwupartyjny konsensus brzmi jak relik z dawnej epoki. Mimo że sytuacja międzynarodowa, tak jak podczas zimnej wojny, powinna skłaniać USA do kuszenia, a nie zniechęcania sojuszników, Trump nie waha się burzyć sojuszy. Po co? Jedną z możliwych odpowiedzi podpowiadają ojcowie założyciele USA, którzy również uważali, że Stany muszą się rozszerzać, aby się rozwijać. W 1787 r. James Madison uznał, że ekspansja terytorialna „rozproszy ekstremizm polityczny i zapobiegnie wojnie klasowej”. Thomas Jefferson, tłumacząc kilka lat później zakup Luizjany, uważał, że dzięki temu Amerykanie „mniej będą wstrząsani lokalnymi namiętnościami”.

Również dla Trumpa, według jednej z teorii, polityka zagraniczna jest tylko narzędziem polityki wewnętrznej, a ściślej – godnościowej, która jest ważną składową jego sukcesu wyborczego. Imperializm ma zebrać Amerykanów pod flagą niesioną przez prezydenta. Według Politico, wielu jego zamożnych zwolenników, zwłaszcza w branży technologicznej, uważa Grenlandię za cenną wcale nie ze względu na jej minerały czy strategiczną lokalizację, ale jako sposób na przełamanie duchowego marazmu w narodzie i przywrócenie poczucia celu dryfującemu krajowi. Jeden ze zwolenników Trumpa stwierdził, że surowy klimat Grenlandii stworzy „nowych ludzi”.

Tak więc Grenlandia – oraz Mars z zaktyniowanym gwiazdowym sztandarem – mają być nowym Dzikim Zachodem, nadzieją na lepszą przyszłość. ●



Pluszaki udają niedźwiedzie

„Każdy dzień przynosi kolejne kłótnie, tarcia, oskarżenia, skandale, kryminalne afery”. Rosyjska opozycja na emigracji zajmuje się sobą, nie Putinem

Wiktoria Bielaszyn

Srodek listopada. Berlin. W centrum niemieckiej stolicy zgromadzili się Rosjanie, odpowiadając na apel Julii Nawalnej, Ilii Jaszyna i Władimira Kara-Murzy. Czołowi opozycyjni działacze zaanonsowali „masową akcję protestu” kilka tygodni wcześniej, publikując przy okazji główne postulaty. Zwrócili się do Kremla z żądaniem wyprowadzenia wojsk z Ukrainy, uwolnienia więźniów politycznych oraz pociągnięcia Putina do odpowiedzialności za zbrodnie wojenne.

W „masowej akcji” wzięło udział około 2 tysięcy osób. Po proteście

w mediach społecznościowych czytałam komentarze: „Teraz mam jeszcze gorsze samopoczucie”, „kiedy usłyszałem, jak Jaszyn krzyczy, że mamy walczyć o swoje domy i ulice, bo Rosja to nasz kraj – oniemiałem”, „Ludzie krzyczeli, że się nie boją Kremla. Pewnie dlatego wszyscy mieszkają dzisiaj w Europie, prawda?”.

„W Rosji nie ma opozycji. Są aktywiści, którzy chodzą na protesty, naiwnie myśląc, że to coś da”. Te słowa niespełna dziesięć lat temu wypowiedział Gleb Pawłowski, nieżyjący już politolog i strateg polityczny, któremu przypisuje się stworzenie podstaw putinizmu – pojęć „suwerennej demokracji” i „putinowskiej większości”.

Pawłowski nigdy nie ukrywał krytycznego stosunku wobec rosyjskiej liberal-

nej opozycji. Ba, sceptycznie o jej poczynaniach mniej mówił podczas współpracy z Kremlm, więcej i głośniejsze, dopiero kiedy zerwał z władzami wszelkie kontakty. Nie raz i nie dwa poprawiał w ten sposób dziennikarzy, którzy prosili go o komentarz na temat działań opozycjonistów i kondycji ruchu oporu, wyraźnie demonstrując zniecierpliwienie i irytację. Nie dlatego, że był zagorzałym zwolennikiem Władimira Putina czy polityki Kremla. Po prostu nie widział sensu w chaotycznych działaniach przeciwników reżimu, którym wydawało się, że będą w stanie wpłynąć na sytuację w kraju, nie dysponując żadnymi narzędziami ani kompetencjami poza moralną słusnością.

W wywiadzie, którego udzielił mi w 2021 r., Pawłowski mówił, że rosyjscy liberalowie ponoszą odpowiedzialność za



polityczną apatię młodego pokolenia. „Ludzie nie widzą sensu działalności politycznej w Rosji w dużej mierze za sprawą liberalnej opozycji, która na początku XXI wieku wyszła z Dumy, rezygnując z walki parlamentarnej, i przeniosła się na ulice, myśląc, że to wystarczy. A to nigdy nie wystarcza. Uliczna polityka nie zmienia ustroju”.

Od tej rozmowy minęły trzy lata. Na przełomie 2024 i 2025 r. opozycjonistów nie ma nie tylko w Dumie, ale i na moskiewskich czy petersburskich ulicach. Pawłowski miał rację: uliczna polityka nie zmieniła ustroju i nie zapobiegła jego ewolucji z autorytaryzmu do faszystowskiej dyktatury. Nie umiała nawet jej przewidzieć, co słyszałam w ostatnich latach wielokrotnie od czołowych opozycyjnych działaczy, obrońców praw człowieka i niezależnych dziennikarzy. Wielu tuż po pełnowymiarowej inwazji na Ukrainę przyznawało: „Nie wierzyliśmy, że do tego dojdzie”.

Pisarz Dmitry Glukhovsky, którego rozsławił postapokaliptyczny cykl „Metro”, starał się wyjaśnić, jak to możliwe, że ci, którzy przez lata walczyli z Kremlem, doświadczali przemocy i represji, dali się Putinowi zwieść, uwierzyli w jego racjonalność. „Upadek następował bardzo łagodnie, konsekwentnie. Z przerwami, które pozwalały myśleć, że nie strasznego się nie dzieje, przyzwyczaić się do pogarszającej się sytuacji i reagować z powściągliwym optymizmem na wzrost stopnia wrzenia wody, w której byliśmy gotowani” – mówił niedawno w Deutsche Welle.

Zdaniem niektórych ekspertów, rosyjska opozycja niewiele się nauczyła i nie wycofnęła wniosków. Biznesmeni i opozycyjni działacz Jewgienij Cziczwarżyn oświadczył wręcz, że jest rozczarowany na tyle, że „występuje z szeregów, dopóki koledzy nie skupią się na walce z krwawym, haniebnym reżimem Putina”. „Na razie wszyscy są pochłonięci walką między sobą” – uważa.

Stopień skonfliktowania opozycji rzeczywiście jest bezprecedensowy i bywa trudny do ogarnięcia nawet dla tych, którzy na co dzień zajmują się Europą Wschodnią. Każdy dzień przynosi bowiem kolejne kłótnie,

tarcia, wzajemne oskarżenia, a często także skandale i afery. Wiele odbywa się publicznie, głównie na platformach społecznościowych. Te poważniejsze relacjonują niezależne media, publikując komentarze ekspertów, polemiki z ekspertami i polemiki do polemik.

Wśród opozycji powszechna zgoda występuje tylko w kwestiach absolutnie podstawowych. Nikt spośród działaczy nie ma wątpliwości, że napaść na Ukrainę to zbrodnia i katastrofa. Wszyscy też są zgodni, że reżim Putina jest czymś złym, co należy obalić. Pozostałe tematy stanowią niewiadomą.

Zdaniem historyka Andrieja Zubowa, nie ma w tym nic zdrożnego. – Opozycja składa się z bardzo różnych ludzi. Nigdy nie była monolitem – i to jest normalne. Siły opozycyjne tworzyły różne partie, kierunki, nurt polityczne. Jednolitość jest możliwa tylko pod dyktando – mówi.

Fakt, że rosyjska opozycja się nie zjednoczyła i nie wyłoniła spośród swoich przedstawicieli lidera, jest problemem dla Zachodu. Politolog Iwan Prieobrażenski uważa, że wynika to z konformizmu zachodnich polityków, braku zdolności myślenia strategicznego i ich tendencji do funkcjonowania w oparciu o proste schematy. Ostatnie miesiące pokazują jednak, że rosyjska opozycja stanowi dla Zachodu wyzwanie z zupełnie innych powodów. Obserwując działalność antywojennych Rosjan, łatwo zauważyć, że wśród opozycji awantury wybuchają nie tylko na tle poglądowym, ale i w kwestiach uwzględnianych przez kodeks karny.

Te pierwsze dotyczą podejścia do samej Rosji. Tutaj narrację liberalnych opozycjonistów można sprowadzić do powtarzanego często przez nich hasła: „Rosja to nie Putin. Rosja to nasz kraj i musimy go ratować”. Ale druga grupa opozycyjnych Rosjan, której uczucia dobrze ujął podczas jednego z niedawnych spotkań autorskich pisarz Michail Szyszkin, uważa, że „dzisiaj putinizm i Rosja to politycznie jedno i to samo, a my musimy putinizm pokonać. Jeśli tak się nie stanie, Rosja nigdy nie będzie miała okazji wyjść z wielowiekowej tradycji pogardy dla czło-

• **Rosyjscy opozycjoniści na wygnaniu – Julia Nawalna, Władimir Kara-Murza i Ilja Jaszyn (w środku zdjęcia) – na antywojennej demonstracji, którą zorganizowali w Berlinie 17 listopada 2024 r.**

FOT. AXEL SCHMIDT/GETTY IMAGES

wieka i nie stanie się demokratyczna”. A politolog Aleksander Morozow na Facebooku zwraca uwagę, że nie brakuje też ludzi, którzy zajmują miejsce pomiędzy tymi dwoma stanowiskami.

Ta różnica prowadzi do serii innych, konkretniejszych, a więc i bardziej zajadłych sporów, w rodzaju tego o prawie antywojennych Rosjan do demonstrowania z oficjalną flagą Federacji Rosyjskiej. Problem mocno uwypuklił się podczas listopadowej akcji opozycji w Berlinie. Ilja Jaszyn, Julia Nawalna i Władimir Kara-Murza anonsowali ją, wykorzystując archiwalne zdjęcie z Marszu Pokoju, który odbył się w Moskwie w 2014 r., w reakcji na aneksję Krymu. Wtedy Rosjanie wyszli na ulice z rosyjskimi i ukraińskimi flagami. Dzisiaj, ku wyraźnemu zdziwieniu organizatorów akcji, podobne zestawienie dla wielu okazało się być niedopuszczalne. Sprawa stała się przedmiotem licznych dyskusji, publicznych manifestów i apeli znanych działaczy, z których część nawoływała do bojkotu wydarzenia, zwracając uwagę na

absurd pokazywania symbolu, pod którym rosyjska armia okupuje ukraińskie terytoria i zabija Ukraińców. „Kiedy usłyszałem o protestie, miałem ochotę pojechać do Berlina. Ale kiedy zobaczyłem ogłoszenie z rosyjskimi flagami, byłem zszokowany: to nie dla mnie”, napisał na X pisarz i historyk Siergiej Miedwiediew. Publicysta Andriej Janpolski wtórował: „Nie idźcie. Nie bierzcie w tym udziału. W żadnym wypadku nie dołączajcie do tego marszu”.

Władimir Kara-Murza tłumaczył, dlaczego nie zabrania uczestnikom przyniesienia rosyjskiej flagi. „Przypominam, że nie jest to flaga sowiecka ani laga KGB. Z tą flagą ludzie przyszli umierać na barykady do Białego Domu w sierpniu 1991 roku” – mówił, przywołując obronę budynku parlamentu przez zwykłych obywateli podczas puczu Janajewa, czyli zbrojnej próby powstrzymania przez twórców partyjniaków rozpadu ZSRR.

Spór próbował rozwiązać Jaszyn, prosząc, by antywojenni Rosjanie skupili się na idei marszu, a nie flagach. „W tej akcji nie chodzi o flagi, ale o solidarność z więźniami politycznymi, odrzucenie agresywnej wojny i opór wobec polityki Putina”, uciął. Ale nieskutecznie, bo na temat akcji wypowiadali się w tamtym czasie wszyscy. Jedni opozycjoniści i emigranci obstawiali, że głosy antywojennych Rosjan są dzisiaj potrzebne. Inni krytykowali organizatorów za „przebudzenie się w trzecim roku wojny”.

Znany działacz opozycyjny Władimir Miłow, niegdyś wiceminister energetyki, przyznaje, że organizacja publicznych akcji wynika z zapotrzebowania różnych stron. Jedną z nich są pozostający w kraju Rosjanie, którzy – ze względu na represje – nie mogą wyrazić sprzeciwu wobec wojny, ale chcieliby usłyszeć go od rodaków na emigracji. Drugą – zachodni partnerzy, podkreślający w rozmowach z opozycjonistami, że „wspierają ich, ale chcieliby ich też zobaczyć”. „To ważne, inaczej można odnieść wrażenie, że Putina, który chwali się sfałszowanymi sondażami, popiera większość Rosjan. My i nasi koledzy na Zachodzie jesteśmy świadomi, że ludzie, którzy protestują przeciwko wojnie i reżimowi Putina, jest całkiem sporo. Ci,

**Wysoki urzędnik UE:
Oni cały czas mówią o Rosji.
O przyszłości Rosji. O sobie
i swojej roli. Jeżdżą na
spotkania z nimi i często
patrzę na zegarek, ile
minut musi minąć, by z ust
rosyjskiego opozycjonisty
padło słowo Ukraina**

którzy mają taką możliwość, powinni się pokazać” – tłumaczy.

Ale argumenty Miłowa nie do wszystkich przemawiają. Mnogość klótni kończących się personalnymi atakami i pyskówkami sprawił, że rosyjscy komentatorzy coraz częściej stosują wulgarnie określenie „sracz”. Przywołują satyryka Wiktora Szenderowicza, który obserwując publiczne dyskusje rosyjskiego społeczeństwa obywatelskiego, ironizował: „Po słowach »wódka«, »sputnik« i »pieriestrojka« nadszedł czas, aby wprowadzić do międzynarodowych słowników słowo »sracz«. Od dawna używamy każdego drobiazgu do klótni na śmierć i życie”.

Budzi to konfuzję zachodnich polityków i urzędników. Podczas jednej z konferencji przedstawiciele rosyjskiej opozycji i mediów z zachodnimi partnerami, która odbyła się jesienią we Frankfurcie nad Menem, działaczka europejskiej organizacji powiedziała wprost: „Te sracze nie pomagają. W Brukseli są ludzie, którzy rozumieją Rosję na głębszym poziomie. Ale jest wielu takich, którzy mają o wiele płytsze zrozumienie. I kiedy widzą wasze klótnie, to całkiem się gubią. Brukselscy urzędnicy wolą dzisiaj nie robić nic w kwestii Rosji niż popełnić błąd. Dlatego nie klóćcie się, na litość boską!”.

Klótnie to jednak nie wszystko. Do rzadkości nie należą prawdziwe afery, z których większość nie ma szans na szybkie wyjaśnienie. Najgłośniejszą i mocno odbijającą się na wizerunku całej opozycji była ta, która wybuchła we wrześniu między działaczami Fundacji Walki z Korupcją, organizacji powołanej przez Aleksieja Nawalnego, a otczeniem Michaiła Chodorkowskiego, byłego właściciela koncernu naftowego Jukos, który odsiedział 10 lat za próbę wejścia do polityki.

„Nawalniści” oskarżyli Leonida Newzlina, współpracownika Chodorkowskiego, o spiskowanie przeciwko byłemu dyrektorowi fundacji oraz zorganizowanie na niego napaści. Twierdzili też, że były oligarcha był wtajemniczony w plany Newzlina i „co najmniej go kryje”, sugerując, że rola Chodorkowskiego w prześladowaniu „nawalnistów” mogła być znacznie większa. „Apelujemy do wszystkich, którzy współpracują ze strukturami Michaiła Chodorkowskiego w jakimkolwiek charakterze, do zaprzestania tego do czasu wyjaśnienia okoliczności i zakresu jego osobistego zaangażowania i wiedzy o przestępstwach człowieka, którego nazywa kimś więcej niż krewnym”. Chodorkowski kategorycznie zaprzeczył i zaproponował przedstawicielom Fundacji Walki z Korupcją, by – jeśli są pewni swojej wersji – wyjaśnili ją w sądzie, „a nie publicznie niszczyli jego reputację”. Podkreślił, że na uwagę organów ścigania zasługują też zarzuty stawiane Newzlinowi, z którym współpracował. „Albo Newzlin zwiariował, albo doniesienia Fundacji Walki z Korupcją to prowokacja. Należy to wyjaśnić w sądzie. Zaakceptuję wyniki śledztwa organów ścigania i niezależnego, demokratycznego sądu” – zapewniał.

Rozmawiając z Chodorkowskim pod koniec listopada, usłyszałam, że sprawa nie została jeszcze wyjaśniona, a zarzuty nawalistów się nie potwierdziły. Z kolei Leonid Wołkow i Maria Pewczich z Fundacji Walki z Korupcją odmówili komentarza. Chodorkowski, jeden z najbardziej rozpoznawalnych opozycjonistów, upatruje w atakach Fundacji Walki z Korupcją nieczystych zagrywek w celu eliminacji konkurentów. „To partia bolszewików. Celowo prowokują konflikty w szeregach antywojennego ruchu oporu. Ich zdaniem konieczny jest monolit, absolutna jedność. Nikt inny się między sobą nie kłóci, chaos sięją oni” – tłumaczy, by po chwili dodać coś, o czym cicho mówią dzisiaj rosyjscy działacze, spośród których część ironicznie przechrzciła Fundację Walki z Korupcją na Fundację Walki z Chodorkowskim.

„Nie jestem gotów uwierzyć, że to wszystko odbywa się tylko po to, by stworzyć monopol na zagraniczne granty” – uważa. Nie ma jednak wątpliwości, że za działaniami współpracowników Nawalnego stoi jawna chęć zdyskredytowania go na arenie międzynarodowej. „Wszystko przez to, że reprezentuję dzisiaj tę grupę, która apeluje o utworzenie koalicji i utworzenie w przyszłości w Rosji republiki parlamentarnej, a nie – powołanie na urząd nowego cara”.

Niesprawiedliwe jednak jest stwierdzenie, że afery wszczynają jedynie współpracownicy Nawalnego. Kilka tygodni później, w październiku, opozycyjny bloger i działacz Maksim Kac oskarżył Fundację Walki z Korupcją o współpracę z byłymi rosyjskimi bankierami, uwikłanymi w schematy korupcyjne. Dwaj finansisci o których mowa, Aleksandr Żeleznjak i Siergiej Leontiew, znajdują się na międzynarodowej liście osób poszukiwanych ze względu na podejrzenie o defraudację środków od deponen-

dzimy, jak i tak dość słaby ruch, który został prawie całkowicie wypchnięty z kraju, ostatecznie upada na naszych oczach”, ubolewa na antenie Radia Swoboda Kirill Martynow, redaktor naczelny „Nowej Gazety Europa”.

Opozycjoniści rozumieją skalę problemu. Andriej Piwowarow, polityk i były wicepremier polityczny przyznaje, że konflikty to walka między konkretnymi grupami politycznymi. „Liczba ludzi, których podzieliła ta historia, jest ogromna, sami dzielą się na »swoich« i »obcych«, tworzy się listy tych, którzy są przeciw, tych, którzy nie wspierali, tych, którzy nie wspierali wystarczająco, tych, którzy wstrzymali się od oceny. To rodzaj bolszewizmu, którym wszyscy jesteśmy zmęczeni”.

Zwraca uwagę na jeszcze inny aspekt: przyczyną ciągłych konfliktów i klótni jest świadomość własnej bezsilności. „Spory wynikają też z tego, że od blisko trzech lat trwa duża wojna, a my nie widzimy żadnego postępu. To powoduje wypalenie. Świadomość, że nie możemy nic zrobić z Putinem, jest frustrująca. Mam nadzieję, że kiedy reżim zacznie upadać, kiedy pojawi się możliwość bezpośredniej walki z wrogiem, wszystkie klótnie odejdą w zapomnienie”.

mogą spaść na Rosjan, mimo że wojnę rozpoczął Putin”, a także, że „podkreśliła, że nie można zrzucać odpowiedzialności za wojnę na barki Rosjan, bo to wojna Putina”.

Roderich Kiesewetter, członek komisji parlamentarnej Bundestagu z opozycyjnej CDU odniósł się do wywiadu na antenie Radia Swoboda. „Ta rozmowa mnie przynębiła, bo wyraźnie pokazuje, że Nawalna nie ma empatii dla strasznych ofiar Ukraińców. Nie zdziwiło mnie to zbytnio, jej zmarły mąż, Nawalny, choć był przeciwnikiem Putina, pozostał nacjonalistą, który nie porzucił imperialnej mentalności”.

Zupełnie inaczej tę kwestię postrzega Siergiej Lagodinsky, europoseł, niemiecki polityk partii Zielonych. Kiedy pytam go o asekuracyjne wypowiedzi przedstawicieli rosyjskiej opozycji, słyszę zupełnie inną opinię. „Widzę, że rosyjscy opozycjoniści często boją się coś zrobić lub powiedzieć, bo obawiają się reakcji Rosjan w kraju. Zastanawiam się, czy rodacy dobrze ich rozumieją i czy nie odwrócą się od nich. Na tym etapie to absolutnie nie ma znaczenia. Wolne wybory w Rosji nie odbędą się przecież za tydzień czy za miesiąc. Nie ma potrzeby, by pracować teraz na elektorat”, tłumaczy Lagodinsky.



Roderich Kiesewetter, poseł CDU: Nawalna nie ma empatii dla straszných ofiar Ukraińców. Nie zdziwiło mnie to zbytnio, jej zmarły mąż, Nawalny, choć był przeciwnikiem Putina, pozostał nacjonalistą, który nie porzucił imperialnej mentalności

tów Probusinessbanku. Na te zarzuty zareagował Chodorkowski, który zaapelował, by „wywrzeć publiczną presję na kierownictwo organizacji” i zmusić je „albo do przyznania się do winy i wzięcia na siebie pełnej odpowiedzialności, albo umotywowanego odrzucenia zarzutów”.

Rozmawiając w Brukseli z pracownikami Parlamentu Europejskiego, słyszałam nie raz, że temat współpracy z rosyjską opozycją, choć traktowany jako punkt niemożliwy do wykreślenia z listy zadań, zdecydowanie nie należy do tych, które budzą entuzjazm i zainteresowanie. „Wzajemne oskarżenia i trudne lub niemożliwe do wyjaśnienia sprawy o charakterze jawnie kryminalnym nie sprzyjają zacieśnianiu współpracy” – mówi mi brukselski urzędnik.

Zniechęca to także Rosjan, którzy przyglądają się działaniom opozycjonistów. Ci „zwykli”, z którymi rozmawiam w Warszawie, Berlinie czy Rydze przyznają, że nerwowa, niezrozumiała atmosfera przekłada się na rosnący brak zaufania, a ów skutkuje tym, że nie mają już chęci brać udziału w akcjach. „Wydawało się, że ci ludzie taktycznie, w bardzo ważnym momencie, tragicznym momencie w naszej historii, mieli znacznie więcej powodów do współpracy niż do konfliktu i przeciwstawiania się sobie nawzajem. Wszystkie wezwania do zjednoczenia opozycji były z tym związane. Teraz wi-

Nikt nie zna jednak odpowiedzi, kiedy i czy w ogóle ten moment nastąpi. Trudno dziwić się sceptycznej Europie, skoro nawet Rosjanom, dobrze znającym rosyjską rzeczywistość, teraźniejszość i historię, już za caratu pełną mnożących się przez podział konspiracji, komórek i partyjek, brakuje cierpliwości do współczesnych dysydentów.

To, na co szczególnie zwracają uwagę europejscy politycy i eksperci, dotyczy jednak najczęściej narracji rosyjskiej opozycji. W Niemczech oburzenie wywołał wywiad, którego Julia Nawalna udzieliła jesienią „Die Zeit”. Czytelnicy zwrócili uwagę, że aspirująca do przywództwa i prezydentury wdowa po najsłynniejszym i najgroźniejszym więźniu Putina wyraziła sceptycyzm wobec działań ukraińskiej armii w obwodzie kurskim. Podkreśliła, że „sytuację należy postrzegać dwójako”. Mówiła co prawda, że ukraiński atak na rosyjskie terytorium, i to tak symboliczne – mowa wszak o okolicy jednego z najstarszych miast Rosji i terenach stale obecnych w rosyjskiej historii – obnaża słabość Putina, ale zaznaczyła przy tym, że Rosjanie mają Ukraińcom za złe atak na ich terytorium. „To jednocy ludzie, co z kolei jest wykorzystywane przez propagandę”, przekonywała. Pytana zaś, czy Zachód postępuje słusznie, dostarczając broń Ukrainie, udzieliła wymijającej odpowiedzi: „Trudno powiedzieć”. Niemieckie media rozpisywały się też o tym, że Nawalna „powiedziała, że rakiet

sky, który jako jeden z nielicznych europejskich polityków wnikliwie studiuje ich poczynania i działalność.

Prieobrażenski w zachowawczych wypowiedziach opozycjonistów też upatruje nie braku empatii czy zrozumienia dla sytuacji Ukrainy, lecz lęku przed narażeniem się potencjalnym wyborcom i sojusznikom, obawy, żeby nie zaszkodzić mozolnej pracy podkopywania wiary w Putina. Ale wobec takiego podejścia jest krytyczny, bo perspektywa realnej działalności w kraju jest odległa, natomiast tu i teraz trzeba zadbać o mecenasów i sympatyków, na szczeblu unijnym i rządów krajowych. „Rozwiązanie, to mniej myśleć o obecnej popularności politycznej i nastrojach wewnątrz kraju, do którego nie mają na razie powrotu, a bardziej na strategicznych oświadczeniach” – tłumaczy.

Szanse, by „strategiczne oświadczenia” o woli walki, potępieniu Putina i solidarności z Ukraińcami, przekonały zachodnich polityków do masowego wspierania rosyjskiej opozycji, są jednak nikłe. Kiesewetter uważa, że rosyjska liberalna opozycja sprzeciwia się jedynie nomenklaturze – w obu znaczeniach tego słowa, czyli imperialnej frazeologii i elity władzy oraz półpaństwowego biznesu – Putina, dzieląc imperialną ideologię i kolonialne podejście.

Tego samego zdania jest Mychajło Podolak, niegdyś jeden z najbardziej wpływowych ludzi ukraińskich mediów, dziś doradca Wołodymyra Zełenskiego odpowiedzial-

ny za politykę informacyjną prezydenta. Gdy pytam go o ocenę działań polityków takich jak Nawalna czy Jaszyn, oświadcza, że „nie należy karmić się iluzją”. „Jest niewielka część rosyjskiej opozycji, która aktywnie wspiera Ukrainę od początku wojny, choćby pomaga w finansowaniu oddziałów wojskowych, w których walczą po naszej stronie rosyjscy ochotnicy. I jest rosyjska liberalna opozycja, która nadal rozpowiada naokoło, że to wojna Putina, a nie Rosji. To nieprawda. Co więcej, ci ludzie nie mają absolutnie żadnego wpływu na to, co dzieje się w Rosji. Nie ma sensu na razie z nimi rozmawiać” – kwituje.

O tym, że rosyjskim antywojennym działaczom brak dzisiaj sprawczości, mówią właściwie niemal wszyscy. „Widać, że nikt specjalnie nie garnie się do współpracy z nimi, bo to niekoniecznie opłacalne politycznie. Trudno powiedzieć, czy ci ludzie rzeczywiście będą tymi, od których cokolwiek będzie w Rosji zależeć” – mówi mi wysoki urzędnik Parlamentu Europejskiego.

Jednak nie wszyscy w unijnych strukturach podzielają tę opinię. Były premier Litwy Andrius Kubilius, członek Komisji Europejskiej, a od 2024 r. komisarz UE ds. obronności, przed objęciem tego stanowiska był jednym z europosłów najbardziej zaangażowanych we współpracę z demokratyczną rosyjską opozycją. Wraz z Siergiejem Lagodinskim oraz słynnym dziennikarzem i specem od geopolityki Bernardem Guettą organizował w Parlamencie Europejskim spotkania i konferencje poświęcone wzajemnym relacjom.

Podczas jednej z nich, pytając, dlaczego on, Litwin, przedstawiciel narodu z tak długim rachunkiem sowieckich i rosyjskich krzywd, tak się zaangażował, usłyszałam: „Wiele osób zapomina, że dla nas wszystkich strategicznie ważne jest, by Rosja się zdemokratyzowała. To kwestia naszego bezpieczeństwa. Przyglądając się nastrojom z perspektywy Brukseli, dostrzegam, że o Rosjanach myśli w ten sposób wielu Europejczyków, zarzucając im wszystkim nie tylko imperializm, ale i popieranie wojny. Większość zdaje się nie wierzyć, że Rosjanie są w stanie stworzyć państwo prawdziwie demokratyczne. Musimy zdać sobie sprawę, jak irracjonalne są podobne twierdzenia”.

Kubilius tłumaczy, że nieufność wobec demokratycznej opozycji rosyjskiej oraz nie wiara w zdemokratyzowanie Rosji, to błąd strategiczny. Bo takie rozumowanie sprzyja przede wszystkim Putinowi, od lat pracującemu nad wykształceniem tego przekonania w Europie. Dlatego w rozmowach, publicznych wypowiedziach i tekstach publikowanych w europejskich gazetach Kubilius podkreślał w ostatnich latach wielokrotnie, że „rosyjskiej opozycji należy pomóc”.

To samo usłyszałam od niego w Brukseli. – Musimy odpowiedzieć sobie na pytania, co należy zrobić przed transformacją, żeby pomóc i dowiedzieć się, co rosyjska opozycja zamierza zrobić w najbliższej przyszłości oraz po transformacji, jaki będzie miała program. W kolejnych krokach będziemy zastanawiać się, jak młodej rosyjskiej demokracji pomóc się ustabilizować. Nie możemy dopuścić, by powtórzyła się historia rozczarowania systemem wielopartyjnym i wolnym rynkiem w latach 90., co pozwoliło Putinowi zaskarbić rząd dusz i przejąć system od środka – tłumaczy unijny komisarz. – Młode demokracje charakteryzują się tym, że są trudne i najczęściej, po początkowym entuzjazmie, budzą lęk i rozczarowanie społeczeństwa, które zaczyna tęsknić za przeszłością. Zachód ma możliwość pomóc Rosjanom przez ten trudny okres przejść, tworząc warunki rozwoju gospodarczego, tym razem sprawiedliwego, i utwierdzając zwykłych Rosjan w przekonaniu, że mogą liczyć na jego wsparcie.

W podobnym tonie wypowiada się Lagodinsky. Europoseł stanowczo podkreśla, że głównym zadaniem Europy jest dzisiaj wspieranie Ukrainy, ale uważa, że rosyjskiej antywojennej opozycji nie należy prze-

kreślać. Przeciwnie, kluczowe jest dostrzeżenie w niej politycznej inwestycji. „Współpraca z nimi, to kwestia humanitarna, ale i polityczna: inwestowanie w ludzi, którzy dzielają, choćby w jakimś stopniu, nasze poglądy i wartości. Dla nas to też powinno być ważne: wiedzieć, że kiedyś do Rosji będą mogli wrócić ludzie, którzy nas rozumieją, którzy będą wiedzieć, jak działa europejska demokracja”.

Bernarda Guettę, który przed laty był korespondentem francuskiego dziennika „Le Monde” w Moskwie, spotykam podczas konferencji zorganizowanej przez niezależne rosyjskie media. Kiedy pytam go o wizerunek antyputinowskiej opozycji na Zachodzie oraz ocenę jej działalności, europoseł na wstępie podkreśla, że i europejskie, i amerykańskie elity polityczne niewiele o niej wiedzą: „Nawalny, Nawalny i jeszcze raz Nawalny”. Ma na myśli to, że nazwisko zabitego w łagrze sławnego opozycjonisty wciąż jest jedynym powszechnie znanym.

Gorzej, że unijne i waszyngtońskie salony niewiele wiedzą o samej Rosji. Oczywiście eksperci, think tanki, doradcy, służby dysponują głęboką wiedzą i analizami – ale decydenci sięgają po ich pomoc od przypadku do przypadku, od kryzysu do kryzysu. A ogólne pojęcie, jakim politycy kierują się na co dzień, jest mniej więcej takie, jak polskich polityków o realiach Chin czy Ameryki Łacińskiej. To garść obiegowych ogólnych prawd uzupełnionych mitami. W tym jednym bardzo niebezpiecznym. „To mit o tym, że Rosjanie ogólnie nie są zainteresowani tym, by ich kraj był wolny i demokratyczny. Wielu twierdzi, że Rosjanie są przyzwyczajeni do tyranii i że im ona odpowiada” – mówi Guetta.

Wina za taki stan rzeczy nie leży jednak jedynie po stronie wyższościowego Zachodu. Zdaniem europosła przedstawiciele rosyjskiej opozycji robią niewiele, by uswiadomić Zachód, że jest w błędzie. Wskazuje na wyraźny brak planu, co dalej. I na problem z soft power, czyli brak znanych postaci z kręgów kulturalno-intelektualnych, które mogłyby w oczach Zachodu stać się ucieleśnieniem rosyjskiego ruchu wolnościowego.

Bo antyputinowska diaspora nie doczekała się swojego Solżenicyna, który jako charzmatyczny pisarz noblista stał się twarzą antysowieckiej „dobrej Rosji” ani swojego Thomasa Manna, wroga III Rzeszy, który na emigracji dawał twarz i głos „dobrym Niemcom”. Wielu współczesnych rosyjskich twórców, którzy emigrowali ze względu na wojnę, albo – jak Dmitry Glukhovskiy – jest rozpoznawalnych, ale w fandomowych bańkach, albo – jeśli są znani, poważani i kojarzeni szeroko, jak Borys Akunin, Władimir Sorokin czy Ludmiła Ulicka – zabierają od czasu do czasu głos, potępiają wojnę i występują przeciwko putinizmowi, ale nie angażują się w konkretną politykę. To przypadek najbardziej rozpoznawalnej w świecie radziecko-rosyjskiej gwiazdy, Alły Pugaczowej, która jest otwarciem antywojenna, ale unika politycznych deklaracji i nie wzięła – choć próbowano ją w tę rolę wpasować – na siebie ciężaru bycia symbolem walki z reżimem.

Powody mają różne. Część zwyczajnie nie wie, podobnie jak politycy, co zrobić, by cokolwiek zmienić. Inni nie potrafią odnaleźć się wśród skłóconej opozycji. Jeszcze inni, choć sami powrotu do Rosji nie mają, wolą nie przeciągać struny: w kraju pozostają ich bliscy.

Julia Łatynina w portalu Echo FM rysuje znacznie bardziej skomplikowany scenariusz, który ma być jednym z powodów inercji rosyjskiej opozycji. Jej nieskuteczność wynika nie tylko z podziałów, klótni, braku planu czy wdrukowanego imperializmu, ale też z faktu, że działacze na emigracji są całkowicie zależni od łaski i niełaski Zachodu. A konkretnie: od grantów, które opozycjonistom są niezbędne, by przetrwać. Również dosłownie, nie mówiąc o kontynuowaniu działalności, docieraniu do rodaków w kraju, wspieraniu represjonowanych przeciw-

ników reżimu. Żaden, nawet największy budżet, nie jest z gumy. A Rosjanie na wychodźstwie rywalizują o granty z Białorusinami i Ukraińcami, za którymi stoi mandat moralny. Co więcej, ci, którzy granty przysznają, nierzadko mają bardzo konkretne wyobrażenie i oczekiwania.

Zdaniem dziennikarki i pisarki opozycja musi uprawiać ekwilibrystykę z autocenzurą, by jednocześnie wpisywać się w wyobrażenia i interesy Zachodu i znajdować wspólny język ze współobywatelami. A przynajmniej nie zrażać ich do siebie. „Problemem nie jest to, że opozycja za granicą istnieje dzięki zachodnim pieniądzom. Problemem jest to, dlaczego i na jakich warunkach te pieniądze są przekazywane” – twierdzi Łatynina i opisuje, że na przykład na wsparcie finansowe od aktywnych na tym polu państw bałtyckich mogą liczyć w pierwszej kolejności wcale nie najsukuteczniejsi czy najbardziej rozpoznawalni opozycjoniści, ale ci, którzy najgłośniej krzyczą „jak bardzo im wstyd, że są Rosjanami, przedstawicielami narodu zabójców i gwałcicieli”.

„Widząc to, najsmardzejsi ludzie, którzy byli zszokowani atakiem Putina na początku wojny, odsuwają się na bok i milczą. Akunin milczy. Ulicka milczy. Zauważmy, że nawet Piwowarow i Władimir Kara-Murza praktycznie nic nie mówią” – kwituje.

Co robić? – ciśnie się leninowskie pytanie.

„Rosyjscy opozycjoniści powinni regularnie spotykać się i rozmawiać o tym, jaka ta demokratyczna Rosja ma być. Dyskusja o reformach, zmianach, stworzenie konkretnej wizji – to bardzo ważne nie tylko z perspektywy Zachodu, ale przede wszystkim samych Rosjan. Przecież opozycja musi im coś zaoferować, jakiś plan, krytykowanie wojny i Putina to za mało. Oni liczą, że wystarczy przenieść instytucje i praktyki z USA czy Europy na rosyjską ziemię. Ale nie da się zaimportować jakiegoś modelu, trzeba go wypracować, dopasować do lokalnych warunków” – tłumaczy Guetta. I z góry odpiera zarzut, że Rosjan zostawiono samym sobie. „Myśle nie o tym, jaka powinna być demokratyczna Rosja, nie leży w naszej, przedstawiciele Zachodu, gestii. To zadanie rosyjskiej diaspory”.

Tylko że diasporę, jak już wiemy, pochłania co innego. „Toczą nieustającą walkę o pierwsze miejsce, o status najważniejszego gracza” – słyszę i od europejskich urzędników, i od znaczących rosyjskich biznesmenów, którzy przez lata wspierali finansowo rosyjską opozycję. „Boją się, że stracą znaczenie i że nikt nie będzie się z nimi liczyć” – mówią urzędnicy w brukselskich korytarzach. I z przekąsem zauważają: „To dla Rosjan, coś nowego z czym nie mogą się pogodzić i co trudno im zrozumieć”.

Od proszących o anonimowość urzędników z Brukseli, w tym z otoczenia Kai Kalłas, która niedawno została wysokim przedstawicielem UE ds. polityki i bezpieczeństwa – czyli szefową unijnej dyplomacji – słyszę z kolei, że z punktu widzenia Brukseli przyszłość demokratycznej Rosji nie jest dzisiaj kluczowym tematem. I że próby wciągania Europy w takie debaty jest mocno nietaktowne. „Oni cały czas mówią o Rosji. O przyszłości Rosji. O sobie i swojej roli. Jeżdżą na spotkania z nimi i często patrzą na zegarek, ile minut musi minąć, by z ust rosyjskiego opozycjonisty padło słowo Ukraina” – mówi mi współpracownik Kallas.

„W Unii nie ma wątpliwości, że rosyjską opozycję należy wspierać” – zauważa inny. – „Mamy uzgodnione wspólne stanowisko, że tego, że im pomagamy, ale jednak nie traktujemy ich tak samo, jak choćby Światlanę Cichanouską, liderkę białoruskiej opozycji. Bo ona się legitymizowała – głosami białoruskich wyborców. Wiemy, że ma mandat społeczny. A Rosjanie? A jeśli nawet, to którzy?” – słyszę. „Jest jednak masa rzeczy, którą można robić w tej przestrzeni między nicnierobieniem a wspólnymi zdjęciami z Cichanouską. I na tych poziomach my naprawdę im pomagamy: niezależnym mediom, obrońcom praw człowieka, niezależnym organizacjom. Na tym w kwestii Rosji należy się skupić, niekoniecznie na spotkaniach i dyskusjach z ludźmi, którzy pretendują do roli politycznych liderów”.

Ludzie ze struktury władzy w UE przyznają przy tym, że temat współpracy z rosyjską opozycją to puszka Pandory, której starają się publicznie nie otwierać. „Zbyt dużo szczegółów zrodziłoby konflikty zarówno między europejskimi partnerami, jak i ze strony Ukraińców czy samych opozycyjnych Rosjan, którzy i bez tego są między sobą mocno skłóceni”.

A jednocześnie na korytarzach w Brukseli słyszę, i to wielokrotnie, że te wszystkie argumenty są dobre, ale główny powód, dla którego nie debatuje się o Rosji na poważnie, jest bardzo prosty. „Prowadzić debatę na temat, na który nie ma się zdania, jest wyjątkowo trudno” – żartuje jeden z urzędników. Unia nigdy nie ustaliła, jak tę przyszłość widzi, choćby w ogólnym zarysie. Nie wygląda to zbyt profesjonalnie, gdy chce się rzucić wyzwanie Chinom i udowodnić Trumpowi, że Europa to żadni rozlaźli, rozdyskutowani biurokraci, ale pewna siebie geopolityczna potęga. Ale Unia ma dobre usprawiedliwienie.

„Przez wiele lat to Moskwę traktowaliśmy jako priorytet. Nie Kijów. To był błąd, z którym dzisiaj się mierzymy. Polityczny kapitał nie jest nieskończony, przeznaczanie go teraz na pracę nad przyszłością Rosji, bardzo abstrakcyjną i nieokreśloną, byłoby niewłaściwe. Tym bardziej, że przyszłość Ukrainy jest o wiele bardziej konkretna. Ukraina teraz o nią walczy i jest naszym partnerem. Skupiamy się więc na możliwych do osiągnięcia konkretach, a nie na pięknych marzeniach”.

A co myślą sami zainteresowani? Ilja Jaszyn, jeden z najznaczniejszych przedstawicieli antyputinowskiej opozycji, który za sprzeciw wobec wojny i informowanie Rosjan o zbrodniach wojennych w Buczy został wtrącony do więzienia, a wolność odzyskał w ramach wymiany jeńców, wydaje się tym pytaniem zirytowany. W sierpniu mówił wprost, że został wyzucony z ojczyzny wbrew własnej woli. Krótko po uwolnieniu wspominał wręcz, że zamierza wrócić do Moskwy. Dzisiaj gniew i rozpacz nieco się uspokoiły, ale daje do zrozumienia, że nie pogodził się ani z przymusową emigracją, ani z tym, że niewiele może zdziałać.

„Ostatnio spotykałem się z różnymi zachodnimi urzędnikami i politykami. Prawie wszyscy pytali mnie, jak mogą wesprzeć rosyjską opozycję i w czym nam pomóc. Wie pani, co im odpowiadałem? Że jeśli chcą pomóc rosyjskiej opozycji, to niech obronią i uratują Ukrainę przed Putinem. To wszystko, co nam od was potrzebne”. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: ied@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski;

MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciurowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska, Dominik Gajda (Ale Historia)

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak

CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



10 SCENARIUSZY, KTÓRE WSTRZĄSNĄ ROSJĄ

Iwan Groźny rządził przez 50 lat i 105 dni. Czy Putin pobije ten rekord? Chroń nas, Boże, przed powtórką

Wiktor Jerofiejew*

Ameryka obnażyła swoją duszę w wyborach prezydenckich i ten polityczny striptiz, który doprowadził do zwycięstwa Trumpa, początkowo niezwykle podniecił Putina. Przemawiając jakiś czas temu do swoich fanów, posunął się tak daleko, że oświadczył, iż do 2022 r. Rosja była na złej drodze, pozwalając, by Zachód wtrącał się w jej najskrytsze interesy, a teraz osiągnęła „światowy poziom rozumienia problemów”.

W istocie Putin przyznał, że dopiero wojna pozwoliła mu przełamać światowe modele i zaproponować nowy świat, którym – jak można się domyślać – podzieliliby się z nowo wybranym amerykańskim prezydentem.

W tym połączeniu marzeń i rzeczywistości uderzające jest to, że wojna w centrum Europy nie posłała Putina na dno, ale wzniosła na wyżyny międzynarodowej potęgi, a jego kochający wartości przyjaciel Trump zdaje się gotów, by wyciągnąć do niego rękę.

Putin pochwalił Trumpa „po ziomalsku”, mówiąc, że w momencie zamachu na niego zachował się on jak mężczyzna. Był to wyraźny powrót do czasów macho. Pojawił się tu jednak jeden niuans. W najbliższej przyszłości nuklearna retoryka Putina prawdopodobnie osłabnie. Trump to nie intelektualista w stylu Bidena, zareaguje na groźby nuklearne jak chuligan, wprowadzając Putina w stan nerwowej niepewności.

Putin działa bezwstydnie. 100 tys. ofiar wojny z Ukrainą, jego współobywateli – to mu nie przeszkadza. Ameryka i Rosja weszły w okres polityki nieprzewidywalnej i chociaż Amerykanie są generalnie znacznie bardziej świadomym politycznie narodem, głosowali na Trumpa.

Kiedy więc rosyjska opozycja marzy o uczciwych, wolnych wyborach (a takie niedawno odbyły się w Ameryce), myśli o wygranej swojego kandydata, podczas gdy w rzeczywistości będzie to Putin lub nawet ktoś straszniejszy od niego.

Czas jednak pędzi do przodu, a jeśli nie uczciwe wybory, to co może zmienić przyszły kształt władzy w Rosji oparty na prawach biologii?

Scenariusz nr 1

Zacznijmy od niemal nierealnego rozwoju wydarzeń. Mimo obecnej smutnej sytuacji armii ukraińskiej i upartej ofensywy Rosji w Donbasie szczęście nagle zaczyna sprzyjać Ukraincom.

Dzisiaj ze wszystkich stron słyszeć nawoływania, by skończyć z rozlewem krwi, zamrozić wojnę, rozpocząć negocjacje i zapomnieć o zwrocie Krymu Ukrainie. Zasadniczo zakres rozwiązań wojskowych i pokojowych jest niewielki. Albo wojna do końca, z ogromnymi stratami ludzkimi, ze zniszczeniem ukraińskiej infrastruktury, albo utrata terytoriów, ok. 20 proc. powierzchni Ukrainy. – Za czym się pan

opowiada? – Jestem zwolennikiem negocjacji.

Jeśli Putin przegra wojnę z Ukrainą lub skończy się ona remisem, możliwa jest wojna nuklearna, bo osaczony Putin będzie wściekły na cały świat. Wtedy Rosja nie będzie miała przyszłości, nie będzie też życia w innych krajach.

Ten najgorszy scenariusz wygląda nieprawdopodobnie, ale znając charakter Putina i jego obojętność na losy świata, należy go mieć na uwadze.

Scenariusz nr 2

Putin ostatecznie godzi się na negocjacje, które kończą się podobnie jak te w Korei w latach 50.: bezterminowym zawieszeniem broni i zachowaniem przez Rosję części wschodniej Ukrainy. W tym przypadku przyszłość Rosji jest nieciekawa. Stanie się ona krajem pariasów.

Pojawiają się dwie możliwości. Albo Europa będzie teraz przeklinać Rosję przez dziesięciolecia, za przykładem Ukrainy, która straciła tak wiele podczas tej wojny, albo szybko znajdzie drogę do nowej Realpolitik i zacznie dzwonić do Putina za pośrednictwem swoich prezydentów. A on tęskni za rozmowami z Europą.

W końcu to podwórkowy łobuz z Leningu – strasznie drażliwy facet, a temat braku szacunku jest dla niego kwestią egzystencjalną. Oczywiście Ukraina, zachowawszy swoją suwerenność i zachodnią orientację, będzie wraz z Polską i krajami bałtyckimi domagać się od reszty Zachodu, aby nie rozmawiać ze „zbrodniarzem wojennym”, ale Europa będzie stopniowo otwierać się na rosyjską kulturę (nie jest zamknięta na nią, wiem to po sobie); popłyną strumienie turystów, nastąpi wymiana młodziarzy... Ukraina będzie obgryzać paznokcie.

W tym samym czasie represje w Rosji będą kontynuowane, krytycy władzy będą karani wieloletnim więzieniem, choć wielkiego terroru nie będzie. Jednak ten kraj banita nie upadnie. Ani Zachód, ani Chiny tego upadku nie chcą. Ale przede wszystkim nie upadnie, bo jego parcie do zmiany będzie równe zeru. Czas będzie pracował na rzecz staruszeki Rosji, zapewne zamknie ona swoje granice, a obecna emigracja w drugim pokoleniu odsunie się od spraw rosyjskich, dołączy do cywilizacji zachodniej lub powoli wymrze.

Scenariusz nr 3

Putin umiera lub odchodzi ze sceny politycznej. Władzę w kraju przejmuje triumwirat (podobny do wariantu poststalinowskiego) składający się z przedstawicieli FSB, technokraty i administratora, który po dogadaniu się z siłowikami zawiesza wojnę i dąży do zbliżenia z Zachodem. Naród rosyjski szybko zapomina o wojnie.

Triumwirat ostatecznie przekształca się w nowy reżim Chruszczowa i powstaje nowa wersja politycznej odwilży. Rosyjska

emigracja może poszerzyć okno wolności i wpłynąć na wydarzenia, co nie miało miejsca w latach 50. Choć pojawiło się wtedy interesujące zjawisko kulturowe, łączące takich pisarzy jak Pasternak i Platonow, którzy nie zostali „dorżnięci” przez Stalina, z nowym pokoleniem poetów i pisarzy z lat 60. Kultura rozbiła się.

Sama nazwa „odwilż” to koncept pisarza Ilji Erenburga. Teraz nie mamy takiego połączenia starej i nowej kultury. W literaturze wszystko jest raczej przyćmione. Rozwinęły się co prawda niezależna publicystyka i politologia, jest kilku krytycznie myślących oligarchów, ale to dla kraju za mało. Jak skończy się taka odwilż? Nową dyktaturą.

Scenariusz nr 4

Monarchiczny. Niespodziewany? Nie, to całkiem normalny scenariusz. Na Białorusi Łukaszenka to rozważa, testuje to na swoim synu, w Azerbejdżanie to się stało. Rosja też jest do tego zdolna.

Putin szykuje następcę spośród swojej rodziny (jak wiemy, ma dwie córki) i przekazuje komuś z tego kręgu pełnię władzy po swojej śmierci. Ta opcja, co dziwne, też przybliża kraj do odwilży, bo nawet najbardziej lojalni krewni Putina ostatecznie obwiniają go o wszystkie nieszczęścia w kraju.

Oczywiście odwilż może nie nadejść natychmiast; nastąpi okres wahania, powrót do putinizmu. Putin teraz wszędzie stara się ugruntować swoją polityczną nieśmiertelność – uczestnicy wojny, bohaterowie jego zdaniem, którzy zostają gubernatorami i innymi szefami, są związani z putinizmem.

Ci ludzie niewątpliwie drażnią obecną kremłowską elitę, która się ich boi. Jeśli Putin będzie długowieczny, to ci nowi zwolennicy mogą zamrozić Rosję na kilka postputinowskich lat. Na szczęście są prowincjonalni i słabi w polityce globalnej.

Scenariusz nr 5

Przewrót wojskowy. Widzieliśmy już taką możliwość w 2023 r., kiedy Prigożyn ruszył ze swymi wojskami na Moskwę, zapewne chcąc obalić Putina. Putin uciekł z Moskwy. Opozycja uważała go za tchórza. Ale ostatecznie zachował władzę, a Prigożyn został po pewnym czasie zlikwidowany. Przydał się jako przykład odwetu; jego samolot eksplodował niedaleko rezydencji Putina.

Scenariusz nr 6

Przewrót pałacowy. Nieprawdopodobny scenariusz. Możliwe, że znaczna część obecnej kremłowskiej elity jest w głębi serca przeciwna wojnie, zmęczona nią i czeka na zmiany. Jednak system blokuje samą możliwość zmywy elit. Putin jest autokratą; nie ma nawet Biura Politycznego (które usunęło Chruszczowa).

Co więcej, od wybuchu wojny nie tylko posłał skorumpowanych dowódców woj-

skowych do więzienia, ale nawet lojalny Nikołaj Patruszew został wysłany na zaplecze władzy [odwołany z szefowania Radzie Federacji], Miedwiediew i Szojgu zostali uciśnieni – kompletna cisza autokracji, wokół tylko pochlebcy i użyteczni menedżerowie, także propagandyści, kilku filozofów i pisarzy. Ale to są słudzy, nic więcej.

Scenariusz nr 7

Rewolucja ludowa. Również nieprawdopodobny scenariusz, chyba że pełna mobilizacja wojskowa, która jest możliwa, okaże się brutalna. Putin ma silną władzę, ale pamiętajmy, że rewolucja lutowa 1917 r. zmiotła wieki autokracji w ciągu dwóch dni.

Scenariusz nr 8

Po śmierci Putina elity zwracają się do liderów ruchów emigracyjnych, by stanęli na czele Rosji. Rzecz niewiarygodna, bo dla kremłowskich elit byłoby to polityczne samobójstwo.

Scenariusz nr 9

Upadek Rosji może nastąpić, jeśli odwilż będzie wprowadzana nieskutecznie. Problemy mogą zacząć się w Czeczenii i w innych republikach kaukaskich, może dojść do pewnej dezintegracji kraju. Rosja poniesie poważne straty terytorialne.

Jednak podział kraju na wiele części jest prawie niemożliwy. Okaleczona czy nie Rosja zapewne pozostanie na mapie świata, a ostatecznie nawet zbliży się do Zachodu. Zachód zawsze będzie chciał, aby broń nuklearna pozostawała w rękach jednego człowieka w Rosji, by nie wpadła w ręce terrorystów.

Scenariusz nr 10

Wróćmy do całkowicie nierealistycznego scenariusza. Opozycja wygrywa uczciwe, wolne wybory. Ale to nie ma i nie może mieć miejsca w putinowskiej Rosji. Sam Putin otrzymał 87 proc. głosów w ostatnich wyborach powszechnych (już podczas wojny z Ukrainą).

Jesteśmy jednak krajem popaprańców. Zawsze jesteśmy „za”, ale tak naprawdę nas to nie obchodzi, a nawet jesteśmy przeciw, ale nadal jesteśmy „za”. W ten sposób łatwiej jest w Rosji żyć. Dlatego od 25 lat mamy Putina jako cara.

Czy wkrótce pobije on rekord trwania u władzy na najwyższym stanowisku w Rosji? Nie wiem. Iwan Groźny rządził 50 lat i 105 dni. Niech Bóg nas broni przed powtórką. ● przeł. arp



FOT. DOMENA PUBLICZNA

*Wiktor Jerofiejew

• ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego mroczna baśń dla dorosłych „Różowa mysz” (do kupienia na Kultu-ralnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl). Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

Przepływe

*Pani Doroto,
pani wciąż mnie pyta o ból,
a ja prawie w ogóle go nie czuję.*

Z MACIEJEM STUHREM
ROZMAWIA W DOROTA WODECKA



• Stuhrowie. Ojciec i syn. Portret do sztuki „Bal manekinów” Brunona Jasińskiego. Reżyserował Jerzy, a główną rolę grał Maciej. Spektakl miał premierę 27 kwietnia 2018 r. w warszawskim Och-Teatrze FOT. JACEK MARCZEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

DOROTA WODECKA: „Nieprzyzwoicie gadatliwy, przemądrzały, trochę oblesny i – zawsze – okropnie śmieszny” – tak w 1986 roku o Papkinie Jerzego Stuhra w Teatrze Starym w Krakowie pisała Dorota Krzywicka. Niespełna 40 lat później wystąpił pan w tym samym teatrze i w tej samej roli, co tato. I płakał.

MACIEJ STUHR: Było to wydarzenie tak symboliczne, że aż trudno mi wierzyć, że zdarzyło się przypadkiem. Wprawdzie Wajdowską „Zemstę” widziałem na dziedzińcu przy ul. Świętej Anny, to jednak scena przy placu Szczepańskim była tą, na której nie tylko oglądałem tatę, ale poznałem teatr w ogóle. Tam zaczęło się moje marzenie o tym, by w podobnym środowisku umieścić swoje życie.

Ojciec zabierał pana do pracy?

– Od małego. Nie tylko chodziłem na widowię i nie tylko stałem za kulisą. Byłem dzieckiem buszującym po teatrze, więc ten budynek znam być może trochę lepiej niż niejeden aktor Starego Teatru. W liceum wręcz przesiadywałem w teatrze kilka razy w tygodniu na tych samych spektaklach. Najczęściej siadałem na zamkniętym dla publiczności balkoniку, w kącie, na schodku prowadzącym do kabiny elektryków i akustyków. A potem przez wszystkie lata zastanawiałem się, jak by to było tam wystąpić. I dopóki tato żył, nie zdarzyło się tak.

Rzeczywiście wymowne.

– W moich myślach pojawi się pytanie, które nie ma nic wspólnego z racjonalną częścią naszej natury, a które bym zatytułował: Czy on mi musiał zwolnić miejsce? Nawet nie będę się kusił, by na nie odpowiedzieć. Samo pytanie wystarczy.

Poszedł pan tam w grudniu?

– To było pierwsze, co zrobiłem, kiedy przyjechalśmy z naszym warszawskim spektaklem do Starego. Ale zabrali mi schodek.

Jak to?!

– Przerobiono wejście do kabiny i już go nie ma. Stałem sobie w tamtym kąciку i nawet zrobiłem zdjęcie, by uchwycić dzisiejszą perspektywę.

A potem w garderobie najpewniej usiadł pan na miejscu ojca.

– Oczywiście. Wiedziałem, że chcę usiąść na tym krześle choć raz w życiu. Nie wiem, czy chciałbym na nim siedzieć całe życie, bo to by była zupełnie inna historia do opowiedzenia, ale ten jeden, jedyń raz to tak.

Czy stojąc na tych deskach, przewijały się w pana głowie stop-klatki z przeszłości? Tato, aktorzy, do których kilkuno-stoletni chłopak mówił z dumą per „ty”, wybitne spektakle, pierwsze wzruszenia...

– Na początku miałem niezwykłą treść. Bo grałem TEN spektakl, w TYM miejscu, w dodatku na Festiwalu Boska Komedia, co oznacza, że pół widowni zajmowało środowisko i znajomi bliżsi lub dalsi. Ale kiedy zbliżyliśmy się do finału i wiedziałem, że to, co najważniejsze miałem do zagrania, to zagrałem, trema zaczęła mi odpuszczać i właśnie wtedy się wzruszyłem. Przeszłość przelatowała mi przed oczami, mniej więcej ta, o której pani opowiada.

Płakał pan dlatego, że dotknęło pana tym bardziej dotkliwie poczucie straty i mijającego czasu?

– Czy to, co przeżywałem w Krakowie, było trudne? Wszystko, co jest związane z odejściem nam najbliższych, jest trudne, ale było to też bardzo, bardzo piękne. Rzeczywiście uroniłem nawet nie parę łez, ale wiele, lecz nie w poczuciu tragedii, tylko w poczuciu piękna raczej. Jestem wdzięczny za tamto doświadczenie wpisujące się w symbolikę roku żałoby.

Rok? Nasze owdowiałe babki chodziły z żałobną opaską na ramieniu przez rok, ale dlaczego pan wyznaczył sobie taką cezurę?

– Przez rok zdarzą się rzeczy po raz pierwszy bez niego. Święta, jego urodziny, moje urodziny, wakacje, moja premiera. Będę się mierzył z jego nieobecnością. Po roku będę już więcej o niej wiedział.

Zacząłem się wnikliwie przyglądać swoim uczuciom, co zbiegło się z odejściem taty. Traktuję je z ciekawością i czułością oraz rzecz jasna z bezradnością typową dla mężczyzny wychowanego w naszym kręgu kulturowym i z PESEL-em podobnym do mojego. Uczę się doświadczać uczuć i mówić o nich, ale sądzę, że pokolenie naszych synów będzie wiedziało na ich temat więcej. Przynajmniej bardzo na to liczę i trzymam za to kciuki.

Pan? Pracujący na uczuciach uczy się ich?

– Tak, niezdarnie. Pokolenie naszych ojców, pewnie z wyjątkami na szczęście, nie miało o uczuciach większego pojęcia. Panicznie się ich bało, uciekało od nich i uważało, że mężczyznom nie za bardzo wypada zajmować się takimi rzeczami. Szukali atrybutów męskości w innych rejonach.

W tej materii ojciec nie był wzorem?

– Cechą mężczyzn w mojej rodzinie było zamięłowanie do samotności. I ojciec, i dziadek, i – jestem niemal pewien – również pradiadkowie, których nie znałem, lubili swój wewnętrzny świat i swoje samotne jaskinie. Byli z tego powodu dumni, a i ja opowiadałem w wielu wywiadach, że mam ten ryt w sobie i go sobie cenię. Dziś się zaczynam zastanawiać, czy moje zamięłowanie do samotności nie jest też ucieczką od emocji i od uczuć, które wywołuje spotkanie z drugim człowiekiem. Samotność jest miejscem, gdzie mamy problem z głowy.

Czy ktoś z państwa choć raz w życiu pomyślał: chciałbym umrzeć w pracy?

Zaczynam się zastanawiać, czy na pewno trzeba się rozkoszować tą samotnością, czy nie trzeba by jednak zmusić się do pewnego wysiłku, a nawet popłynąć w sferach, które – jak to się dziś mówi – nie należą do stref naszego komfortu. Skłaniam się ku odpowiedzi, że warto.

Dlaczego?

– Najkrócej odpowiadając, po to by tworzyć głębsze relacje, zwłaszcza z osobami, na których nam zależy.

Dlaczego tę gotowość łączy pan ze śmiercią taty?

– Po prostu teraz, w tym żałobnym roku, coś się zaczyna we mnie otwierać w tym temacie. Jakoś mi się garda opuściła i wzmacnia się moje zaufanie do siebie. Nie wiem jeszcze, jak to się łączy z postacią ojca i tym, że już go nie ma, ale wiem, że się łączy.

Nie chcę pana zranić tym pytaniem, ale dlaczego pan mówi o „odejściu” ojca, a nie o śmierci?

– Przede wszystkim dlatego, że przez dekadę tato zmagal się z wieloma chorobami, w tym z najstraszniejszą, której się wszyscy boimy. I mimo że pacjent mężnie stawiał czoła najgorszym trollom, hydrom, tyranom i wychodził zwycięsko z wielu operacji, które wydawały się nie do przejścia, to jednak odciskały one swoje straszliwe piętno na tym wspaniałym człowieku, niszcząc

go na poziomie biologicznym i psychologicznym.

Dlatego mówię o odchodzeniu, bo dzień śmierci taty był ostatecznym jego akcentem, natomiast ostatnie miesiące, a nawet kilka ostatnich lat jego życia były procesem żegnania się z człowiekiem, którego znaleźmy i kochaliśmy.

Może to zabrzmie niewłaściwie, może ktoś zbulwersuje, ale taka jest prawda, że starość jest okrutna z wielu powodów. Nie tylko dlatego, że nie mamy na coś siły albo ból jest trudny do uśmierzenia, ale dlatego, że przestajemy być tymi, którymi byliśmy.

I czym to skutkuje?

– Jeśli nie łączy nas uczucie, jeśli nie odczuwamy ze sobą głębokiego porozumienia, nie mamy przerobionych wzorów komunikacji, to nie zmienimy tego w ostatnim okresie życia. Nie zbudujemy relacji, nie wejdziemy w dialog. Umysł już nie wszystko rozumie. I nawet gdy jesteśmy blisko takiej osoby i pełni miłości do niej, to odczuwamy już niedosyt. I rodzi się tęsknota za tym samym człowiekiem, mimo że on jest jeszcze wśród nas.

Czy pan czarował rzeczywistość? Zaklinał los lub prosił Boga, by zdarzył się cud i nie trzeba było się żegnać?

– Kilkakrotnie ją zaklinałem. Pierwszy zawał tato przeszedł w roku 1988. Lekarze przez trzy dni dawali delikatnie do zrozumienia, że może być bardzo, bardzo źle. Wtedy modliłem się i zaklinałem rzeczywistość. Modliłem się przy jego chorobie nowotworowej i zaklinałem rzeczywistość, kiedy przeszedł udar.

Ale w ostatnich miesiącach widzieliśmy, że tym razem rzeczywistości nie odczarujemy, bo stan jest nieodwracalny. Wtedy człowiek zaczyna zmieniać tory myślenia i najważniejsze jest to, żeby na przykład ograniczyć cierpienie.

Czy ktoś z państwa choć raz w życiu pomyślał: chciałbym umrzeć w pracy?

Modlił się pan naprawdę, czy to taki zwrot retoryczny?

– Modliłem się. Byliśmy z mamą w kościele i się modliliśmy. Miałem wtedy 13 lat. W dzieciństwie fascynowała mnie teatralność nabożeństw. Wkładałem żółty przeciwdeszczowy kapok w charakterze ornatu, kładłem na mamy pulpicie do nut książeczkę do nabożeństwa i odprowadzałem dla swojej niani mszę. Jako nastolatek byłem żarliwym katolikiem, coś się w moim sercu na ten temat jeszcze mocno tli.

To chyba pomaga w żałobie. I w życiu.

– Ja nie wiem, czy pomaga, ale ja po prostu w wiele rzeczy wierzę. Wchodzimy znowu na grząskie grunty, a chyba nie bardzo bym chciał.

Z pewnością nikt nic lepszego nie wymyślił niż Jezus, mówiąc: nadstawcie drugie policzek.

W ten sposób mógł powiedzieć tylko Bóg, bo człowiek by tego raczej nie wymyślił. Nikt nie umie tego robić, ale byłoby pięknie, gdybyśmy ten przekaz potrafili wdrożyć w życie. Rozwiązałoby to większość naszych problemów, a przynajmniej te społeczne i polityczne.

Trochę mi głupio brnąć w te grząskie grunty, ale chcę zadać pytanie o nadzieję albo wiarę, że spotka pan jeszcze tatę.

– Nie wiążę tej ewentualności. Mnie jest przyjemniej i łatwiej żyć z przeczcuciem

czy wiarą, bo nijak inaczej tego nazwać nie można, że coś metafizycznego jednak istnieje.

Jesienią kręciłem film na Krecie i nie udało mi się zwolnić na Święto Zmarłych, żeby przyjechać na groby. Bardzo mi było z tym źle, bo wydawało mi się to moim obowiązkiem. Zacząłem się zastanawiać, jak ten dzień najlepiej spędzić. Miałem dla siebie przedpołudnie. Przypomniałem sobie, że jedno z moich najpiękniejszych rodzinnych wspomnień związanych z tatą wiąże się z zamięłowaniem do pływania, czyli albo z morzem, albo z rzekami, przy których zatrzymywaliśmy się, żeby zrobić tzw. przekąp.

Więc poszedłem nad morze, usiadłem na skałach i przez dwie godziny patrzyłem i w morze, i w skały, i w słońce. Medytowałem – można powiedzieć – albo się modliłem. Wspominałem, wzruszałem się i byłem z nim blisko. Takie miałem dziwne przedpołudnie na Krecie 1 listopada.

Pana żałoba, choćby z powodu naszej rozmowy, staje się żałobą publiczną. Pan też odczuwa jakiś dysonans, że sprawa intymna staje się publiczną?

– Tym większy że ludzie często mają wyobrażenia na temat tego, jak powinna żałoba wyglądać. A to są kwestie nieporównywalne i niepodlegające ocenie. Nie wiem, czy pani oglądała „33 sceny z życia” Gołki Szumowskiej, w którym grałem, gdzie styła po śmierci jednego z rodziców przerodziła się w imprezę. Bywa i tak. Ludzie różnie reagują. Niektórzy urządzają dyskotekę, a niektórzy płaczą.

Czy poczuł pan ulgę, że cierpienie taty się skończyło?

– Nie wiem, czy aż tak bym to ujął, ale rozumiem, o czym pani mówi. Odpowiem tak: gdyby miało być jeszcze gorzej, niż było w ostatnich tygodniach, to dobrze, że to się skończyło. Jeremi Przybora w swojej ostatniej piosence napisał: „Gdy zabraknie mi słów, mnie zabraknie też”.

Tato zagrał ostatni spektakl 10 czerwca. To, że grał w ogóle przez ostatni rok, było cudem. Przynajmniej my w rodzinie tak to odbieraliśmy, widząc, w jakim jest stanie na co dzień. Czasami naprawdę nie wierzyliśmy, że on wieczorem wyjdzie na scenę i przetrwa godzinę w jakiegokolwiek formie. To, że wychodził na scenę i grał, było dowodem jego heroizmu i wielkiego talentu.

Mówi pan o „Geniuszu”, który miał premierę rok temu, 20 lutego?

– On temu spektaklowi zawdzięcza ostatni rok życia. Zawsze, po każdej swojej chorobie wyznaczał sobie cele zawodowe. Mobilizował się do wyzdrowienia, żeby stawić się za parę miesięcy na próbie, a za kilkanaście miesięcy dać premierę albo napisać książkę. Planowanie wielokrotnie wyciągało go z największych tarapatów. Ale był już tak schorowany, że wiadomo było, że „Geniusz”, którego wyreżyserował, jest naprawdę jego pożegnaniem. I myślę, że tak jak Przybora, zszedł z tej sceny, wiedząc, że wypełni swoją misję.

W „Tak sobie myślę” pisał: „Zawsze uważałem, że skoro obdarzony jestem pewnymi zdolnościami, które innym nie są dane, to moim obowiązkiem jest ludziom służyć pod każdą postacią i w każdej formie, od beztróskiego śmiechu po wzruszenie i przerażenie. Oto cała moja misja”. A w innym fragmencie jego wspomnień znajduje zdania, z których wynika, że dla pana, panie Maćku, aktorstwo jest pracą, podczas gdy on miał nadzieję, że „stojąc przed kamerą, wykonujemy coś związanego jednak ze sztuką”.

– Tato wielokrotnie mierzył się z tekstem „Iwony, księżniczki Burgunda”, który przygotowywał ze studentami szkoły teatralnej i w teatrze. Znam go na pamięć, bo większość tych inscenizacji widziałem. Jego odejście do zawodu oddaje zdanie, które

Królowa wypowiada do syna: „Filipie, trzeba zawsze wzwyz, nigdy w dól”.

Tato szukał w sztuce uwznioślenia, nie interesowały go tanie chwytły, występy poniżej swoich możliwości itd. Szukał moralności, etyki, wartości i drogowskazów, do czego wraz z wiekiem przykładał coraz większą uwagę. Brzmi to wszystko wspólnie i właściwie nic, tylko przyklasnąć...

...ale jest jakieś „ale”, prawda?

– Czasami doświadczam w swoim życiu wzniosłych momentów artystycznych. Występowałem przez kilkanaście lat w teatrze u Krzyska Warlikowskiego, gdzie robiliśmy rzeczy z najwyższej półki artystycznej. Udało mi się też zrobić kilka filmów wykraczających poza ramy rozrywki i opowiadanie historii.

Ale nie martwi mnie, że bycie aktorem jest dla mnie pracą. Staram się pamiętać, że nawet jeśli na chwilę przepadnę w swoim zawodzie bez reszty, to muszę stamtąd wracać.

Nie chcę żyć tylko dla sztuki. Chcę zostawić pracę na progu domu i być zwyczajnym człowiekiem, zwyczajnym ojcem, mężem i synem.

Mieć poza misją życie.

Udaje się panu?

– Przyznaję, rzadko, ale przynajmniej w głowie staram się sobie ułożyć to tak, że jednak to jest moja praca. Daleki jestem od wyznawania mitu pod tytułem „umrzeć na scenie”, a jest to mit żywy. Przypuszczam, że Krystyna Janda, która była największą przyjaciółką taty, zwłaszcza pod koniec jego życia, mogłaby wypowiadać się w tym tonie, że Jerzy Stuhr zagrał ostatni spektakl i zmarł. Sądzę nawet, że tato nie miałby nic przeciwko temu, by się w ten mit wpisać. I to jest jedna z większych różnic między nami.

Na stand-upie, z którym występuję w Polsce, zwracam się do publiczności z pytaniem:

Czy ktoś z państwa choć raz w życiu pomyślał albo wypowiedział na głos takie zdanie: „Chciałbym umrzeć w pracy”?

Rzeczywiście, brzmi kuriozalnie.

– Dla wielu moich kolegów to szczyt marzeń. Nie dla mnie. Ja chciałbym umrzeć gdzie indziej. Dom nie jest najgorszym miejscem do umierania. Chyba.

Rozpoznał pan moment, w którym tata się poddał?

– Poddanie się nie leżało w jego naturze. Myślę, że niepoddawanie się było jedną z ról, które odgrywał do samego końca, a że był znakomitym aktorem, więc nawet przed nami dzielnie i z powodzeniem ją grał.

Rozmawialiście o tym, że on gaśnie?

– Z nim?

Tak.

– Nie. O tym nie. Od zawsze miałem z nim dobre porozumienie ze względu na to, że współdzieliłem miłość jego życia. I do mamy, i do sztuki.

Zwłaszcza na ten drugi temat mogliśmy gadać godzinami, bo graliśmy w tę samą grę. Ale to, co wydawało się błogosławieństwem, że mam z tatą kontakt lepszy niż wielu moich kolegów, z dzisiejszej perspektywy oceniam jako pewną pułapkę.

Dlaczego?

– Średnio potrafiliśmy gadać o innych sprawach. O ile w większości spraw artystycznych zgadzaliśmy się, tak w kwestiach głębszych, ludzkich, nie tyle, że mieliśmy rozbieżności, ile trudno nam było w ogóle znaleźć wspólny język z tego powodu, że tato nie znał tego alfabetu.

Podczas gdy rzadko widziałem go w życiu bezradnym, tak w próbie rozmowy na pewno. Szczególnie w ostatnim okresie. Ożywał się wtedy, gdy mu mówiłem na przykład, że jadę do Chrzanowa, bo gram tam stand-up. Wydawało się, że leży nie-



• Świetny odcinek 3. polskiej wersji francuskiego serialu komediowego „Gdzie jest mój agent” (2022), w którym Stuhrowie grają aktorskie gwiazdy. Ojciec i syn mają razem wystąpić w filmie, ale nie mają na to ochoty i... odwagi, żeby się do tego przyznać.

FOT. AGNIESZKA JURK/TVN

Ból był wtedy, gdy tato spowodował wypadek po wypiciu alkoholu i wygadywał potem głupoty.

To był ból.

przytomny, a on otwierał oczy i mówił: „O, Chrzanów, to ja tam kręciłem »Amatora«, jedną scenę przy poczcie, a drugą w uliczce z tyłu. Proszę pozdrowić publiczność”. Przypomnił sobie wydarzenia sprzed 40 lat, a przed chwilą leżał kompletnie bez życia. W takich sprawach mieliśmy sztamę.

Czyli on z panem nie rozmawiał o tak zwanym życiu? Nie dawał życiowych wskazówek?

– Niewiele. Przepraszam za genderową uwagę, ale mężczyźni jego pokolenia, nawet jeżeli coś próbowali przekazać swoim dzieciom, to robili to niezwykle niezgrabnie.

W trudniejszych sprawach pisaliśmy do siebie listy, niewiele, kilka zaledwie.

Bezpieczniej się czuliśmy w przelewaniu słów na papier, zamiast konfrontować się bezpośrednio z tym, jak ten drugi człowiek zareaguje. Przez długi czas myślałem, że to jest piękne i ciekawe, ale dziś myślę, że szkoda, że nie umieliśmy sobie sięść i pogadać.

Z drugiej strony dostałem od niego wspaniałe wychowanie, wykształcenie, wpoił mi wartości, o których może nie rozmawialiśmy na co dzień, ale które wyznawał. Był dla mnie jasną latarnią, ale z komunikacją bezpośrednią to między nami było różnie.

Przyjął pan jego przekonanie, że są rzeczy, których robić „nie wypada”. Na przykład chodzić po szpitalnych korytarzach w piżamie.

– Miałem trochę niezgody na to jego „nie wypada”.

Bo jest mieszczańskie?

– Trąciło jakimś zasznurowanym gorsetem. Może nie zamiataniem pod dywan, ale prześlizgiwaniem się po rzeczach trudnych, bo „nie wypada” się nimi zajmować. I czasami zwracaniem większej uwagi na

formę niż na to, czy nie należałoby po prostu pogadać i rozwiązać jakieś sprawy.

Ale wzruszałem się, że tato zachowuje się niczym dinozaur z innego pokolenia, który rzeczywiście lubi dopinać kamizelkę. Zresztą często się posługiwał metaforą tej zapiętej kamizelki.

Powinnaś zapytać, co pana zdaniem nie uchodzi albo czego nie wypada.

– Pewna garderobiana po skończeniu bardzo długiej i ciężkiej pracy powiedziała mi, że jestem dla niej najlepszym aktorem. Od razu obrosłem w piórka, a moje ego zostało wspaniale polechtane. Chwilę później pani Ewa dodała: „Bo ty zawsze, jak skończysz grać, to odwieszysz na wieszak koszulę i składasz skarpetki. Jesteś, Maciusiu, najlepszym aktorem”.

Opowiadałem o tym dlatego, że jednak coś z tego ojcowskiego „nie wypada” starałem się też wziąć. Nie wypada rzucić swoich spoconych gaci na ziemię, żeby starsza pani miała je podnosić i prać.

Jego zdaniem nie wypadało panu grać w kilku filmach.

– Miewał swoje zastrzeżenia.

Beata Nowicka w waszej rozmowie rzece przywołuje list, który pana tato napisał do reżysera „Poranku kojota”. Ocenił, że film jest zły, pan zagrał źle, i poprosił go, by w swoich produkcjach zapomniał o istnieniu pana jako aktora. Brzmi to zabawnie, ale wtedy nie musiało tak być.

– Ja z krytycyzmem taty pół życia przeżyłem, dopóki nie przeczytał w jakimś moim wywiadzie, że mnie to trochę uwiera.

I dopiero potem zaczął mnie trochę chwalić. Właściwie pochwał od taty nie słyszałem do wczesnej starości.

Jego?

– I mojej. Mogę się oczywiście zastanawiać, czy mi to robiło dobrze, czy źle, ale

myślę, że summa summarum nie było źle. Miałem zawsze ekstra doping do stawiania się lepszym.

Czy to możliwe, że syndrom sztokholmski się w panu odzywa?

– Nie byłbym być może dzisiaj w tym miejscu, w którym jestem, gdyby nie to, że on mi jednak dawał do zrozumienia, że pewne rzeczy są ciekawe, a inne mogą być dla mnie bardzo niebezpieczne. Podejrzewam, że kiedy w filmie „Poranek kojota”, który do dziś ma wiernych fanów różnych pokoleń, mój tato usłyszał żart o – przepraszam za cytaty – „waleniu konia do jogurtu”, to usiadł i napisał listy do reżysera. Mam do tego jakieś uczucie pobożania, nawet mnie to trochę wzrusza.

Miał pan możliwość pożegnać się z tatą tamtego dnia?

– Nie wiem, czy był świadomy mojej obecności, bo już trochę odpływał. Chociaż kiedy chwyciłem go za rękę, zaczął na mnie przytomny wzrok, którego nie zapomnę do końca życia. W moim sercu zostanie to jako nasze pożegnanie. Powiedziałem, że go kocham.

Wie pani, niesamowite jest to, że mój syn od wielu lat słucha audiobooka „Mikolajka” nagranego przez tatę. „Słucha” to już chyba nie jest dobre słowo, bo to jest już rodzaj mantry, która daje mu poczucie bezpieczeństwa. Szczerze mówiąc, mamy czasami z żoną tego dość, bo to naprawdę trwa już latami. Znamy każdą sylabę tego tekstu. Ale po śmierci taty jest w tym jego niewymuszonym słuchaniu coś niezwykle pięknego i metafizycznego. Nie rozpamiętuję, że dziadka już nie ma, tylko ma swój rytuał, swój przytulny kąt.

A pan ogląda spektakle ojca? Albo filmy?

– Tuż po śmierci obejrzałem dużo rzeczy. Te, które znałem, i te, których nie znałem z Teatru Telewizji. Oglądałem też wywiady z nim.

Po co?

– Żeby ułatwić rozstanie chyba. Nacieszyć się nim w jakimś sensie jeszcze. Przypominanie sobie fajniejszych momentów taty było wzruszające i kojące.

Bolesne chyba też.

– Pani Doroto, pani wciąż mnie pyta o ból, a ja nie mogę o nim opowiadać, bo prawie w ogóle go nie czuję. Umarł, bo każdy umiera. I tyle. Koniec.

Ból był wtedy, gdy tato spowodował wypadek po wypiciu alkoholu i wygadywał potem głupoty. To był ból.

Był pan wściekły?

– Mieszanka uczuć. Wściekłości, wstydu...

Wstydu za ojca?

– Przecież nie dumy.

Nie powinniśmy się wstydzić za rodziców.

– No nie powinniśmy, ale się wstydzilem. Była też rozpacz, bo ja wiedziałem, być może jako jeden z niewielu, co to znaczy tak naprawdę. Bo to, co się stało, było nie do obrony. Po drugiej było zaprzeczenie wielu wartościom, które tato głosił długi czas; wielu ludziom się nie kleiło, że mógł po alkoholu wsiąść za kierownicę. A jeśli do tego dodać działanie serwisów społecznościowych i algorytmów, to z tej historii obronną ręką wyjść nie można było. Przynajmniej nie w tej sprawie.

Śledził komentarze?

– Tato był człowiekiem innej epoki. Nie bardzo wiedział, czy to, co mu wyskakuje w internecie, jest z wczoraj, sprzed miesiąca czy kilku lat. Nie wiedział, jak działają media, jak wyglądają zasięgi. Udzielał wywiadu do lokalnej gazety, nie wiedząc, że za pół godziny będzie o tym wszędzie, na każdym portalu. Tego mechanizmu już nie znał. Więc się pograżał.

Nie mógł mu pan powiedzieć: „Tato, przestań gadać!”?

– Ja mu to mówiłem, ale nie mieliśmy tego typu relacji, żeby moje słowa coś miały zmienić. Jerzy Stuhr nie był osobą, której się dało powiedzieć: „Przestań gadać!”.

Oberwał pan rykoszetem?

– Natychmiast. Na drugi dzień straciłem kontrakt reklamowy. Ale to jest tylko kwestia pieniędzy, nie dotknęła mnie tak bardzo. Wiedziałem od początku, że oburzenie i ostracyzm pójdą szeroką ławą.

Na gali wręczenia Orłów powiedział pan żart, który rozbroił trochę napięcie i w panu, i w przestrzeni publicznej.

– Wiedziałem, że nie mogę tego tematu przemilczeć. Gala obracała się wokół „IO” Skolimowskiego, a przecież w kinematografii jest jeszcze jeden słynny osiołek ze Shreka, którego dubbingował mój tata. Poczynilem aluzję, że gdyby ustanowić kategorię „osioł roku”, to chyba wiadomo, kto by dostał Orła. Publiczność się ucieszyła i rzeczywiście troszkę napinki wtedy zeszło. Żart jest dobrym mechanizmem obronnym, nawet w najtrudniejszych sytuacjach.

Zaskakuje mnie pana szczerość. Spodziewałam się trochę innych odpowiedzi.

– Po premierze filmu „Pokłosie” przejechało po mnie stado czołgów. Przetrawiałem medialnie i publicznie nie dlatego, że jakiś PR-owiec mi powiedział, co mam mówić, tylko wręcz przeciwnie – pomyślałem, że muszę i chcę być szczery. I jestem.

Ale dlaczego?

– To, czym my, aktorzy, się zajmujemy, w przeważającej większości mijają się z wielkim sensem, co zresztą wymagają na nas nasz zawód. Opowiadałem studentom o scenie w czeskim filmie, w której jadę windą. Otóż wsiadałem do windy w Pradze, jechałem nią w Brnie, a wysiadłem w Olomunicu, bo takie były warunki scenograficzne. Na „dojechaniu”

musiałem udawać, że winda, której tak naprawdę nie było za drzwiami, właśnie się zatrzymała, i potrząsnąć sobą. Czy to jest zajęcie dla ludzi z wyższym wykształceniem?

Rozsądnych, kulturalnych, intelektualistów?

Wielu o takim zajęciu marzy.

– Ale czy nie są to głupoty? Po drugie, redukuje się nas do jeszcze większego poziomu głupoty, poświęcając dziesiątki artykułów temu, w co jesteśmy ubrani albo jak bardzo nie jesteśmy ubrani, z kim śpimy, jaką ulicą idziemy i tym wszystkim innym bzdurom związanym z show-biznesem. Ale tak się świat kręci, ja też w tym uczestniczę i nie będę ukrywał – czerpię z tego korzyści choćby finansowe.

Ale jako człowiek należę – mam nadzieję – do jeszcze sporej grupy ludzi, którzy chcieliby mieć poczucie sensu, więc skoro czasami biorę udział w targowisku próżności, to raz na jakiś czas chcę o czymś porozmawiać na serio.

Więc pogadajmy o odchodzeniu rodziców, o uchodźcach, o oddawaniu szpiaku, o czymś, co można przekuć na odrobinę dobra. Mój ojciec mówił o swoich chorobach nie po to, żeby sprzedawać swoje najintymniejsze historie, tylko po to, by pomóc chorym ludziom. I naprawdę są osoby, którym przedłużył życie. Jeśli jest cień szansy, żeby raz na jakiś czas coś takiego zrobić, to jestem gotów. I stąd ta szczerość.

Swoją drogą ojciec był najbardziej dumny z pana za ten szpik właśnie. Uratował pan życie dziewczynce.

– Wtedy rzeczywiście widziałem coś w jego oczach, czego nie widziałem po żadnej mojej roli. Rodzaj dumy i podziwu. Nawet powiedział, że jemu nigdy coś takiego nie przyszło do głowy i nigdy się na to nie zdecydował.

Ma pan kontakt z tą dziewczynką?

– To jest już dorosła osoba.

Przez całe jej dzieciństwo z moich wszystkich wojaży wysyłałem jej pocztówkę, więc ma sporą kolekcję.

Mieszka daleko, w Zachodniopomorskiem, odwiedziliśmy się tylko raz, ale łączy nas rzeczy tak tajemnicze, że mamy kontakt metafizyczny.

Trzeba porzucić ojca, by siebie zbudować. Czy kiedykolwiek to się stało? Zastanawiam się też, czy po śmierci naszych rodziców dopiero do nich nie wracamy. Bez oceniania ich, tylko z miłością albo wdzięcznością.

– Ten etap jest przede mną, czuję, że przyjdzie. Przy moim wielkim zapałaniu w niego, wiedziałem, że muszę się wyróżnić, że nie mogę być jego klonem. Jednak patrząc na ostatni okres taty życia, mam przeświadczenie, że nie wszystko chciałbym za nim powtórzyć. Z całym szacunkiem do wszystkiego, co mi przekazał i kim był, chciałbym swoje relacje z dziećmi ułożyć inaczej i nauczyć się czegoś, czego on nie umiał.

Przy nim zrozumiałem, na czym polega przekleństwo starości. Nie tylko na tym, że organizm odmawia posłuszeństwa, ale też na tym, że możemy się stać trochę innymi ludźmi, niż byliśmy całe życie, i to nie muszą być przemiany, o których byśmy marzyli, mówiąc oględnie. Nie oddaliłem się zbyt od taty, ale jego odejście dało mi odwagę do zmierzania się z tym, czego bym chciał w swoim życiu uniknąć.

Chce pan o tym powiedzieć?

– Niechętnie.

Nie chciałbym rościć sobie prawa do tego, by naszym czytelnikom, fanom i widzom Jerzego Stuhra mącić jego wizerunek. Wydaje mi się, że najbliżsi mają swoje porachunki z wielkimi ludźmi, ale niekoniecznie powinni publicznie ingerować w ich wizerunek. Bo wizerunek Jerzego Stuhra to jest inna kwestia niż Jerzy Stuhr, mój tata.

Każdy z czytelników i jego widzów albo mu coś zawdzięcza, albo ma o coś do niego pretensje, jest nim oczarowany albo rozczarowany. Mogę rzucić na to nowe światło, ale nie zamierzam rozpoczynać moich publicznych porachunków z nim.

Czy po śmierci taty poczuł pan tym większą odpowiedzialność za mamę?

– Oczywiście, że teraz cała uwaga na mamę – i to jest też w jakiś sposób piękne, że ona wreszcie może wyjść na plan pierwszy. Już nie mówię o wielkiej karierze ojca, której byliśmy trochę podporządkowani, a już mama przede wszystkim, ale o czasie jego choroby i jej opieki nad nim. Do mamy się dzwoniło, żeby zapytać, jak tata. Więc teraz nadeszła epoka mamy.

Bardzo dzielnie stawia czoła rzeczywistości, nie zamknęła się w sobie, nie rozpadła, tylko chce z życia skorzystać i wycisnąć je jak cytrynę. Myślę, że się otworzył jakiś etap dla niej. Życzę jej – i staram się dolożyć swoją cegiełkę do tego – by to był piękny okres w jej życiu. Chciałbym jej dać wszystko, co najlepsze. ●

Maciej Stuhr

• (ur. 1975) – aktor i psycholog. Reżyser i scenarzysta filmowy i teatralny, wykładowca akademicki, stand-uper, konferansjer i felietonista

PLEBISCYT „KSIĄŻKA 25 - LECIA”



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (2)

Księgi Bookstagramowe

– Nie wiem, czy dzięki książkom jestem dużo mądrzejszy, ale na pewno mogę dzięki nim odpocząć

Z PAWŁEM TRUSKOLASKIM, ZNANYM BOOKSTAGRAMEREM, CZYLI TWÓRCĄ OPOWIADAJĄCYM O KSIĄŻKACH NA INSTAGRAMIE ROZMAWIA WOJCIECH SZOT

Czym jest „bookstagram”?

– To skupiona wokół książek społeczność na Instagramie. Oprócz niego są „Booktok”, „Booktube” – zależy od medium. Dlatego lepiej może mówić o „bookmediach”, czyli grupach w mediach społecznościowych skupionych wokół książek.

Jesteś jego częścią, prowadzisz profil „To ten Truskolaski”. Ile książek pokazałeś na swoim profilu w 2024 roku?

– Nie mam pojęcia... Polecam tylko wtedy, jeśli coś mi się podoba. A czy to będzie 10, czy 20 książek miesięcznie? Zależy od miesiąca.

Prowadzenie profilu to praca?

– Oczywiście to wciąż hobby, ale takie, które zaczęło być pracą. Gdy, dwa lata temu zaczynałem, nie sądziłem, że tak to wyjdzie. Od wielu lat prowadzę firmę w zupełnie innej branży i nie chciałem nic szczególnego zmieniać. Inna sprawa, że jak coś robię, to lubię się w to zaangażować na maksa.

W jaki sposób prowadzenie profilu na Instagramie zmieniło ciebie jako czytelnika?

– Dziś szybciej umiem zdecydować, co chcę przeczytać. Otworzyłem się na inne gatunki – zacząłem sięgać po biografie. Odkryłem

listy. To jeszcze ciekawsze niż biografia. Dają szansę na bardzo intymne poznanie pisarzy, dotknięcie przeszłości.

Moje przyzwyczajenia czytelnicze nie zmieniły się jednak tak bardzo, jak moje umiejętności techniczne. Musiałem „ogarnąć” instagrame.

Czyli?

– Nauczyć się obróbki zdjęć, nagrywania filmów i ich montażu. Zawsze byłem bardzo kreatywny, więc doskonale się bawię, przenosząc „treść” książki na zdjęcia czy „rolki”. Złapałem się na tym, że gdy czytam książkę, myślę o tym, jakim zdjęciem zilustrować posta o niej. Jak ukazać odczucia, które mi towarzyszą w trakcie czytania, jak sportretować jakąś postać czy scenę, jakie dobrać gadżety i kostiumy.

Przerobić ją na produkt?

– Raczej chodzi o znalezienie dla książki kontekstu. O tym, co robię na Instagramie, myślę też trochę jak o kreatywnym wyrażaniu siebie. Czasem to jest mnóstwo pracy. Koloryzuję włosy, maluję się, kombinuję z kadrami i pomysłami na zdjęcie, efektami graficznymi. Uwielbiam to.

Jaka część twoich postów to posty sponsorowane?

– Na pewno dużo. Oznaczam jako współpracę reklamową także posty o książkach, które dostałem za darmo. Nie każdy tak robi i wiele razy już wybuchały w sieci dyskusje na ten temat.

Wszystko, co mogłoby być uznane za reklamę, wolę oznaczyć, bo moi czytelnicy i czytelniczki powinni wiedzieć, że dostałem za gratyfikację, nawet jeśli nie są to pieniądze, a jakiś zestaw książek.

A co gdy wydawnictwo chce ci zapłacić za post o książce, która ci nie leży?
– Odmawiam. Ale nie robię też negatywnych recenzji, bo przecież ktoś inny może tę książkę pokochać, może był na innym etapie życiowym. Jest jednak wyjątek – gdyby książka była homofobiczna, antysemicka czy rasistowska – wtedy na pewno bym o tym powiedział. Na szczęście rzadko trafiam na takie tytuły.

Piszesz do wydawców?
– Tak, gdy wiem, że na pewno chcę przeczytać jakąś książkę. To często kończy się współpracą reklamową.

A gdy masz już umowę z wydawnictwem, ale ostatecznie książka ci się nie podoba?
– Nie zdarzyło mi się, żeby wydawnictwo napisało, że wymaga tylko pozytywnej recenzji. Piszę, co myślę. Ale po co miałbym angażować się w pisanie czy opowiadanie o złej książce? Te godziny pracy, które poświęcam postom, wolę spożytkować na coś, co jest naprawdę dobre. Czytałem teraz nową powieść Katarzyny Bondy i na początku lektury bardzo irytowała mnie główna bohaterka. Napiszę o tym czytelnikom, by wiedzieli, że może warto dać jej szansę, bo później jest zdecydowanie lepiej.

Piszesz recenzje?
– Nie.

To jak nazwać to, co piszesz o książkach?
– Może opinia? Książka to nie jest produkt, to odczucie. Jednemu się spodoba, bo jest w takim miejscu w życiu, że potrzebował właśnie takiej lektury. Komuś innemu nie, bo jest gdzie indziej.
Na Instagramie czy TikToku publikuje się treści, w których nie ma wielu słów, a li czy się obraz, dźwięk, tempo. To zupełnie inne opowiadanie o książce niż w artykule czy recenzji. Typowa krytyka literacka na Instagramie się nie odnajdzie.

„Bookstagram” zmienił coś w czytelniczym świecie?
– Pokazał, że książka nie jest tylko rozrywką dla elit. Dokładniej: że książka, o której warto mówić to nie tylko ta „najlepsza”. Bookstagram potraktował książkę jak każdą inną rozrywkę – serial, film, grę komputerową.
To w niesamowity sposób poszerza grono czytelników. Dzięki „bookmediom” po książki sięgnęło mnóstwo młodych osób, które szkoła raczej zniechęcała do czytania. Dzisiaj czytają „young adults”, ale może w przyszłości sięgną po inne tytuły?

To twoje doświadczenie: od „młodzieżówek” po inne tytuły?
– Czytać książki uczyła mnie babcia jak miałem 6 lat. Nie było miesiąca, żebym nie przeczytał kilku tytułów. Kiedy byłem nastolatkiem, tzw. powieści młodzieżowe nie były popularne. Czytałem Christie, Asimova, Tolkiena, a moimi „młodzieżówkami” były książki Rodziewiczówny. Pokochałem „Świat Zofii” Jostaina Gaardera. Później jako „młody dorosły” odkryłem „Sto lat samotności”, ale dalej czytałem też „lekkie” pozycje.
Czasem chcesz się „odmóżyć”, czasem zmęczyć intelektualnie. Bookstagram podpowiada książki na każdą z tych okazji.

Dostaje ci się za ten brak „elitaryzmu”?
– Czasem. Denerwują mnie niektóre komentarze. Ktoś, widząc moje regały, pisze o „literaturze dla kucharek”, ktoś inny – widząc książkę z barwionymi grzbiętami – pisze, że jest przerażony tym, co czytam. Robienie z literatury czegoś przeznaczonego tylko dla hermetycznego środowiska na pewno nie poprawi statystyk czytelnictwa, a raczej sprawi, że młodzi ludzie czytający „young adult” zniechęcą się do samego czytania.

W gazecie wciąż szybciej napiszemy o popularnym serialu niż masowo popularnej książce.
– Czasem ludzie piszą: „tyle czytasz, więc na pewno musisz być mądry” czy coś w tym

stylu. Czyli nie traktują książki tylko jako źródła rozrywki, ale coś, co służy zdobywaniu wiedzy. Wbrew pozorom takie myślenie o literaturze wcale mnie nie cieszy.

Czytanie jest w nim powiązane z pakietem inteligentkich zobowiązań.
– A co z czytaniem dla przyjemności, wyrwania się z codzienności? Nie wiem, czy dzięki książkom jestem dużo mądrzejszy, ale na pewno mogę dzięki nim odpocząć. Obecnie, gdy wielu z nas ma trudności z odpoczywaniem, uspokojeniem się, to przecież bardzo dużo.

„Bookstagram” ma władzę nad rynkiem książki?
– Bookmedia potrafią wypromować twórcę, ale przede wszystkim potrafią go pogrążyć. Użytkownicy działają emocjonalnie, nie zawsze jest miejsce na niuanse.
Oberwałem kiedyś za pisanie o nowej książce Andrzeja Ziemiańskiego, o którym w przeszłości rzeczywiście krążyły różne opinie, ale ja poznałem jego książki niedawno i mnie przekonał. A o tym, że miał kiedyś „nietrafione” kampanie dowiedziałem się później. Niestety został błędnie zaszkladkowany i tak opinia o nim trwa wśród części czytelników.
Również jego wydawnictwo, czyli Fabryka Słów, przeszło przemianę, publikują teraz queerowe książki z wątkiem WLW...

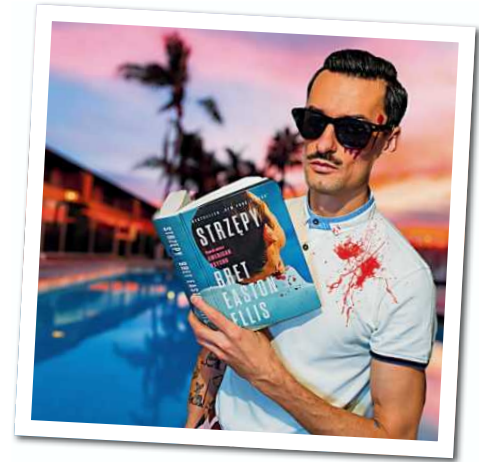
...o czym?
– „Woman Love Woman”, czyli „lesbijskie”.

Z jednej strony „bookstagram” bywa „woke”, łatwo feruje wyroki, a z drugiej strony jego gwiazdami są kobiety, które piszą seksistowskie, pełne przemocy wobec kobiet książki.
– O ile wiemy już, że mężczyźni nie mogą tak pisać, to kobietom na to pozwalamy. Sam nie wybieram takich książek do lektury, nie czytałem ani „Rodziny Monet”, ani książek Herytiery Pizgacz. Nie ma jednak co ukrywać: to są książki klikalne.

Instagram to zatem nie tylko radosne opowieści o fajnych książkach.
– Algorytmny lubią kontrowersje. Niedawno pokazałem na profilu monidło, na którym pozuję ze swoim partnerem. Jesteśmy od 15 lat w związku, a wciąż nie możemy go nawet zarejestrować. Początkowo ta rolka trafiła do mojej społeczności i było miło – lajki, wsparcie. Na drugi dzień algorytm skierował go na inne wody i nagle ruszył hejt. Pisano, że powinno się nas trzymać w obozach koncentracyjnych i gazować.
Nie byłem przyzwyczajony do takiej sytuacji i strasznie mnie to zestresowało. Przez parę dni nie chciałem nawet wchodzić na Instagram.
Jesteśmy zamknięci w bańkach i wydaje nam się, że nie ma problemów. Dlatego w tym roku częściej będę pisał jednak o sprawach społecznych, wychodził poza to, co na „bookstagramie” się pisze. Rozrywka jest ważna, ale jakieś przesłanie społeczne też. Niestety widzę, że algorytm „nie lubi” takich postów. Użyj słowa „wojna” w opisie rolki czy nagraniu...

Dodam z własnego doświadczenia: „Białoruś”, „Ukraina”, „gazeta”. Ja już nie piszę „przeczytacie w gazecie”, ale „przeczytacie w moim miejscu pracy”.
– Ukrainy nie da się obejść eufemizmem. Wojny też. Niektórzy blogerzy nie chcą recenzować horrorów, thrillerów, czy kryminałów, bo często trzeba użyć słowa „zbrodnia”, a to słowo, które sprawia, że algorytm minimalizuje zasięgi.
To, co robi algorytm Instagrama czy TikToka to coś bardzo niebezpiecznego.

Opieranie całej swojej pracy o jedno medium społecznościowe też.
– Niestety wiele osób dzisiaj informacje czerpie tylko z jednego medium społecznościowego, nie korzystając zupełnie z tradycyjnych mediów czy portali. Dla mnie In-



• **Zdjęcia naszego rozmówcy z jego profilu „To ten Truskolaski” na Bookstagramie pokazują, jak można o książkach opowiadać niekonwencjonalnie**

stagram zawsze będzie dodatkiem do życia, więc nie mam obaw przed tym, co będzie ze mną, jak np. zniknie.

Czy „bookstagram” wpływa na samą literaturę?
– Na pewno wpłynął na rozwój literatury młodzieżowej, a raczej „young adult”. Ale jest coś jeszcze. Czasem booktokerzy, booktuberzy stają się popularniejsi niż autorzy, o których mówią.

To nie jest nowe. Monikę Olejnik czy Kubę Wojewódzkiego zna więcej osób niż wielu z ich rozmówców.
– Ale za tym idzie jeszcze to, że wydawnictwa zaczynają szukać wśród osób z bookmediów autorek i autorów.
Dzisiaj pisarze i pisarki – jeśli chcą być czytani przez bookstagram – muszą sami dbać o swoją markę, tworzyć wokół siebie społeczność, angażować się w interakcje z czytelnikami. Wydawcy też myślą o tym, czy dana książka „się kliknie” już na etapie

PLEBISCYT: Wybierz z nami Książkę 25-lecia

• To już ostatnia szansa, żeby zagłosować na jedną z 25 wyjątkowych książek wydanych w ciągu ostatnich 25 lat. Głosowanie na Wyborcza.pl trwa jeszcze do poniedziałku 3 lutego. Zwycięzcę ogłosimy 4 lutego najpierw w serwisie.
• Poprosiliśmy 40 dziennikarek i dziennikarzy różnych mediów (oprócz „Wyborczej”, „Wysokich Obcasów”, „Książek. Magazynu do Czytania” m.in. Gazety.pl, Onetu, TVN, TVP, Polskiego Radia, „Polityki”, „Krytyki Politycznej”, „Pisma”, ale także ekspertki tworzące Big Book Festival) o wytypowanie 10 tytułów głośnych, ważnych, nagradzanych, świetnie ocenianych książek opublikowanych na polskim rynku od 2000 r. Pozycje, na które oddano najwięcej głosów, utworzyły poniższą listę finałową.
• Teraz czas na Was. Zapraszamy na stronę plebscytu na Wyborcza.pl Wojciech Szot

KSIAŻKI-FINALISTKI

- **Jan Tomasz Gross** „Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka”, 2000, wyd. Pogranicze
- **Maria Janion** „Do Europy - tak, ale razem z naszymi umarłymi”, 2000, wyd. Sic!
- **Dorota Masłowska** „Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną”, 2002, wyd. Lampa i Iskra Boża

- **Anna Bikont** „My z Jedwabnego”, 2004, wyd. Prószyński i S-ka
- **Michał Witkowski** „Lubiewo”, 2005, wyd. Ha!art
- **Mariusz Szczygieł** „Gottland”, 2006, wyd. Czarne
- **Wiesław Myśliwski** „Traktat o łuskaniu fasoli”, 2006, wyd. Znak
- **Jacek Dehnel, „Lala”,** 2006, wyd. W.A.B.
- **Olga Tokarczuk** „Bieguni” 2007, wyd. Wydawnictwo Literackie
- **Jacek Dukaj** „Łód”, 2007, wyd. Wydawnictwo Literackie
- **Bożena Keff** „Utwór o Matce i Ojczyźnie”, 2008, wyd. Ha!art
- **Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki** „Piosenka o zależnościach i uzależnieniach” 2008, wyd. Biuro Literackie
- **Artur Domosławski** „Kapuściński non-fiction” 2010, wyd. Świat Książki
- **Aleksandra i Daniel Mizielnińscy** „Mapy” 2012, wyd. Dwie Siostry
- **Andrzej Leder** „Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej” 2014, wyd. Krytyka Polityczna

- **Jakub Żulczyk** „Ślepnąc od światła”, 2014, wyd. Świat Książki
- **Olga Tokarczuk** „Księgi Jakubowe albo Wielka podróż przez siedem granic...”, 2014, wyd. Wydawnictwo Literackie
- **Cezary Łazarewicz** „Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyska”, 2016, wyd. Czarne
- **Szczepan Twardoch** „Król”, 2016, wyd. Wydawnictwo Literackie
- **Magdalena Grzebałkowska** „Beksiński. Portret podwójny”, 2016, wyd. Znak
- **Marcin Wicha** „Rzeczy, których nie wyrzuciłem”, 2017, wyd. Karakter
- **Zyta Rudzka** „Krótka wymiana ognia”, 2018, wyd. W.A.B.
- **Radek Rak** „Baśń o wężowym sercu albo Wtóre słowo o Jakóbie Szeli” 2019, wyd. Powergraph
- **Adam Leszczyński** „Ludowa historia Polski. Historia wyzysku i oporu” 2020, wyd. W.A.B.
- **Joanna Kuciel-Frydryszak** „Chłopki. Opowieść o naszych babkach” 2023, wyd. Marginesy

jej zamawiania, zlecania u autora. Do tego dochodzi niesamowita produkcja książek – wychodzą setki, bo wydawcy liczą, że któraś z nich stanie się hitem.
Media społecznościowe wymuszają na wydawnictwach nowości, bo tu książka jako nowość żyje kilka-kilkanaście dni. Są książki, które przepadają, bo algorytm „nie polubił” ich okładki.

Czy Olga Tokarczuk triggeruje „bookstagram”?
– Nie, to nie jest najbardziej klikalna postać. Najlepiej klikają się Marczak, Pizgacz i inne autorki „YA”. Ale są też autorki jak pisząca kryminały Katarzyna Puzyńska, która świetnie sobie radzi w mediach społecznościowych. Innym przykładem jest Marcin Margielewski, który pisze fabularyzowane wywiady ze świata arabskiego. Ma rzesze oddanych fanek.

Twoje książki 25-lecia to...
– Maja Lidia Kossakowska i jej – dwutomowy – „Zakon Krańca Świata”. Dlatego, że pozwoliła mi w pewnym momencie na nowo odkryć fantastykę. Uważam, że jedną z najważniejszych rzeczy, które wydarzyły się w literaturze ostatnich 25 lat, jest właśnie większa obecność kobiet, szczególnie w fantastyce. Jeszcze ćwierć wieku temu fantastyka była zdominowana przez mężczyzn, a teraz można czytać powieści wielu świetnych autorek! Bardzo mnie to cieszy. I co ważne one nie piszą „dla kobiet”, a dla wszystkich. Taka właśnie była Maja Lidia Kossakowska
Gdybym jednak miał wybrać „Książkę 25-lecia” z tych, które znalazły się w finale plebscytu „Wyborczej”, byłyby to bezsprzecznie „Chłopki” Joanny Kuciel-Frydryszak. Choćby dlatego, że to opowieść też o jednej z moich babć Dzięki „Chłopkom” na pewno lepiej ją rozumiem i widzę, w jakiej Polsce się urodziła. I w jakiej żyje 90 lat później. ●



• Przyjęcie magazynu „Vanity Fair” po rozdaniu Oscarów, Beverly Hills 27 marca 2022. Diddy z wokalistką Billy Eilish-laureatką Oscara za najlepszą piosenkę do filmu o Bondzie „Nie czas umierać” i raperką Meghan Thee Stallion

FOT. KEVIN MAZUR/VF22/GETTY IMAGES

Kariera i upadek *dandysa*

Ameryka od kilku miesięcy żyje... tak, przede wszystkim powrotem Donalda Trumpa do Białego Domu. Niewiele mniejsze emocje budzi jednak upadek Diddy’ego, znanego rapera i biznesmena oskarżonego m.in. o stręczycielstwo i zorganizowanie sieci przestępczej. W Polsce może nie wszyscy go kojarzą, ale przecież wszyscy znają, a już na pewno ci, którzy świadomie przeżyli końcówkę lat 90. Bo Diddy – wtedy: Puff Daddy – to ten pan, który tak ładnie żegnał się z tragicznie zmarłym przyjacielem w piosence „I’ll Be Missing You”. To pierwszy rapowy utwór, który opanował mainstreamowe radia również nad Wisłą. Nie sposób było od niego uciec, więc pewnie zwrócili państwo uwagę na jeden z wersów piosenki: „Życie nie zawsze jest tym, czym się wydaje”.

Od ministranta...

Sean Combs, bo tak naprawdę nazywa się urodzony w 1969 r. w Nowym Jorku raper, nie miał łatwego dzieciństwa. Miał trzy lata, kiedy jego ojciec zginął w porachunkach gangsterów z Harlemu. Ciężar wychowania chłopca spadł na mamę i babcię, które ra-

dziły sobie, jak mogły, ale nie zawsze mogły. Kiedyś mały Sean poprosił mamę o nowe buty, ale wystarczył wyraz jej twarzy, by poznać, że nie stać jej na taką ekstrawagancję.

Wtedy wziął sprawy w swoje ręce. Drogę na listę miliarderów „Forbesa”, na której znalazł się w 2022 roku, rozpoczął od czyszczenia toalet na stacji benzynowej. Ale szybko okazało się, że ma głowę do interesów.

Do kariery w branży wystartował w 1990 roku, zgłaszając się na praktyki do wytwórni Uptown. Miał 20 lat i zerowe doświadczenie. Jednak już trzy lata później kierował własną firmą Bad Boy Records, doskonale wyczuwając nadchodzącą koniunkturę na mniej uliczną, a bardziej liryczną wersję rapu, bliską soulowi, nawet muzyce pop.

Cztery lata później wartość Bad Boy wyceniano na 100 mln dol.

Mama, jak twierdzi, do dziś jest jego największą inspiracją. Siłę zaś daje mu wiara w Boga: Sean w czasach szkoły podstawowej służył do mszy. Grzeczny chłopak. Deklaruje, że rodzina jest dla niego wszystkim, a ma niemalą – w sumie siódmką dzieci z kilkoma partnerkami.

Jako że niedaleko pada jabłko od jabłoni, jego syn Christian też rapuje, pod pseudonimem King Combs. W 2022 roku Sean i Christian, jako pierwszy w historii duet ojciec

**Artysta, biznesmen, filantrop i wzór do naśladowania? Czy raczej potwór, kłamca i pospolity bandzior? Przez kolejne miesiące, a może i lata prawdy o Diddym docho-
dzić będą nie tylko sądy.**

Jarek Szubrycht

i syn, mieli symultanicznie numery jeden na amerykańskich listach przebojów.

...do influencera

Zresztą dla Diddy’ego numery jeden to chleb powszedni. Ma na koncie single z pierwszych miejsc notowań, platynowe płyty i trzy nagrody Grammy, a jako producent rozpędził karierę m.in. Mary J. Blige. Pięć albumów solowych (plus jeden w ramach efemerycznej grupy Dirty Money) w ciągu 30 lat to może nie jest imponujący dorobek, ale mimo to Diddy nigdy nie zniknął na dłużej z pierwszych stron gazet.

Jest człowiekiem sukcesu, niezmiennie jednym z największych nazwisk w branży. Ale czy to czyni z niego wybitnego artystę? Niczego nie wymyślił, nie zrewolucjonizował, nie zostawił śladu, który przetrwałby dekady. Nie ma charakterystycznego stylu, nie szukał nowych ścieżek, jak choćby Kanye West. Hit, który katapultował go na szczyt, czyli wspomniany „I’ll Be Missing You”, to przecież piosenka „Every Breath You Take” The Police, w której dla odmiany ktoś gada.

Nikt Stinga o zgodę nie pytał, więc brytyjski rockman pozwał Diddy’ego, kiedy usłyszał, co jest grane, i zgodnie z wyrokiem sądu do niego trafiają tantiemy. Pły-

na tak szerokim strumieniem, że udobru-
chany Sting wystąpił w duecie z Diddym na
rozdaniu nagród MTV Video Music Awards
w 1997 roku.

Swoją drogą tekst, którym Combs żegna
tu Notoriousa B.I.G., swojego przyjaciela
i podopiecznego z wytwórni Bad Body, też
nie jest jego autorstwa – słowa napisał ra-
per Sauce Money. Ale Diddy’emu i tak opła-
cił się ten numer. Dał mu sławę, którą arty-
sta potrafił wycisnąć do ostatniej kropli. Był
jednym z pierwszych, którzy zauważyli, że
rap to nie tylko muzyka, ale styl życia, któ-
ry można ładnie opakować i sprzedać, rów-
nież białym dzieciakom z dobrych domów.
Jak ktoś słusznie zauważył, Sean Combs był
influencerem, zanim w ogóle pojawiło się
to słowo.

Dandys pachnący Obamą

Jak większość amerykańskich raperów z je-
go pokolenia, Sean Combs zaczynał od wi-
zerunku karkołomnie łączącego styl ulicz-
nego gangstera i sportowca amatora. W ele-
gancki garnitur po raz pierwszy przebrał
go polski fotograf Piotr Sikora. Najpierw
Puff Daddy został dandysem, chwilę póź-
niej już innych dandysów ubierał. Nie tylko
ich zresztą. Jego marka Sean John to „po-
myśl na nietuzinkowy look”, „moda idąca
w parze z komfortem”, która nie zapomi-
na o „miłośnikach casualowego, podszytego
elegancją stylu”.

Wypisałem to ze strony jednego z pol-
skich sklepów handlujących ubraniami Se-
an Johna i cokolwiek to znaczy – działa na
ludzi. Combs nie tylko zarabia w branży
modowej miliony dolarów. Jest też pierw-
szym Afroamerykaninem, który otrzy-
mał prestiżową nagrodę Projektanta Ro-
ku przyznawaną przez stowarzyszenie Co-
uncil of Fashion Designers of America, po-
konując w swojej kategorii m.in. Marca Ja-
cobsa i Ralpha Laurena. Sean John to rów-
nież perfumy, na przykład „I Am King” dla
mężczyzn, zapach inspirowany Barackiem
Obamą, Muhammadem Alim i Martinem
Lutherem Kingiem.

„Żeby móc przestać prosić”

Jak na dobrego biznesmena przystało,
Diddy może się pochwalić zróżnicowanym
portfelem inwestycyjnym. Jest właścicie-
lem restauracji, produkował wódkę i na-
poje dla sportowców, inwestował w telewi-
zję i produkcję filmową. W telewizji rów-
nież występował, i to z dużym powodze-
niem. Był gospodarzem reality show „Chcę
pracować dla Diddy’ego” i grywał epizody
w serialach, m.in. „CSI: Miami” czy „U nas
w Filadelfii”.



Marzy, by Afroamerykanie odnosili suk-
cesy jako przedsiębiorcy, „żeby mogli prze-
stać prosić ludzi o różne rzeczy”. Wierzy,
że najlepszą drogą do tego jest edukacja,
więc kiedy tylko zaczął zarabiać poważne
pieniądze, zaczął się nimi dzielić. Od poło-
wy lat 90. wspiera młodzież z trudnych do-
mów, fundując im stypendia i letnie obo-
zy, w Harlemie zbudował szkołę. W 2016 ro-
ku przekazał milion dolarów Uniwersyteto-
wi Howarda, na którym sam kiedyś studio-
wał. W 2024 roku, kiedy okazało się, że Did-
dy może nie być najlepszym wzorcem dla
młodzieży, uczelnia zwróciła mu pieniądze,
za to odebrała przyznany wcześniej dokto-
rat honoris causa.

Oskarżony i osądzony

W 2002 roku Combs zdradził w talk-show
Conana O’Briena przepis na imprezę do-
skonale: piękne kobiety (i oczywiście piękn-
i mężczyźni, z myślą o tych paniach), al-
kohol, drzwi zamknięte na klucz i brak kli-
matyzacji. „Ciepło potęguje działanie al-
koholu, wszyscy czują się trochę bardziej
komfortowo, są wyluzowani” – nawet jeśli
żartował, ten dowcip źle się zestarzał.
W połowie września 2024 r. Sean
Combs został aresztowany i oskarżo-
ny m.in. o porwania, podpalenia, prze-
kupstwa, przestępstwa związane z bro-
nią i narkotykami, ale przede wszystkim
o przestępstwa na tle seksualnym. Po-
krzywdzonych ma być ponad sto osób,
w tym nieletni obojga płci.

Nawet jeśli nie wszystkie zarzuty się po-
twierdzą, Diddy’emu grozi dożywocie. Na
razie czeka w celi na proces, który roz-

• **Z kobietą swojego życia - matką Janice (84 l.) i jednym z trzech synów, aktorem Justinem Diorem (32 l.) w Microsoft Theatre w L.A., 26 czerwca 2022. Diddy ma w sumie siedmioro dzieci z różnymi partnerkami**

• **Jako „król melanżu”. Na imprezie pro-
mocyjnej nowych marek alkoholi w Club Love z raperem French Montana (z lewej) i kolumbijskim wokalistą Malumą (na dole). Nowy Jork, 1 maja 2023.**



**Diddy był jednym
z pierwszych, którzy
zauważyli, że rap to nie tylko
muzyka, ale styl życia,
który można sprzedać,
również białym dzieciakom
z dobrych domów.
Sean Combs był influencerem,
zanim w ogóle
pojawiło się to słowo**

pocznie się w maju. Ale nie czeka biernie,
już zaczął składać opiewające na dziesiątki
milionów dolarów pozwy o zniesławienie
wobec osób i mediów, które – jak utrzymu-
je – kłamią na jego temat.

Prawo pięści

Nie wszystkie te rewelacje były nowością.
Nie od dziś wiadomo, że w sytuacjach kon-
fliktowych Diddy uciekał się do przemocy.
Nie chodzi nawet o owianą legendą i dawno
minioną wojnę raperów ze wschodu Ame-
ryki (to jego drużyna) z tymi z Zachodnie-
go Wybrzeża, ale przypadki świeższe i nie-
przynoszące mu bitewnej chwały. Pięści
szły w ruch niezależnie od tego, czy chodzi-
ło o spór z ważniakiem z wytwórni płyto-
wej, czy z trenerem syna.

Do tej pory Combsowi takie wybryki
uchodziły płazem, zawsze udawało mu się
wykupić od poważnych konsekwencji. Te-
raz pewnie większość tych incydentów zo-
stanie przypomniana, bo po wysypie publi-
kacji medialnych czeka nas lawina więk-
szych form o Diddym, książek i filmów do-
kumentalnych.

Pierwszy z nich – „The Downfall of Did-
dy” stacji TMZ – miał premierę już jesie-
nią. Kolejne to „Diddy: The Making of a Bad
Boy” w serwisie Peacock oraz serial „Mrocz-
ne życie P. Diddy’ego” (4 odc.), który w tym
tygodniu pojawił się na platformie Max.
Z kolei Netflix zapowiada „Diddy Do It”,
współprodukowany przez 50 Centa, który
z Combsem od dawna ma na pierśku.

Diddy, który już był sławny, będzie sław-
ny jeszcze bardziej. Choć tym razem zdecy-
dowanie złą sławą. ●

REKLAMA

Kraj/34357873

AUTOR BESTSELLEROWEJ SERII **SZKOŁA SZPIEGÓW** STUART GIBBS

SERIA NIE Z TEJ ZIEMI!

Śledztwo w kosmosie

Afera w kosmosie

Zguba w kosmosie

NOWOŚĆ

SERIA BAZA KSIĘŻYCOWA ALFA

PRZECIWNIA ALEKSANDRA SZKUDŁAPSKA

Wydawnictwo Agora dla dzieci

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

publio.pl



CZUŁOŚĆWOLNOŚĆRÓWNOWAGA

Położne: od porodu do menopauzy

W Polsce rodzi się coraz mniej dzieci. Jednocześnie rośnie grupa kobiet w okresie menopauzy, które potrzebują wsparcia. I tu ważną rolę odegrają położne.

Zuzanna Kuffel

Położne w Polsce nadal kojarzone są głównie z narodzinami. Jednak studia położnicze dają dużo szerszą wiedzę. Położne w swoim programie edukacji poświęcają tematowi menopauzy więcej czasu, niż to się dzieje w przypadku innych zawodów medycznych. Mało kto korzysta z ich przygotowania w tym zakresie.

– W naszym badaniu „Menopauza bez tabu” jedynie 3 proc. kobiet wskazało, że udałoby się do położnej w sytuacji, kiedy potrzebowałoby wsparcia w transformacji menopauzalnej – podkreśla Anna Samsel z Kulczyk Foundation. – Dlatego przede wszystkim trzeba podnieść świadomość tego, że położna to nie tylko osoba, która towarzyszy kobiecie w okresie ciąży, a potem przy porodzie i w pociu, ale naprawdę jest przygotowana, żeby zajmować się nią przez całe jej życie, na wszystkich jej etapach.

Zamiast porodówki

Dietność w Polsce spada, więc pracy na porodówkach będzie najprawdopodobniej coraz mniej. Trzeba więc znaleźć inne obszary, w których można wykorzystać potencjał i przygotowanie położnych. Na ten aspekt zwraca uwagę prof. Grażyna Iwanowicz-Palus, kierowniczka Zakładu Opieki Specjalistycznej w Położnictwie na Wydziale Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Medycznego w Lublinie oraz konsultantka krajowa w dziedzinie pielęgniarstwa ginekologiczno-położniczego. – Mamy niż demograficzny, rodzi się coraz mniej dzieci. Jednocześnie rośnie grupa kobiet w okresie transformacji menopauzalnej, które potrzebują wsparcia wykwalifikowanych specjalistek, żeby zachować dobrą jakość życia w jego późniejszych dekadach – mówi prof. Iwanowicz-Palus.

Kojarzenie położnych wyłącznie ze szpitalną porodówką nie poprawia zaufania do przedstawicieli tego zawodu, zwłaszcza że w Polsce wiele kobiet nie ma dobrych

wspomnień z tamtego miejsca. Prof. Grażyna Iwanowicz-Palus zapowiada, że ta kwestia wkrótce może się zmienić, ponieważ nowe standardy organizacyjne opieki okołoporodowej, przy których osobiście długo pracowała, są już w fazie konsultacji.

Z kolei Anna Samsel, świadoma, że kobiety, często dzieląc się swoimi przykrymi wspomnieniami z porodu, mówią o tym, że czuły się nie tylko fizycznie, ale także psychicznie źle zaopiekowane; podkreśla, że w ramach pilotażowego kursu dokształcającego dla położnych, który Kulczyk Foundation organizuje wraz z Naczelną Izbą Pielęgniarek i Położnych pod patronatem honorowym Ministerstwa Zdrowia i nadzorem merytorycznym konsultanta krajowego w dziedzinie pielęgniarstwa ginekologiczno-położniczego, nacisk kładziony jest także na aspekt psychologiczny okresu okołomenopauzalnego i podejście do pacjentki.

Konfrontacja z tematem menopauzy jest dla niej kobiety trudna ze względu na stereotypy i negatywny społeczny odbiór tego zjawiska. Poza tym same zmiany hormonalne mogą wpływać na samopoczucie psychiczne, powodując wahania nastroju, drażliwość, a nawet depresję. Dlatego ten temat wymaga odpowiedniej wrażliwości i wiedzy.

Porada położnej

Kurs skierowany jest do położnych rodzinnych. To specjalistki, które pracują w placówkach podstawowej opieki zdrowotnej (POZ). Każda kobieta wybrała lekarza rodzinnego i w tym samym czasie musiała w deklaracji wskazać również położną. Wiele z nich jednak o tym nie pamięta. A warto, bo położna rodzinna – położ-

na podstawowej opieki zdrowotnej – może raz na trzy lata bezpłatnie i bez skierowania zrobić cytologię w ramach badań profilaktycznych (lub co roku, jeśli występują czynniki ryzyka raka szyjki macicy).

Położne w POZ opiekują się też kobietami po operacjach ginekologicznych, m.in. wspomagając je w zmianie opatrunków. W teorii każda kobieta może się umówić na poradę położnej, podczas której może uzyskać wsparcie informacyjne, warto o tym wiedzieć i skorzystać z tej możliwości. W praktyce takie konsultacje to martwy zapis – mało kto o nich wie, rzadko się więc odbywają, głównie przez ich bardzo niską wycenę w Narodowym Funduszu Zdrowia.

– Położna dostaje tzw. stawkę kapi-tacyjną, czyli 2,91 zł miesięcznie za każdą pacjentkę, która jest do niej przypisana w POZ. Dodatkowo płatne są świadczenia gwarantowane okresu okołoporodowego, takie jak edukacja przedporodowa czy wizyta patronażowa. Liczymy na to, że jeśli porada okołomenopauzalna też będzie świadczeniem gwarantowanym, nie będzie martwym zapisem i więcej kobiet z niej skorzysta – mówi prof. Iwanowicz-Palus.

To nie tak, że położna po kursie dokształcającym ma przejąć obowiązki lekarza. Jednak jej niezwykle ważną rolą będzie wyedukowanie kobiety, wykonanie lub zlecenie podstawowych badań oraz skierowanie pacjentki w odpowiednie miejsce.

– Mamy nadzieję, że takie świadczenie gwarantowane jak porada okołomenopauzalna u położnej rodzinnej odciążą system ochrony zdrowia i poprawi jakość życia kobiety. Położna zaplanuje i usystematyzuje ścieżkę kobiety w systemie ochro-



ny zdrowia, spojrz holistycznie i w razie potrzeby skieruje ją do lekarza konkretnej specjalizacji. W konsekwencji kobieta nie będzie już szukała wsparcia podczas wielu przypadkowych wizyt, co ograniczy ich liczbę i odciążą system opieki zdrowotnej. Położna ma odpowiednie kompetencje, by się kobietą zaopiekować na każdym etapie jej życia – mówi Anna Samsel.

Ambasadorki wiedzy

Położne na studiach uczą się o menopauzie. Jednak patrząc na średnią wieku w tym zawodzie, wiele z nich dyplom zdobyło już wiele lat temu, przez co ich wiedza wymaga aktualizacji. Jak mówi prof. Iwanowicz-Palus, do tej pory w ofercie kształcenia podyplomowego dla położnych nie było kursu dotyczącego poradnictwa w okresie transformacji menopauzalnej. Ten, który został przygotowany przez zespół ekspertów we współpracy z Kulczyk Foundation, jest kompleksowy i porusza wiele zagadnień podzielonych na różne moduły.

Aż przez 60 godzin podczas czterech weekendowych zjazdów położne będą doszkalać się w temacie menopauzy. W kursie weźmie udział kilkadziesiąt położnych. Polska jest „podzielona” na 45 okręgów, w których działają Okręgowe Izby Pielęgniarek i Położnych. Każda z nich została poproszona o skierowanie na kurs doszkalający położne ze swojego obszaru, tak żeby aktualna wiedza o transformacji menopauzalnej dotarła do różnych regionów kraju. To ważne zwłaszcza ze względu na drugą część tego programu.

– Kiedy już położne zrealizują zajęcia teoretyczne i warsztatowe, zorganizują trzy spotkania w swoim regionie – indywidualną poradę z kobietą w okresie okołomenopauzalnym, spotkanie grupowe i spotkanie dla innych położnych. Zobaczymy efekt domina, gdy ta wiedza dotrze do kolejnych osób – zapowiada Samsel.

Położne, które ukończą kurs dokształcający, staną się zatem ambasadorkami wiedzy o transformacji menopauzalnej. Będą się tą wiedzą dzielić z pacjentkami i koleżankami ze swojej grupy zawodowej.

PILOTAŻ DLA POŁOŻNYCH

- W styczniu rozpoczął się pilotażowy projekt „Poradnictwo w okresie transformacji menopauzalnej”. Realizuje go Kulczyk Foundation we współpracy z Naczelną Radą Pielęgniarek i Położnych oraz Krajową Konsultant w dziedzinie pielęgniarstwa ginekologiczno-położniczego. Inicjatywie Patronuje Ministra Zdrowia – Izabela Leszczyna.

Dzięki programowi kobiety w okresie transformacji menopauzalnej zyskają wsparcie w swojej przychodni. Każda Polka

w ramach POZ, oprócz lekarza rodzinnego, wybierze też położną. Nie każda natomiast wie, że położne mogą towarzyszyć kobiecie w dbaniu o zdrowie na każdym etapie życia. Również w czasie okołomenopauzalnym.

W ramach programu położne będą odbywać kurs dokształcający. W tej chwili w kursie bierze udział kilkadziesiąt położnych z całej Polski, które po zdaniu testów wiedzy, będą mogły pełnić rolę edukatorek menopauzalnych, niosąc pomoc kobietom w swoim

regionie i ucząc inne specjalistki. Po ukończeniu kursu każda położna, wracając do swojego miejsca pracy, będzie dzielić się informacjami zdobytymi i zaktualizowanymi na szkoleniu. Kursantki będą prowadzić spotkania edukacyjne w swoim okręgu – osobno dla położnych i samych pacjentek. Organizatorom zależy nie tylko na popularyzacji wiedzy z zakresu edukacji menopauzalnej, lecz także na rozpowszechnianiu informacji o szerokich kompetencjach położnych. Szczegóły programu: menopauzabeztabu.org.pl



Kiedy kobiety wchodzą w okres okołomenopauzalny, nie wiedzą, co się z nimi dzieje i pielgrzymują po różnych gabinetach. Lekarze nie mają czasu, by dojść do wniosku, że to menopauza. Położna będzie miała na to przestrzeń

Kurs będzie poddany dwustopniowej ewaluacji. Położne powiedzą, co ze zjazdów okazało się najbardziej przydatne, a czego było za mało, czy na jakieś pytania podczas trzech spotkań, które przeprowadzili, brakowało im odpowiedzi. Po wszystkim do ministerstwa ma trafić rekomendacja dotycząca, po pierwsze, porady położnej jako świadczenia gwarantowanego dla kobiet w okresie okołomenopauzalnym, a po drugie – postulująca, żeby kurs o tej tematyce na stałe zagościł w ofercie kształcenia podyplomowego położnych.

Całościowe wsparcie

– Kurs składa się z pięciu modułów. Pierwszy obejmuje kulturowo-społeczne aspekty okresu okołomenopauzalnego. Chcemy, żeby położne zmieniły swoje nastawienie do menopauzy, dlatego mówimy o transformacji, a nie klimakterium czy przekwitaniu – mówi prof. Grażyna Iwanowicz-Palus.

Anna Samsel dodaje, że położne same muszą się zmierzyć z obrazem menopauzy, który społeczeństwo utrwaliło w ich głowie, ze swoim odbiorem tego zjawiska i zakodowanymi mitami, takimi jak to, że hormonalna terapia menopauzalna jest rakotwórcza. Aktualna wiedza i zmiana myślenia będą przydatne nie tylko do pracy z pacjentkami, ale też dla nich samych, ponieważ wiele z nich teraz przechodzi albo zaraz wejdzie w transformację menopauzalną.

Drugi moduł to uwarunkowania medyczne przemian menopauzalnych. – O tym w dużej mierze położne uczyły się, zanim dostały dyplomy. Świat medycyny jednak nie stoi w miejscu, tylko szybko się rozwija. Zmienia się podejście do diagnostyki i terapii, dlatego pomożemy położnym zaktualizować wiedzę – zapowiada prof. Iwanowicz-Palus.

Trzeci moduł obejmuje wsparcie z zakresu zdrowia uroginekologicznego, bardzo ważne, ponieważ to właśnie w okresie okołomenopauzalnym wiele kobiet doświadcza nietrzymania moczu, obniżenia narządu rodnego i innych problemów z osłabionymi mięśniami dna miednicy.

Położna będzie mogła je zbadać, wskazać możliwe rozwiązania. Ale też porozmawia z nimi i postara się znormalizować temat i zdjąć z kobiet poczucie wstydu wiążące się z nietrzymaniem moczu. Wsparcie informacyjne i emocjonalne będzie ważną częścią jej poradnictwa.

Czwarty moduł dotyczy seksualności w okresie okołomenopauzalnym, bo seks wcale nie musi kończyć się po pięćdziesiątce. Kurs ma przygotować położne do rozmów z kobietami o problemach w tym obszarze i udzielania im odpowiedniego wsparcia. – Ten temat był dotychczas obecny w kształceniu położnych w skromnym zakresie. Dopiero od przyszłego roku, kiedy wejdą nowe standardy kształcenia położnych, których jestem współautorką, tematy seksualności i zdrowia uroginekologicznego zyskają jeszcze więcej uwagi – mówi prof. Iwanowicz-Palus.

Piąty moduł to wsparcie emocjonalne i psychologiczne kobiet w okresie transformacji okołomenopauzalnej. Co ważne, ten moduł uwzględni specyfikę zmian bio- i psychospołecznych kobiet w okresie menopauzy z uwzględnieniem niepełnosprawności.

Różne techniki

– Chcemy uwrażliwić położne na to, jak trudny dla kobiet może być ten okres, z jak dużym lękiem i stereotypami się wiąże. Uczestniczki kursu nauczą się je rozbrajać i podchodzić z większym zrozumieniem do potrzeb kobiet w tym okresie życia. To czas wielu zmian. Przyjazna położna może się stać przewodniczką, która pomoże nam się uporać z zaakceptowaniem zmian – mówi Anna Samsel.

Prof. Iwanowicz-Palus zaznacza, że w programie kształcenia położnych psychologia jest obecna, ale głównie w kontekście prokreacji i okresu okołoporodowego. Zapowiada, że w trakcie kursu położne poznają m.in. różne techniki relaksacyjne.

– Bardzo się cieszę, że udało mi się zaprosić do opracowania programu kursu położne, które mają dodatkowe kwalifi-

fikacje, czyli skończyły psychologię, podyplomowe studia z seksuologii albo fizjoterapię. O uwarunkowaniach medycznych opowie położna rodzinna z wieloletnim doświadczeniem, a o kulturowo-społecznych aspektach okresu okołomenopauzalnego edukatorka seksualna i psychoterapeutka. Mamy naprawdę dobrą kadrę. Ja będę nad wszystkim czuwać, ale też sama chętnie przyjdę na zajęcia, żeby dowiedzieć się czegoś nowego – mówi prof. Iwanowicz-Palus.

Położna, zwłaszcza taka, która będzie umiała wykonać podstawowe badanie uroginekologiczne i udzielić wsparcia też w zakresie seksualności, może zaoszczędzić pacjentkom w okresie transformacji menopauzalnej wędrowki po różnych specjalistach.

– Kiedy kobiety wchodzą w okres okołomenopauzalny, często nie wiedzą, co się z nimi dzieje, i pielgrzymują po różnych gabinetach. Mają zawroty głowy i myślą, że mają guza mózgu, kołatanie serca budzi lęk poważną chorobą kardiologiczną. System pozwala zwykle na 15-minutowe konsultacje, podczas których każdy lekarz koncentruje się na swojej dziedzinie, bo trudno w kilka minut spojrzeć na

pacjentkę całościowo. Brakuje przestrzeni, by posłuchać o różnych objawach, połączyć kropki i dojść do tego, że kobieta jest w okresie transformacji menopauzalnej, a za jej gorsze samopoczucie odpowiadają hormony. Położna, mamy nadzieję, będzie miała na to przestrzeń i będzie w przyszłości z większą śmiałością wykorzystywać swoje kompetencje z innych obszarów niż ciąża i połóg – mówi Anna Samsel. ●

CZUŁOŚĆ. WOLNOŚĆ. RÓWNOWAGA

• Menstruacja, menopauza, równowaga w pracy, luka płacowa, rynek dla kobiet 50+, kompetencje przyszłości, siostrzeństwo – z wielką uwagą przyglądamy się naszym relacjom w nowej rzeczywistości. Z czułością i wrażliwością rozmawiamy o kobiecości, ale też męskości i niebinarności. Tworzymy nowy świat i pytamy o nasze miejsce w nim, zachowując balans. „Czułość. Wolność. Równowaga” to akcja społeczna „Wysokich Obcasów” i „Gazety Wyborczej”.

OGŁOSZENIE

Kraj/34349900

Czułość. Wolność. RÓWNOWAGA

ORGANIZATORZY

SPONSOR

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

KULCZYK FOUNDATION

Bilans niekorzystny dla Kościoła

STARSI TAK.
ALE BRACIA?

Lekceważąc i wykluczając Żydów, chrześcijaństwo gubi swoje ważne treści

ks. Alfred Marek Wierzbicki*

Po Soborze Watykańskim II zmieniło się nauczanie Kościoła katolickiego na temat Żydów, ale to wcale nie oznacza, że katolicy - nie tylko w Polsce - myślą inaczej, niż robili to nasi przodkowie przez 20 wieków. Imaginariusm społeczne jest bardzo oporne na zmiany, nie musi się liczyć z aktualną doktryną Kościoła. Czerpie treści z doktryn głoszonych przez stulecia, konserwuje kod kulturowy. Niestety, okazuje się również oporne na argumenty naukowe.

Pierwszy pożytek z książki kard. Grzegorza Rysia „Chrześcijaństwo wobec Żydów” to zrozumienie, że wrogość w relacjach chrześcijańsko-żydowskich narastała w ciągu kilkunastu stuleci wskutek nauczania i praktyk Kościoła. Ocenę wpływu strony żydowskiej na wzajemne uprzedzenia i wrogość katolicki historyk pozostawia historykom żydowskim, badającym własne źródła. Chodzi mu o ukazanie współczesnym chrześcijanom błędów z przeszłości, ale również o zrozumienie, że lekceważąc i wykluczając Żydów, co wielu chrześcijan czyni także dziś, chrześcijaństwo wyzbywa się swych istotnych treści.

Oczywiście synteza oparta na interpretacji równoległe źródeł chrześcijańskich i żydowskich dałaby pełniejszy obraz dramatycznych, wcale nie chwalebnych relacji pomiędzy wyznawcami obydwu religii. Kościół już ćwierć wieku temu w dokumencie o pamięci po Zagładzie (Shoah) oficjalnie uznał, że bilans w relacjach chrześcijańsko-żydowskich wypada niekorzystnie dla wyznawców chrześcijaństwa. Zdanie to prawie nie przedostało się do szerszej świadomości ani w Kościele, ani poza nim.

Opowieść o 15 wiekach trudnych relacji, autor bowiem zajmuje się tylko starożytnością i średniowieczem, dostarcza wiele wstrząsającego materiału do refleksji nad potrzebą rozliczenia się chrześcijan ze swą przeszłością.

Zamysł książki abp. Rysia jest z gruntu duszpasterski, co nie pomniejsza jej poznawczych walorów wynikających z rzetelnych badań. Duchowny od lat legitymuje się autentycznym wkładem w dialog katolicko-żydowski w Polsce, obecnie kieruje komitetem Episkopatu Polski zajmującym się tą sprawą. Dysponuje warsztatem historyka, dzięki



• **Uroczystość Wniebowzięcia Naświętszej Marii Panny. Arcybiskup Grzegorz Ryś celebrował mszę św. w Łódzkiej Archikatedrze. 15 sierpnia 2021.**

FOT. TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL



FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

***ks. Alfred Marek Wierzbicki**

• ur. w 1957 r., teolog i etyk, profesor nauk humanistycznych. Pracuje na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Tytuł tekstu – „Wyborcza”.



Abp Grzegorz Ryś, „Chrześcijaństwo wobec Żydów. Od Jezusa po inkwizycję. XV wieków trudnych relacji”, wydawnictwo WAM, Kraków 2023.

czemu wie, że historii nie należy pisać na bieżący użytek. Ale szczerze zaangażowanie w dialog nie może ignorować przeszłości. To dobrze, że wrażliwość człowieka dialogu spotyka się z krytyczną świadomością badacza historii.

Ma on skrytykowaną koncepcję historii Kościoła. Należy ją uprawiać tymi samymi narzędziami badawczo-interpretacyjnymi, co każdą inną dziedzinę ludzkiej aktywności w przeszłości czy to bliskiej, czy odległej. Badanie błędów doktrynalnych oraz działań w interesie instytucjonalnym własnej wspólnoty kościelnej powinno być wolne od apologetyki. Rozumieć i wyjaśniać nie znaczy usprawiedliwiać.

Duszpasterski sens uprawiania historii Kościoła wiąże się raczej z pragnieniem oczyszczenia i naprawienia chrześcijaństwa. Nie jest powiedziane, że ten ideał zostanie kiedyś osiągnięty, ale trzeba do niego dążyć w imię uczciwości myślenia, do czego zobowiązuja ideały wyznawców Chrystusa. Chrześcijaństwo zostało głęboko zainfekowane i zdeformowane w ciągu stuleci pogardy wobec Żydów, dlatego wejście na drogę dialogu - późno, bo dopiero w obliczu szoku Holocaustu - nie może unikać refleksji historycznej.

Nie wypada wyręczać czytelników z poznania we własnej lekturze - o ile sięgną po książkę Grzegorza Rysia - wszystkich „subtelności” w obchodzeniu się z Żydami. Symbolicznie zawierają się one w dwulicowej „logice toledańskiej”. W 633 r. synod w Toledo ustanowił kanon zakazujący nawracania Żydów przemocą. Dotyczyło to jednak tylko tych Żydów, których wcześniej nie zdołano skłonić do przyjęcia

religii chrześcijańskiej. Konsekwencją trwania przy judaizmie było wygnanie z wizygockiego państwa na Półwysep Iberyjskim.

Kanon LVII synodu toledańskiego stał się podstawą prawną dla działania inkwizycji w późniejszych wiekach. Szukała ona heretyków wyłącznie wśród chrześcijan, zatem wolni od jej zainteresowania byli wyznawcy judaizmu, natomiast konwertyci mogli zostać z jakiegokolwiek powodu oskarżeni, że nie są prawdziwymi i szczerymi chrześcijanami.

W archiwach wielu krajów Europy nie brakuje dokumentów związanych z procesami inkwizycyjnymi przeciwko chrześcijanom żydowskiego pochodzenia. Nierzadko źródłem oskarżeń o herezję były motywy ekonomiczne.

Zaletą książki Rysia jest nie tylko dobrze udokumentowana prezentacja faktów świadczących o dyskryminacji Żydów w świecie chrześcijańskim, ale również odważna próba zajrzenia do głów najtęższych teologów, biskupów i papieży, którzy sądzili, że w imię dobra Kościoła należy Żydów nawracać na chrześcijaństwo i ograniczać ich prawa w chrześcijańskich państwach.

Na mur wrogości pomiędzy Żydami i chrześcijanami wpłynęło zagniebnienie w teologii chrześcijańskiej już w pierwszych wiekach świadomości judaistycznych korzeni chrześcijaństwa, a potem idea Christianitas, na bazie której kształtowała się Europa wieków średnich.

Od czasów apostołów aż do IV wieku w gminach kościelnych byli ju-

deochrześcianianie oraz chrześciance wywodzący się z pogan. Wystarczy przeczytać „Dzieje Apostolskie” i „Listy” św. Pawła (niegdyś Szawła!), aby zdać sobie sprawę, że napięcia pomiędzy dwoma liniami chrześcijan powodowały prawdziwe konflikty, dla których trzeba było szukać rozwiązań. Były to napięcia wewnątrzchrześcijańskie, ale wraz z rozwojem myśli chrześcijańskiej w ciągu kilku stuleci ugruntowywała się wizja Żyda jako obcego i wroga.

Prawdziwe chrześcijaństwo miało polegać na uwolnieniu się od wszelkich śladów żydowskości, a Żydom nie pozostawało nic innego, jak przyjmować - coraz bardziej dejudaizujące się - chrześcijaństwo. Za pomocą kazań opartych zresztą na Starym Testamencie dowodzono ślepoty Żydów.

Pomiędzy II a V wiekiem rozwinęła się teologia zastępstwa w pismach św. Justyna, Tertuliana, Melitona z Sardes, św. Jana Chryzostoma, św. Ambrożego, św. Hieronima, św. Augustyna. Głosili oni, że Bóg odrzucił Synagogę, zastąpił ją Kościoł. Oskarżano wszystkich Żydów o zabicie Chrystusa, dlatego chrześcijanie powinni szerokim łukiem omijać synagogi i unikać kontaktów z narodem bogobójców.

Demonizacja Żydów będzie prowadzić do pogardy i aktów przemocy. Gdy w IV wieku chrześcijanie zburzyli synagogę w Callinicum koło Antiochii, cesarz Teodozjusz polecił ją odbudować, co spotkało się z protestem biskupa Mediolanu św. Ambrożego. Oskarżał cesarza, że jest za mało chrześcijański, bo przedkłada „majestat prawa” nad „wzgląd na religię”.

W traktacie św. Augustyna „Przeciwko Żydom” („Adversus Judaeos”) nie ma już mowy o judeochrześcijanach. To właśnie nauczanie tego teologa, jak się okaże, będzie miało największy wpływ na praktyki Kościoła w ciągu kolejnych stuleci aż do późnego średniowiecza. Wcześniej św. Hieronim przekonywał, że nie wolno nawróconym Żydom pozwalać na zachowywanie ich prawa i praktyk w kościołach chrześcijańskich, gdyż „nie staną się oni chrześcijanami, ale nas zrobią Żydami”.

Tą drogą konsekwentnej dejudaizacji Kościół podążał aż do 1965 r., w którym na Soborze Watykańskim II ogłoszono deklarację „Nostra aetate” - pierwszy krok w przypominaniu sobie przez Kościół istotnych związków z judaizmem. W posoborowym nauczaniu oczywiste wydaje się stwierdzenie Jana Pawła II, że judaizm jest poniekąd wewnętrzną religią dla chrześcijaństwa. To właśnie sprawia, że relacje chrześcijańsko-żydowskie są osobliwe, bliższe niż relacje chrześcijaństwa z pozostałymi religiami.

Musiałoby popłynąć wiele krwi wyznawców wszystkich religii, aby uznać, że alternatywą dla konfliktów religijnych jest pluralizm religijny umożliwiający spotkanie i dialog. Zgubny dla samego chrześcijaństwa stał się ekskluzywizm religijny.

Ryś zdaje się zauważać, że tryumfalizm Kościoła w konfrontacji z judaizmem właściwie prowadził do religijnego zubożenia. „Kościół nie tylko »wyszedł z Synagogi«, lecz także wypędził Ją ze swego wnętrza”.

Na los Żydów w państwach średniowiecznej Europy przemożny wpływ miała idea Christianitas. Warto przypomnieć, że zanim u progu nowożytności na określenie naszego kontynentu wprowadzono nazwę „Europa”, schryścianizowany obszar daleko już wykraczający poza granice starożytnego Cesarstwa Rzymskiego nazywano właśnie Christianitas. Chodziło o chrze-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Bogdan Białek*

po cichu

*myślałem że jestem smutny
a ja byłem cichy
i o tym nic
nie wiedziałem*



FOT. PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ścijańskie państwa powstające na gruzach imperium oraz wśród ludów germańskich i słowiańskich. Miały one wspólną religię, jaką stało się chrześcijaństwo, i jednocześnie odwoływały się do rzymskiej tradycji religii państwowej.

Trudno nie doceniać, jak bardzo chrześcijaństwo okazało się owocne dla rozwoju państwowości i kultury narodów, które zaczęły kształtować swe dzieje w średniowieczu. Z drugiej strony istotną wadą społeczeństwa chrześcijańskiego tych wieków było to, że nie było w nim miejsca dla niechrześcijan.

Co gorsza, dyskryminacja Żydów była uzasadniana błędnymi teoriami teologicznymi, które chrześcijańskie średniowiecze odziedziczyło po chrześcijańskiej starożytności, pracownice dokonującej zacierania związków chrześcijaństwa z judaizmem. Konsekwencją idei Christianitas stawała się

w najlepszym razie separacja chrześcijan i Żydów, a często gdy wzbierały emocje, Żydzi stawali się celem ograniczeń i prześladowań.

W różnych okresach tych kilkusetletnich wieków, o których mowa w książce abp. Rysia, napięcia w relacjach chrześcijan i Żydów łagodzili papieże. Same społeczności żydowskie, uznając autorytet papieski, zwracały się o interwencję. Wytworzyła się tradycja wydawania przez papieży bulli „Sicut Iudeis”. Raz papieże czynili krok do przodu, okazując przychylność Żydom, kiedy indziej się cofali.

Historia kościelnego prawodawstwa w sprawach traktowania Żydów w średniowiecznej katolickiej Europie pomimo swych meandrów zawiera pewien istotny constans. Religijna supremacja chrześcijan rzutowała na brak równości wobec prawa. W samej idei Christianitas tkwił powód dzielenia mieszkańców określonego terytorium na ludzi różnych kategorii i stopniowości należnych im praw.

Autor książki „Chrześcianie wobec Żydów” wykazuje powściągliwość w ocenie mentalności ludzi odległych epok z punktu widzenia współczesnych standardów społeczeństwa pluralistycznego i pluralizmu religijnego. Postępuje, jak na historyka przystaje, opowiada o faktach. Słusznie zauważa różne tendencje w chrześcijańskim antysemityzmie.

Dominuje religijny antyjudazm, odwołujący się do zasad doktrynalnych. Ryś zauważa jednak, że w Hiszpanii już w średniowieczu pojawił się także motyw rasistowski. Przestrzeganie „czystości krwi” zaczęto uważać za powód blokowania karier kościelnych i politycznych żydowskich konwertytów.

Z etycznego punktu widzenia - dodam od siebie - nie ma większego znaczenia, czy dyskryminuje się kogoś z powodu różnicy religii czy ra-

sy, ale średniowiecznemu chrześcijaństwu bliższe było myślenie polityczne niż personalistyczne. Choć pojęcie osoby zrodziło się w kulturze chrześcijańskiej, jego pełniejszy etyczny sens odkryje dopiero oświecenie i skłoni w czasach nowożytnych i współczesnych myślicieli chrześcijańskich do odkrywania w samym chrześcijaństwie - zagubionych przez stulecia - pierwiastków personalistycznych nakazujących respekt dla osoby ze względu na jej godność.

Oczywiście w średniowiecznej Europie byli chrześcijanie wzywający do debaty z Żydami wedle zasady „non armis sed verbis” (nie orężem, lecz słowami). Ale i tym szlachetnym ludziom nie chodziło wcale o to, aby Żydowi przyznać prawo do bycia Żydem, lecz żeby go przekonać i pokonać. Debaty były elitarne, natomiast większość chrześcijańskiego ludu była zachęcana do pogardy wobec Żydów.

Nie możemy też ulegać złudzeniu, że w epoce przed Gutenbergiem teksty pisane docierały wszędzie. Nawet bulle papieskie, zazwyczaj życzliwe Żydom, miały skromną cyrkulację. Średniowiecze żyło pogłoską i obrazem.

Wierni patrzyli na obrazy w świątyniach i z nich czerpali swe poglądy. W Koprzywnicy i w Tujcach znajdują się malowidła z XIV wieku przedstawiające tzw. Żywy Krzyż. Krzyż jest czymś więcej niż narzędziem kaźni, jest wyposażonym w dwie ręce sprawcą działań. W Koprzywnicy młotem kruszy bramę piekła, jedną dłonią nakłada koronę na głowę Eklezji, a drugą wbija miecz w głowę Synagogi. Toć to wymalowana cała doktryna zastępstwa „Synagogi” przez „Eklezję”.

Żadna pociecha, że jest coraz więcej chrześcijan, którzy z przerażeniem patrzeć dziś na ten obraz i nie dostrzegają w nim krzty chrześcijaństwa. Do nich na pewno należy kard. Ryś: „Krzyż - a więc, tak naprawdę, Ukrzyżowany na nim Pan - mordercą! Czyż można bardziej wypaczyć sens Ewangelii?”. ●

Za pięć trzynasta

Pisać o Wenecji

Jak każde wykruszające się piękno jest niewyczerpanym źródłem natchnienia.

Mikołajewski

Dlaczego za pięć? Bo zaraz, za dwa miesiące, odchodzę na emeryturę, a chciałbym jeszcze coś powiedzieć, może przypomnieć czytelnikom „Gazety Wyborczej”, w której przepracowałem 25 lat. W epoce Putina i Trumpa stanąć w obronie czegoś, co czuję, że jest zagrożone.

Dlaczego trzynasta? Żeby nie poddać się ciężnieniu zastanego słowa, mechanicznie powtarzając „dwunasta”. Wiadomo: dla każdego godzina próby jest inna, niezależna od językowych schematów.

Tym, którzy nie dostrzegali pierwszego z tych felietonów, zagubionego w wydaniu internetowym, przypomnę, że upominałem się w nim o piętnowaną ostat-

nio słabość, która przez całe życie była dla mnie znakiem rozpoznawczym szlachetności, dobroci, humanizmu. Dziś wspomnę o czymś pozornie tylko odmiennym, o Wenecji.

Okazji dostarcza mi esej Krzysztofa Pomiana, pięknie wydany w 2024 roku w Lublinie na 90. rocznicę urodzin Profesora, z obitkami fotografii z XIX wieku.

Esej prof. Pomiana, po polsku i francusku, zatytułowany „Wenecja w kulturze europejskiej”, przypomina dzieje kształtowania się miasta, jego artystycznego bogactwa i mitu. Ja jednak nie potrafię myśleć o Wenecji jako o kulturowej i artystycznej potęgzie. Myślę o trudach życia w mieście, gdzie mieszkańcy zmuszeni są walczyć z kwaśnymi deszcza-

mi o przetrwanie ścian i przedmiotów, z monstrualnością okrętów turystycznych, które za wszelką cenę chcą się wcisnąć w kanały, lecz również o przedziwnych akcjach ochronnych jak ta, by pobierać opłaty za wejście do urbanistycznej struktury, przez co zagrożony raj, który miał być miastem, staje się muzeum.

Kto pisze o Wenecji, musi mierzyć się z problemem przemijalności i kruchości. Josif Brodski pisał w jej kontekście o znaku wodnym, Jarosław Iwaszkiewicz nazywał ją zatopioną lutnią. Kto o Wenecji myśli, szuka własnych historii, zdarzeń, wspomnień, kształtujących, nawet kiedy są tragiczne, śmiertelne. Dla mnie czymś wyjątkowym wydaje się tutaj światło, inna dziedzina znikli-

wej kruchości, królujące na prawach porównywalnych jeszcze tylko w Syrakuzach, drugim z miast Świętej Łucji.

Pisanie o Wenecji - wierszy, esejów, historii obrazów... - jest jedną z najbardziej zadziwiających działalności człowieka. Wydaje się, że napisano o niej wszystko, a przecież wciąż mamy coś o niej do powiedzenia - onieśmieleni, lecz i przekonani, że nasze świadectwo jest jedyne, nowe, choć wieczne. Jest bowiem Wenecja, podobnie jak każde wykruszające się piękno, niewyczerpanym źródłem natchnienia i spotkania. Lustrem, przeznaczeniem, punktem oparcia. Elementem nas samych, jacy jesteśmy. Osnową naszych opowieści. ●

Jarosław Mikołajewski

• Prezes IPN Karol Nawrocki tuż przed zniszczeniem pomnika wdzięczności Armii Czerwonej w Głubczycach, 27 października 2022 roku. Ekipa wynajęta przez IPN obaliła w tym miejscu aż cztery upamiętnienia sowieckiej armii

Być może to właśnie akcja obalania pomników Armii Czerwonej i wynikły z niej kremłowski „list gończy” za Karolem Nawrockim zdecydowały o tym, że Jarosław Kaczyński postawił właśnie na niego.



Pogromca

POMNIKÓW

Piotr Głuchowski

Prezes IPN, zanim jeszcze został kandydatem na prezydenta, przez dwa lata jeździł od Pomorza po Opolszczyznę jako likwidator PRL-owskich „pomników wdzięczności”. Scenariusz był zwykle ten sam: Nawrocki z mikrofonem stawał przed mieszkańcami, by przedstawić się jako „mocny człowiek”, a potem koparka, dźwig albo spychacz dokonywały spektakularnej rozwalki. Za wszystko płacił Instytut.

ZLIKWIDOWALIŚMY 41 OBIEKTÓW

– Na naszych oczach rosyjscy żołnierze z Leninem i Stalinem w sercach „wyzwalają” Ukrainę, mordując kobiety i dzieci. Władze Rosji próbują zarazem uzasadnić agresję, sięgając do najgorszych komunistycznych wzorców. Towarzyszą temu gloryfikacja tradycji imperialistycznych i relatywizacja sowieckich zbrodni. Uświadamia nam to, jak ważne jest usunięcie z Polski symboli propagujących komunizm – tak tydzień po rosyjskiej agresji na Kijów prezes IPN apelował do samorządowców o pomoc w usunięciu upamiętnień Armii Czerwonej. Podstawa prawna już istniała – jest nią ustawa z 1 kwietnia 2016 roku „o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego”.

– Rozpoznaliśmy i zinwentaryzowaliśmy na własne potrzeby ponad 60 istniejących jeszcze komunistycznych tworów propagandowych – mówi dr Adam Siwek, dyrektor Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN. – Od marca 2022 r. zaczęliśmy słać do samorządów pisma z propozycją wsparcia, także finansowego, przy ich usuwaniu. Udało się już zlikwidować 41 obiektów. Akcja trwa.

Określenie „obiekt i twór propagandowy” jest kluczowe, bo zgodnie z przepisami nie wolno niszczyć zabytków i dzieł sztuki. Zdaniem Siwka i Nawrockiego „pomniki wdzięczności” upamiętniające krasnoarmiejców nie są ani jednym, ani drugim. Są zakazanymi „symbolami propagującymi komunizm”.

Z niektórymi spośród nich jest jednak problem – na przykład z tym w Olsztynie.

OLSZTYŃSKIE SZUBIENICE

Pod koniec stycznia 1945 r., gdy Armia Czerwona zdobyła niemiecki Allenstein, od razu zaczęły się gwałty i mordy na mieszkańcach. Sowietci spłądrowali miasto, podpalili centrum, połowa zabudowy runęła. Niecałe 10 lat później Mieczysław Moczar – wojewoda olsztyński i szef tamtejszej Rady Narodowej, a zarazem agent sowieckiego GRU i przyszły minister spraw wewnętrznych PRL – zlecił budowę monumentu, który miał wyrażać wdzięczność za wyczyny Sowietów.

Projekt pomnika wykonał światowej klasy artysta, profesor krakowskiej ASP Xawery Dunikowski. Bloki szwedzkiego granitu pobrano z mazurskiego mauzoleum marszałka Paula von Hindenburga. Dwa pylony z figurami żołnierzy oraz płaskorzeźbami ze scenami walki i pracy, które mieszkańcy nazwali „szubienicami”, stanęły w centrum miasta w połowie lat 50. Do końca PRL poza akademiami ku czci niewiele się tu działo. Dopiero w roku 1992 kilka organizacji kombatanckich – m.in. Światowy Związek Żołnierzy AK, Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego i Rodzina Katyńska – wystosowało „list otwarty do władz państwowych i samorządowych” z żądaniem likwidacji pomnika jako symbolu „znienawidzonego, krwawego sowieckiego terroru”.

Nic takiego nie nastąpiło – przeciwnie: w 1993 roku dzieło Dunikowskiego zostało wpisane do rejestru zabytków. A w 2010 ro-

ku olsztyńska rada miejska zarządziła jego odnowienie – wyrwano m.in. młode brzozy, które zdążyły wyrosnąć na szczycie monumentu. Przy okazji pojawiła się propozycja dodania tablicy wyjaśniającej, czym ten pomnik jest.

– Powinna informować, że został narzucony jako hołd Związkowi Sowieckiemu, a nie żadnym żołnierzom – mówił wówczas dziennikarzom prof. Grzegorz Jasiński, historyk Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.

Podobnego zdania był jego ówczesny przełożony, dziekan wydziału humanistycznego prof. Norbert Kasperek: – Na pewno sama nazwa pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej jest nie do zaakceptowania. Armia Czerwona nas nie wyzwoliła, ale przyniosła nam kolejną okupację.

On także uznał, że „odpowiedni byłby podpis ostrzegający przed ideologiami niosącymi śmierć”.

Były też głosy przeciwnie. Sławomir Hryniewicz, w 2010 r. prezes olsztyńskiego

oddziału zrzeszenia architektów SARP, stwierdził na łamach lokalnej „Wyborczej”, że „szubienice”, pod którymi mieszkańcy urządzili dziki parking samochodowy, tworzą mimo wszystko „ciekawy układ urbanistyczny”, a „nie ma innej podobnie udanej przestrzeni w centrum miasta”. Skoro zaś „wartość artystyczna pomnika nie podlega dyskusji”, lepiej go nie ruszać.

Zbliżone stanowisko zajęła kierowana wówczas przez Władysława Bartoszewskiego Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Dzięki temu pomnik dotrwał do rządów „dobrej zmiany” i wejścia w życie ustawy o zakazie propagowania totalitaryzmów.

DWA KRZYŻE ZA GWIAZDĘ

– Pierwszą likwidację w ramach podjętej przez prezesa Nawrockiego akcji dekomunizacyjnej przeprowadziliśmy dwa lata temu na Opolszczyźnie, w gminie Prószków, w miejscowości Chrzowice Folwark – mówi mi dyrektor Siwek.

Stojący w centrum zadrzewionego skweru sześciometrowej wysokości betonowy słup z sierpem i młotem już przed likwidacją wyglądał fatalnie. Warstwy oblażającej farby nie kryły liszajów otaczających inskrypcję: „Wieczna ślawa bohaterom Sowieckoj Armii pawszim za swabodu i niezawisimost narodow”.

Mimo że nad epigrafem górowała pięcioramienna gwiazda, rokrocznie 1 września miejscowy proboszcz odprowadzał tu nabożeństwo w intencji II wojny światowej.

Karol Nawrocki, który 23 marca 2022 r. przyjechał do Chrzowic uświetnić obalanie, podziękował burmistrzowi Prószkowa Krzysztofowi Cebuli za to, że miał odwagę „podjąć decyzję o pozbyciu się z tego miejsca przerażającego symbolu wojny, krwi, ludobójstwa, barbarzyństwa, gwałtów i plądrowania Europy Środkowo-Wschodniej”.

– Pamiętamy niewinnych cywilów zamordowanych przez Sowietów – odpowiedział Cebula, który został wybrany z własnego komitetu. – Starcy, kobiety i dzieci byli bestialsko mordowani, gwałceni, umierali w potwornych cierpieniach... dlatego nie ma przyzwolenia na wdzięczność dla Armii Czerwonej.

Ci „starcy i kobiety”, podobnie jak w Olsztynie, byli głównie Niemcami. Choć Prószków w średniowieczu należał do rodu Prószkowskich, to już w XVIII wieku przeszedł w ręce niemieckie – tutejszy zamek kupił król Prus Fryderyk II Hohenzollern. Podczas plebiscytu w 1921 roku stosunek głosujących za przyłączeniem Niemiec i tych, co się opowiedzieli za Polską, wynosił odpowiednio 10 do 1.

Po wystąpieniu burmistrza Cebuli dźwиг obalił monument wśród oklasków kilkunastu osób, w tym wojewody opolskiego Sławomira Klosowskiego z PiS.

– Dziś w tym samym miejscu stoi pomnik ofiar dwóch totalitaryzmów – mówi mi dalej dyr. Siwek.

Składa się z dwóch krzyży (katolicko-ewangelickiego i prawosławnego) oraz czarnej tablicy „Pamięci ofiar zbrodniczych ideologii: niemieckiego nazizmu i sowieckiego komunizmu. Sojusz tych totalitaryzmów doprowadził do wybuchu II wojny światowej”.

Po rosyjskiej agresji na Ukrainę ktoś oblał zwieńczony pięcioramienną gwiazdą betonowy monument stojący w Malborku czerwoną farbą, domalował swastyki i hasło „Putin chuj”

ROZWALMY ZAMEK W MALBORKU

Pytam dyrektora Siwka, na które spośród 40 likwidacji zwrócić szczególną uwagę.

– Warto napisać o Malborku, bo tam były długie dyskusje, lecz w końcu się udało.

Obrośnięty porostami, zwieńczony pięcioramienną gwiazdą betonowy monument w stylu nagrobkowego stał od 1945 roku na działce wśród poniemieckich pałacików miejskich i PRL-owskich bloków przy obecnej ulicy Sikorskiego. Na tablicy dedykacja: „Bohaterom Armii Czerwonej poległym o wyzwolenie Malborka” (tak w oryginale). Po rosyjskiej agresji na Ukrainę ktoś oblał pomnik czerwoną farbą, domalował swastyki i hasło „Putin chuj”.

Po incydencie Nawrocki osobiście przekonywał lewicowego burmistrza miasta Marka Charzewskiego do usunięcia „tworu propagandy”, który – jak widać – zaczął mieszkańcom przeszkadzać. Samorządowiec miał obiekcje, bo monument figuruje w ewidencji zabytków i według lokalnej tradycji leżą pod nim sowieccy żołnierze – a miejsca pochówku są wyłączone spod działania ustawy.

Wtedy do akcji włączyli się wiceminister aktywów państwowych w rządzie PiS Karol Rabenda oraz pomorski konserwator zabytków Igor Strzok. Pierwszy z nich – związany w młodości z Malborkiem – poinformował miejscowych dziennikarzy, że w tutejszym archiwum państwowym znajdują bez trudu relacje o czynach czewonoarmistów w mieście i okolicy: – Tu były potworne gwałty, kradzieże i morderstwa. Władze polskie musiały apelować do strony rosyjskiej, żeby sowieccy żołnierze przestali napadać na okoliczne wioski. Bo organizowali regularne najazdy, jak to określano: za wódką i kobietami. Terroryzowali ludność, która tu została, tak samo jak polskich repatriantów... i za to mamy ich czcić?

A konserwator Strzok w lipcu 2022 r. wykreślił z listy zabytków pomnik z ulicy Sikorskiego, jak i sowieckie działo samobieżne stojące na betonowej mastabie przy placu 3 Maja, orzekając, że „nie posiadają wartości artystycznych”.

Jednocześnie urzędnicy z IPN ustalili, że szczątki żołnierzy już dawno przeniesiono na cmentarz przy ul. 500-lecia. W tej sytuacji

burmistrz Charzewski umył ręce: – Instytut bierze pełną odpowiedzialność za działania na naszym terenie – powiedział dziennikarzom. – My jako miasto nie będziemy uczestniczyć w procesie.

Rozbiórka zaczęła się 9 sierpnia 2022 r. Szczyt monumentu związano zieloną taśmą i przewrócono podobnie jak w Chrzowicach, z tym że teraz użyto koparki z ramieniem udarowym. Reporter „Dziennika Bałtyckiego” zapytał mieszkańców, co sądzą o demontażu. Większość przyklasnęła, tylko jeden zaproponował kąśliwie, żeby „rozebrać zamek”, bo Krzyżacy „też nas mordowali”.

W lutym 2024 roku – w drugą rocznicę wybuchu wojny w Ukrainie – Karol Rabenda (teraz radny PiS z Gdańska) razem z urzędnikami IPN i w obecności burmistrza Charzewskiego odsłonił przy ul. Sikorskiego tablicę z płaskorzeźbionym orłem, identycznym jak w godle RP: „Ofiarom niemieckiego nazizmu i sowieckiego komunizmu. Sojusz tych zbrodniczych ideologii doprowadził do wybuchu II wojny światowej, przynosząc bezmiar zniszczeń, cierpienia i śmierci”.

NIE CHRONIĆ „SOWIECKIEGO ŚCIERWA”

Tymczasem w Olsztynie po wyborczym zwycięstwie Zjednoczonej Prawicy w 2015 roku zrodziły się dwa pomysły na dalszy los „szubienic”.

Działacz pierwszej „Solidarności” Wojciech Koziół zaproponował rozpięcie pomiędzy pylonami Dunikowskiego ekranu kinowego, na którym wyświetlano by filmy o okrucieństwach Armii Czerwonej.

Urzędnik wojewódzki Piotr Junker (z rekomendacji PiS) chciał natomiast zastąpienia „szubienic” pomnikiem ofiar Smoleńska. Zamówił nawet projekt u polonijnego rzeźbiarza Andrzeja Pityńskiego, autora Pomnika Katyńskiego w Jersey pod Nowym Jorkiem (to ten wielokrotnie reprodukowany umierający żołnierz Września z wbitym w plecy bagnety).

Pityński zaoferował Olsztynowi orla z wydrażonym w korpusie krzyżem, z którego mieli wychodzić nadnaturalnych rozmiarów Maria i Lech Kaczyńscy. Iwona Arent, warszawska posłanka PiS, zwróciła się w związku z tym do PSL-owskiego prezydenta Olsztyna Piotra Grzymowicza, by w imieniu gminy – właściciela terenu – poprosił urząd ochrony zabytków o wykreślenie „szubienic” z rejestru – co by umożliwiło rozbiórkę monumentu. Prezydent się nie zgodził. Jednym z argumentów stało się 110 tys. zł wydane w 2010 r. na remont upamiętnienia (w tym na wyrwanie brzozy).

– Jeżeli zdecydujemy się na likwidację pomnika, kto zwróci gminie Olsztyn te środki? – pytał Krzysztof Kacprzycki, radny Lewicy.

Grupa warmińsko-mazurskich polityków PiS z lokalnym konserwatywnym publicystą Antonim Górskim wybrała się więc wiosną 2018 roku do ministra kultury Piotra Glińskiego, by przekonać go do „odgórnego” zdjęcia ochrony konserwatorskiej z tego – jak to określił Górski – „sowieckiego ścierwa”. Podstawą prawną miała być niezgodność formy monumentu z pierwotnym projektem Dunikowskiego oraz zarejestrowanie zabytku „pod fałszywą nazwą pomnika Wyzwolenia”. Bo takowe go nie było.

Resort wyjaśnił przybyšsom z Olsztyna, że bez zgody urzędu miejskiego niczego nie da się zrobić, a „gmina nie jest na razie

zainteresowana ani likwidacją, ani przenosinami”.

– Pomnik pokazuje naszą historię, niezależnie od tego, czy była ona lepsza, czy gorsza – stwierdziła wcześniej Marta Bartoszewicz, rzeczniczka prasowa ratusza. – Mimo wszystko chcielibyśmy uświadomić społeczność, w jakich okolicznościach monument został ustawiony i dlatego zamierzamy postawić pod nim tablicę informacyjną.

Propozycja tekstu na tablicy według magistratu: „Ten pomnik wzniesiono jako wyraz wdzięczności dla Armii Czerwonej. Po wielu latach od tamtych wydarzeń świadczy o bolesnej i skomplikowanej historii Warmii i Mazur, jest swoistym elementem pamięci o czasach pogardy wobec elementarnych praw człowieka”.

Zgodnie z przepisami treść musiało zaopiniować biuro upamiętniania IPN, czyli podwładni dyrektora Siwka. Wydana w listopadzie 2018 r. opinia była negatywna. Ewentualną zgodę biuro uzależniło „od uzupełnienia jej o informacje dotyczące działań Armii Czerwonej na terenie Warmii i Mazur oraz od podkreślenia propagandowego wydźwięku pomnika”. Urzędnicy ratusza nie chcieli pisać pod dyktando. Wrócili do IPN z prośbą, by to Instytut przygotował treść przyszłej inskrypcji. I tak też się stało.

Nowy tekst według IPN: „Pomnik wzniesiono jako element komunistycznej propagandy realizowanej w niesuwerennej i opartej na przemocy Polsce Ludowej. Monument był jednym z elementów budowy mitu o wyzwolicielskiej roli Armii Czerwonej, która walcząc z Niemcami, nie przynosiła wyzwolenia Polsce. Przeciwnie. Oddziały Armii Czerwonej wspierały sowieckie organy bezpieczeństwa w eksterminacji Armii Krajowej i innych formacji niepodległościowych, dopuszczając się przy tym szeregu zbrodni na ludności cywilnej...” i tak dalej.

Kiedy olsztyńska prasa ujawniła proponowaną treść, odezwali się niezadowoleni.

– Owszem, Armia Czerwona dokonała zniszczeń i podbiła Prusy, a nie wyzwoliła. Należy jednak pamiętać, że gdyby nie ona, nie byłoby nas wcale na Warmii i Mazurach – mówił lokalnej „Wyborczej” Marcin Wakar, historyk i były prezes Towarzystwa Miłośników Olsztyna.

Pisarz Tomasz Białkowski – autor książek o dziejach okolic – poszedł jeszcze dalej, uznając IPN-owską propozycję tablicy za „wysoce szkodliwą”: – Wiedza o II wojnie światowej i burzliwym wieku XX występuje w programie nauczania szkoły podstawowej, więc musi ją znać każde dziecko. A ludziom dojrzałym tłumaczenie nie jest potrzebne tym bardziej. Nie ma żadnego racjonalnego powodu, aby przy monumencie Dunikowskiego umieszczać tablicę IPN.

Listów otwartych i polemik w mediach było sporo, tymczasem pod pomnikiem wciąż parkowały auta. Mimo remontu z 2010 r. czerwonoarmieście odleciał fragment ręki, ocalała granitowa dłoń ktoś zaś pomalował na krwistoczerwono. Pojawiały się nowe, najczęściej nieczytelne lub nieprzystojne graffiti... i tak „szubienice” doczekały lipca 2021 r., kiedy PiS-owski dyrektor gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej Karol Nawrocki został prezesem IPN.

– ...a potem na fali poruszenia rosyjską agresją wyszedł z pomysłem dekomunikacji pomników, dając podręcznikowy pokaz promocji samego siebie – mówi prof. Robert Traba, historyk z Instytutu Studiów Politycznych PAN, współtwórca podręcznika do historii Europy i olsztynianin.

KRASNOARMIEJEC Z GŁUBCZYC

Słabość prezesa IPN do reklamowania własnej osoby jest znana. Podwładni mówią o nim „wódz”. Tylko w ilustrowanym sprawozdaniu z działalności Instytutu za pierwszy rok jego prezesury postać szefa widnieje na 64 spośród 300 zdjęć. Złośliwi współpra-



• **Demonstracja rzeszowian pod Pomnikiem Walk Rewolucyjnych na rondzie Dmowskiego, 6 października 2020 roku**

FOT. PATRYK OGORZALEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

cownicy przerobili nawet żartobliwie nazwę urzędu na „Instytut Promocji Nawrockiego”.

Tej promocji bardzo pomogli Rosjanie.

– Przed dwoma laty Federacja Rosyjska wprowadziła do swego kodeksu karnego przestępstwo podważania wyzwolicielskiej roli Armii Czerwonej w II wojnie światowej – tłumaczy dyrektor Siwek. – Grozi za to grzywna do 5 mln rubli albo pięć lat lagru.

Prezes Nawrocki został wpisany na listę osób poszukiwanych w związku z podejrzeniem popełnienia rzeczonego przestępstwa. Gdyby dziś wjechał do jakiegokolwiek państwa, gdzie Rosja ma wystarczające wpływy, zostałby zatrzymany.

Dlatego Instytut wynajął prezesowi ochronę osobistą.

– Sądzę, że właśnie akcja burzenia, jej rewolucyjny zapal i wywołana złość Kremla przyczyniły się do tego, iż Jarosław Kaczyński zatrzymał na Nawrockim oko, aby ostatecznie zobaczyć w tym egzekutorze PiS-owskiej polityki historycznej kandydata na najwyższy urząd – uważa prof. Traba.

Podobnego zdania jest inny znany historyk związany z IPN: – Nawrocki kupił Kościół, wprowadzając do gdańskiego muzeum ojca Maksymiliana Kolbego. Konfederatów kupił, ostro domagając się ekshumacji wołyńskich. A Kaczyńskiego tym obalaniem pomników.

Nie tylko Kaczyńskiego. Wedle miernika zasięgów Google Trends od wiosny 2022 r. (czyli od początku akcji z pomnikami) popularność frazy „prezes IPN Karol Nawrocki” stale rośnie. Artykułów, filmów i audycji poświęconych obalaniu „ścierwa” są już w sieci setki. W większości z nich nazwisko kandydata na prezydenta RP jest wymieniane po kilka-kilkanaście razy. „60 pomników zostanie zburzonych? Tak szacuje prezes IPN” (Bankier.pl, kwiecień 2022); „Karol Nawrocki: sowieckie pomniki nie powinny straszyć ludzi” (Polskieradio.pl, maj 2022); „Prezes IPN: mam nadzieję, że do końca mojej kadencji znikną z przestrzeni publicznej wszystkie pomniki wdzięczności” (Dzieje.pl, lipiec 2023).

– Pisano o nas dużo, bo jeździliśmy po Polsce, by w jak najkrótszym czasie obalić jak najwięcej komunistycznych obiektów – mówi dyrektor Siwek. – Niekiedy samorządowcy wzywali nas sami. Tak było w Głubczycach, gdzie zaprosił nas radny. A dokładnie: radna Elżbieta Słodkowska z Solidarnej Polski.

Akcja była duża: w tym samym dniu, 27 października 2022 r., runęły cztery pomniki. Betonowy krasnoarmiejec z Głubczyc – w pałacie, z pepeszą i ponurą miną – został odkuty od granitowej Kolumny Zwycięstwa, która do 1945 r. (gdy miasto nazywało się jeszcze Leobschütz) sławiła pruskie triumfy w wojnach z Austro-Węgrami i Danią. Kolumna została, żołnierza robotnicy rozbili na kawałki.

– Niszczymy symbol systemu, który ręka w rękę z Adolfem Hitlerem rozpoczął II wojnę światową, skolonizował połowę Europy, w tym nasz kraj, mordował polskich bohaterów w katowniach, mordował polskich robotników i wciąż unosi się duchem w dzisiejszej Federacji Rosyjskiej – stojący przed

rzędem kamer Nawrocki mówił w Głubczycach z grubszą to samo, co wszędzie.

W tym samym czasie wynajęci przez IPN robotnicy rozbijali pomniki w położonej na drugim końcu woj. opolskiego Byczynie, w zachodniopomorskich Bobolicach i w świętokrzyskim Mokrem.

– Ile kosztuje jedna akcja? – pytam doktora Siwka.

– Od kilku do kilkunastu tysięcy. Droższe są upamiętnienia, które instalujemy w miejsc obalonych. Na przykład we Włodawie, z której usunęliśmy pomnik tzw. polsko-sowieckiego braterstwa, wystawiliśmy obelisk poświęcony generałowi Franciszkowi Kleebergowi i żołnierzom Września z samodzielnej grupy operacyjnej „Polesie”. Kosztował 150 tys.

Na jego odsłonięcie we wrześniu 2023 r. zjechała generalicja, minister spraw wewnętrznych Mariusz Kamiński, prezes IPN i Andrzej Duda. Włodawę uhonorowano m.in. dlatego, że demontaż „obiekту propagandowego” zyskał tu poparcie społeczności. Spośród 9 tys. mieszkańców głosowało 680, przeciw betonowemu „braterstwu broni” opowiedziało się ponad 430.

GLEBA Z MOGIŁ JEDZIE DO ROSJA

– Podobne referenda należą do rzadkości, lecz generalnie nastroje wśród mieszkańców miejsc, które odwiedzaliśmy, sprzyjały likwidacji tworów propagandowych – wspomina dyrektor Siwek. – Systematyczne obiekcie zgłaszały dwa podmioty. Jakies Stowarzyszenie „Kursk” i coś, co się nazywa bodajże komitetem obrony pamięci ofiar wojen. Ślali do urzędów miejskich i wojewódzkich protesty przeciwko burzeniu. Z nami się bezpośrednio nie kontaktowali.

„Kursk” to zrzeszenie założone przez 56-letniego dziś Jerzego Tyca, byłego wojskowego, potem policjanta. We wsi Surmówka koło Mrągowa Tyc ma działkę, na którą zwozi „uratowane” przez siebie pomniki Armii Czerwonej. Gdy zaczęła szukać go ABW, wyjechał do Rosji. Se strony na FB „Kurska” leje się narracja zbieżna z kremłowską propagandą.

„Kursk” prowadzi również akcję pod nazwą „Powrót do domu”. Tyc zbiera glebę z posowieckich mogił na terenie Polski i wozi w pudelkach do Rosji.

Drugi „podmiot” – Społeczny Komitet Obrony Symboli Pamięci Ofiar Wojen – zakładał Albin Siwak, robotnik stachanowiec i antysemita dokooptowany w PRL do Biura Politycznego KC PZPR. Działal w narodowo-komunistycznym Zjednoczeniu Patriotycznym „Grunwald. Od śmierci Siwaka w 2019 r. prezeską SKOSPOW jest Beata Karoń, liderka Komunistycznej Partii Polski oraz członkini Stowarzyszenia Przyjaciół Kuby. Zdobyłem telefon przewodniczącej, ale nie chciała rozmawiać.

– Ani Stowarzyszenie Kursk, ani ten komitet nie stanowią dla akcji dekomunikacyjnej większego problemu – mówi dr Siwek. – Przykre jest natomiast to, że część

historyków zdaje się nie rozumieć słuszności i konieczności tego, co robimy.

Dyrektor nie chce wymieniać nazwisk, jednak z kontekstu wynika, że chodzi m.in. o tekst profesora Traby broniący na łamach „Wyborczej” olsztyńskich „szubienic”.

SZUBIENICE W OKRĄŻENIU

W maju 2022 r. na zlecenie olsztyńskiego ratusza pracownia IBRIS zapytała ponad 1 tys. pełnoletnich mieszkańców o dalsze losy dzieła Dunikowskiego. Za likwidacją opowiedziało się 43 proc. przebadanych. Za pozostawieniem na miejscu – o 3 proc. więcej.

„W związku z powyższym prezydent miasta Piotr Grzymowicz podjął decyzję o pozostawieniu pomnika Wyzwolenia w dotychczasowej lokalizacji i przystąpieniu do realizacji koncepcji umieszczenia na placu tablic prezentacyjnych” – zakomunikował urząd miejski.

Tablica z tekstem sporządzonym – jak wiemy – przez IPN faktycznie stanęła pod „szubienicami”, które mieszkańcy w międzyczasie przystroili niebiesko-żółtym transparentem „Solidarni z Ukrainą” i drugim – z wizerunkiem sowieckiego żołnierza duszącego kobietę. Ten obraz musiał kogoś razić, bo został ściągnięty – na jego miejscu rozwieszono biało-czerwoną draperię z wielkim hasłem „Katyń”. A stare graffiti pokryły się nowymi napisami: „Do zburzenia”, „Bandycka ruska armia czerwona – bydlaki”, „Jebać Putina i Tuska!”.

Wówczas magistrat otoczył pomnik kolorowymi szykanami i barierkami, które z kolei stały się rusztowaniem dla nielegalnych reklam. Tablicy informacyjnej, o którą toczono spory, praktycznie nie widać.

IPN nie zgodził się na takie zakończenie sprawy. 19 października 2022 r. Karol Nawrocki zwołał konferencję prasową pod pomnikiem.

– Sowietci przyszli tutaj, gwałcąc polskie kobiety, mordując Polaków – mówił. – Tak nie zachowują się wyzwoliciele? Pomnik za moimi plecami jest ahistoryczny, bo dotyka wydarzenia, którego nie było. Rok 1945 – jeszcze raz to powtórzę – nie był wyzwoleniem. Jeżeli ten obiekt cokolwiek symbolizuje, to cierpienie mieszkańców Olsztyna i całej Polski po roku 1945. Jest wstydem dla waszego pięknego miasta, że ten twór ciągle stoi. Jego dalsze utrzymywanie w przestrzeni publicznej to łamanie prawa.

Cztery dni później prof. Traba przysłał do naszej redakcji „List otwarty do prezesa IPN”:

„[Forma olsztyńskich „szubienic”] przypomina model pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego, który w 1937 roku stworzył również Xawery Dunikowski. W podobnej artystycznej poetyce utrzymane jest jeszcze inne dzieło rzeźbiarza – pomnik Czynu Powstańczego na Górze św. Anny. Historycy sztuki są zgodni: te pomniki to dzieła wybitne.

Nie ma pan też racji, gdy jako historyk mówi o »gwałtach na polskich kobietach« i »mordach na Polakach«. Sowietcy żołnierze mordowali cywilnych mieszkańców miasta Allenstein i prowincji Ostpreußen, pierwszego skrawka »Tyśiącletniej Rzeszy«, który właśnie podbili. Nie było jeszcze ustaleń granicznych z Jałty i Poczdamu, które przynależały Warmię i Mazury Polsce. Sowietci gwałcili i mordowali przede wszystkim Niemki i Niemców. Zamiast sztucznie podbijać narodowe emocje, warto by było, żeby pan to powiedział.

Dwadzieścia kilometrów od Olsztyna przez ponad pięć lat wojny funkcjonował Stalag Hohenstein IB, gdzie umarło z głodu i wycieńczenia prawie tyle samo ludzi, co w obozie koncentracyjnym Stutthof. Krótko przed zdobyciem [przez Sowietów] Działdowa nazistowski personel zorganizował im marsz śmierci. Może dla nich nadejście kilka dni wcześniej Armii Czerwonej byłoby jednak wyzwoleniem? Podobnie jak dla 7 tys. więźniów Auschwitz uratowanych 27 stycznia 1945 r.

Prawie pięć lat więzieniem tego obozu, jako numer 774, był również Xawery Dunikowski. Historia, panie prezesie, nie jest biało-czarna. Żołnierze będący formalnie przedstawicielami totalitaryzmu stalinowskiego przynieśli wolność więźniom totalitaryzmu hitlerowskiego, również Dunikowskiemu”.

I na koniec: „W Polsce po 2015 roku dominuje zasada dyktatu nowej, narodowej polityki historycznej. Co nie mieści się w jej ramach, podlega aktowi deprecjacji (próby umniejszania roli Lecha Wałęsy), następnie procesowi fizycznego wytarcia (likwidacja ulic Dąbrowszczaków czy Waryńskiego) i wreszcie próbie wyparcia z pamięci historycznej. Tak działają, panie prezesie, państwa autorytarne”.

WIATR ZDMUCHNĄŁ POMNIK

Dr Nawrocki odpowiedzialczynami. Dwa ostatnie „twory propagandowe” upadły w Szczecinie i Nowogardzie. Były to pomniki figuratywne mające – podobnie jak „szubienice” – uznanych autorów. Siedmiometrowy szczeciński monument poświęcony „poległym w walce o wyzwolenie” zaprojektował w latach 60. Mieczysław Welter, twórca pomników Mikołaja Kopernika we Fromborku i Jana Kochanowskiego w Czarnolesie. Statua ustawiona między kościołem a blokami w Szczecinie-Dąbiu została w 2009 roku gruntownie odrestaurowana i obita blachą nierdzewną. Wokół pylonu z postaciami stojących na warcie żołnierzy ułożono kamienne płyty, postawiono ławki, tablicę informacyjną po polsku i niemiecku, założono rabaty kwiatowe. Nie było tu gwiazdy ani sierpa z młotem.

Pylon nie przeszkadzał nikomu aż do roku 2022, gdy miejski radny Solidarnej Polski Dariusz Matecki złożył projekt uchwały o likwidacji pomnika, który rada przyjęła jednogłośnie. W deszczowy dzień 3 sierpnia 2023 r. do Szczecina-Dąbia przyjechał prezes IPN i dalej wszystko potoczyło się tak jak w Malborku, Chrzowicach, Głubczycach. Był dźwig, był wojewoda zachodniopomorski Zbigniew Bogucki z PiS i był wykład z historii.

– Jeśli ktoś niesie wolność, to wyzwalanego nie gwałci, nie okrada i przede wszystkim nie morduje – mówił Nawrocki. – Tymczasem Sowietci wywieźli z Polski jedną trzecią długości torów kolejowych i ponad 1 tys. fabryk. Ten sam los spotkał Szczecin i całe województwo zachodniopomorskie, ale ten obiekt propagandowy o tym nie mówi, bo on stoi po to, by deformować wiedzę historyczną i prawdę. Stoi, by gardzić ofiarami, oddając trybut sprawcom. Za moment jednak upadnie. Bo niebo nad Szczecinem nie płacze z powodu obiektu propagandowego, z którym się żegnamy, lecz płacze nad ofiarami Armii Czerwonej w Polsce.

W Nowogardzie w lipcu 2024 r. zadanie było największe z dotychczasowych. Stojący w centrum pomnik polsko-sowieckiego „braterstwa broni”, zwany przez mieszkańców „chochołem”, miał wielkość czteropiętrowej kamienicy. Na ponad 50-tonowym betonowym cokole stały nadnaturalnej wielkości figury polskiego żołnierza „ludowego” wojska w rogatywce, sowieckiego soldata w hełmie z gwiazdą oraz dwóch średniowiecznych brodatych wojów w szyszakach. Monument zbudowano w roku 1972 z inicjatywy działaczy PZPR, a odsłonięto w 55. rocznicę wybuchu rewolucji w Rosji.

Po 1989 r. władze miejskie kilkakrotnie przerabiały dzieło. Odkuto gwiazdę z hełmu krasnoarmiejca, dodano orła w koronie i płaskorzeźbę orderu Virtuti Militari, nazwę monumentu zmieniono na pomnik Kombatantów. Nie wystarczyło. Jak czytamy na stronie IPN: „Już od 2017 roku szczeciński oddział Instytutu zabiegał o usunięcie tego obiektu z przestrzeni publicznej”. Nowogardzka rada miejska uwzględniła

wniosek, lecz ówczesny burmistrz Robert Czapla, członek SLD, nie wykonał uchwały. Zdecydował się na to dopiero wybrany w 2024 roku z własnego komitetu Michał Wiatr.

22 lipca – nieprzypadkowo w dniu czczonych za komuny „urodzin” PRL – z prezesem Nawrockim stanęli przy wykopanym wcześniej przed „chochołem” wielkim dole. Nawrocki mówił to, co zawsze („Komuniści po 1945 r. chcieli poddać lobotomii nasze umysły, świadomość i narodową duszę”), Wiatr zapewnił zebranych kilkudziesięciu mieszkańców, że „ani jedna złotówka z budżetu Nowogardu nie została wydana na likwidację pomnika”, za wszystko płaci IPN, który doloży się też do postawienia w tym miejscu fontanny. Zebrani odpowiedzieli skandowaniem: „Dzie-ku-jemy!”.

Wołali: „Precz z komuną!”, kiedy koparka – napierając łychą – z trudem przewróciła pomnik do dołu.

– Które jeszcze pomniki są do obalenia i kiedy najbliższa akcja rozbiórkowa? – pytał dyrektora Siwka.

– Zostało do likwidacji około 20 obiektów. Nie upubliczniamy dat ani terminów ze względu na szacunek do partnerów samorządowych. Nie chcemy nikogo wytykać palcami: „a u was jeszcze niezrobione”. Mogę zdradzić, że prowadzimy rozmowy z władzami Żywca, działamy również w Rzeszowie.

Żywiecki pomnik „braterstwa broni” – niewiele mniejszy od nowogardzkiego – powstał w latach 60. wedle projektu rzeźbiarza Antoniego Bilki. Na sześciometrowym cokole w centrum miasta stoją dwaj żołnierze – jeden z rycerską tarczą z orłem, a drugi z pepeszą. Przymiarki do likwidacji monumentu podjęto już 25 lat temu, lecz wówczas ocalał, bo na jego szczycie uwiły gniazdo bociany. Poprzestano więc na tablicy informującej, że teraz jest to pomnik ku czci rodzinnych żołnierzy. Pojawiła się stosowna inskrypcja: „Poległym za wolną i sprawiedliwą Polskę w latach 1939-1945. Cześć ich pamięci”.

Z latami bociany zaglądały do gniazda coraz rzadziej – ostatecznie wyrosły w nim chwasty. Dwa lata temu prezes Nawrocki

wysłał do bezpartyjnego burmistrza Żywca Antoniego Szlagora propozycję „podjęcia współpracy w celu likwidacji tej pamiątki sowieckiej okupacji ziem polskich”. Jak wyjaśnił: „Umundurowanie i uzbrojenie [figur na cokole] nie charakteryzuje polskich żołnierzy walczących w wojnie obronnej 1939 r. czy kontynuujących walkę w ramach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie”. Nie ma sensu się więc oszukiwać: to obiekt komunistyczny, który musi zniknąć.

– Pomnik jest poświęcony polskim żołnierzom walczącym na wszystkich frontach świata, a więc też froncie wschodnim – odparował Szlagor w serwisie Żywiec. naszemiasto. – A poza tym bociany mogą jeszcze wrócić.

Z Rzeszowem sprawa jest grubsza.

CZY DLA TO JEST DOBRY SYMBOL

Stojący w centrum miasta prawie 40-metrowy i przeszło 400-tonowy pomnik Walk Rewolucyjnych zwany przez rzeszowian „wielką cipą” albo grzeczniej „waginę” zaprojektował zmarły przed siedmiu laty Marian Konieczny, kształcony przez Dunikowskiego twórca warszawskiej Nike i figury księdza pedofila Eugeniusza Makulskiego wręczającego model katedry w Licheniu Janowi Pawłowi II. Licheński pomnik został już rozmontowany (grzesznika odkuto, papież ocalał), rzeszowski – stoi u zbiegu reprezentacyjnych alei Łukasza Cieplińskiego i marszałka Józefa Piłsudskiego.

Pierwszy wniosek o wyburzenie obiektu IPN przedstawił lewicowemu prezydentowi miasta Tadeuszowi Ferencowi już w roku 2016. Ferenc zasięgnął opinii rzeszowskiego oddziału SARP – architekci opowiedzieli się przeciw rozbiórze. W tej sytuacji prezydent z SLD wysłał do podkarpackiej konserwator zabytków prośbę o wpisanie monumentu w jej rejestr. Powołana przez „dobrą zmianę” Beata Kot odmówiła.

Jesienią 2020 r. ocalały pomnik stał się symbolem wystąpień przeciw zaostrezeniu przepisów aborcyjnych. Aktywistki przemianowały nazwę instalacji (m.in. w Google Maps) na pomnik Czynu Rewolu-

cyjnego Kobiet. W dniu „czarnego protestu” rzeszowianki otoczyły „wielką” kwiatami, miškami i zniczami, które członkowie tu-tejszej Młodzieży Wszechpolskiej częściowo zniszczyli, a częściowo przenieśli pod wystawiony siedem lat wcześniej rzeszowski pomnik Żołnierzy Wykłętych.

W kolejnych latach spory o monument toczyły się pomiędzy: *chcącym go wyburzyć zakonem bernardynów – właścicielem terenu na skrzyżowaniu alei; *również optującym za likwidacją Stowarzyszeniem Rodzin Żołnierzy Niezłomnych Podkarpacia, któremu mnisi przekazali pomnik; *nowym – też lewicowym – prezydentem miasta Konradem Fijołkiem, który chciał „waginę” uratować; *marszałkiem województwa Władysławem Ortyłem i wojewodą Ewą Leniart z PiS, którzy chcieli ją wyburzyć; *wreszcie radą miejską, która mimo sprzeciwu rajców z partii Kaczyńskiego podjęła uchwałę o konieczności ocalenia pomnika.

W trakcie tych sporów 8 sierpnia 2024 r. podkarpacki Urząd Ochrony Zabytków – przejęty przez nominatów obecnej koalicji – wpisał dzieło Mariana Koniecznego do rejestru zabytków.

Co na to mieszkańcy? W sondażu opinii publicznej przeprowadzonym w 2018 r. przez studentów Uniwersytetu Rzeszowskiego 69 proc. spośród kilkuset ankietowanych opowiedziało się za zachowaniem monumentu. W powtórce badania z roku 2023 sympatyków było jeszcze więcej: przeszło cztery piąte. Za pozostawieniem pomnika opowiedzieli się przede wszystkim młodzi, za obaleniem – starsi.

IPN postanowił więc rzeszowian wyedukować. W dniu ogłoszenia Karola Nawrockiego kandydatem na prezydenta RP Instytut kosztem 36 tys. zł wysłał do obywateli 200-tysięcznego miasta 80 tys. ulotek z hasłem: „Wstyd”, w których przypomniał, że pomnik „jako komunistyczne upamiętnienie wiąże nas symbolicznie z okresem PRL, który charakteryzował się rosnącym zapóźnieniem cywilizacyjnym względem Zachodu i łamaniem praw obywatelskich (...) Czy dla Rzeszowa, miasta określanego jako polska stolica innowacji, jest to adekwatny symbol?”.

„Czyżby instytucja publiczna jawnie wspierająca kampanię prezydencką swojego szefa chciała doprowadzić do zburzenia pomnika, kiedy ten wygra wybory?” – zapytał nazajutrz wiceprezydent miasta z KO Marcin Deręgowski.

Na razie możliwe jest wszystko. Stowarzyszenie Rodzin Żołnierzy Niezłomnych, czyli właściciel pomnika, nie ukrywa zamiarów rozbiórki. Odwołało się już do sądu od decyzji o wpisie „waginy” na zabytkową listę. Postępowanie trwa.

NIECH SPOŁECZNOŚCI DECYDUJĄ

Tymczasem w Olsztynie pod koniec stycznia 2023 roku do gry wszedł mianowany jeszcze przez PiS wojewoda Artur Chojecki. I wydał decyzję nakładającą na ratusz „obowiązek usunięcia pomnika zlokalizowanego przy placu Xawerego Dunikowskiego”. Z rygorem natychmiastowej wykonalności. Miasto odwołało się od tej decyzji do ministra kultury, którym był decyzyj Głiński. Minister naturalnie odrzucił odwołanie. Akcja rozbiórkowa jednak się nie rozpoczęła, gdyż PiS oddał władzę. Dlatego „szubienice” wciąż stoją.

– Niech stoją dalej, bo są dziełem sztuki – mówi mi prof. Rafał Wnuk, nowy dyrektor gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej. – Moim zdaniem monumenty mające uznanych autorów i artystyczne walory powinny być ocalone. Obalać trzeba te bezstyłowe filary z czerwonymi gwiazdami na czubkach, bo to ani ładne, ani wartościowe. Te potworki górują nad małymi miastami, stanowiąc coś w rodzaju przemocy symbolicznej. Najlepiej by było, gdyby każda lokalna społeczność decydowała sama. ●



• **Usuwanie sierpa i młota z olsztyńskich „szubienic”, czyli Pomnika Wdzięczności Armii Czerwonej autorstwa Xawerego Dunikowskiego, 10 listopada 2022 rok**
FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. Traba: Sowietci mordowali cywilnych mieszkańców miasta Allenstein i prowincji Ostpreußen, pierwszego skrawka »Tysiącletniej Rzeszy«, który właśnie podbili. (...) gwałcili i mordowali przede wszystkim Niemki i Niemców



• Dziedziniec „pałacu Pacy” przy ul. Miodowej w Warszawie. Dziś siedzibę ma tu Ministerstwo Zdrowia

FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

WART PAC PAŁACA, A PAŁAC PACA

**To popularne powie-
dzenie pierwotnie wca-
le nie miało prześmiew-
czego wydźwięku**

Marta Panas-Goworska

WARSZAWSKIE ŚRÓDMIEŚCIE, ULICA MIODOWA 15

„[Rzecki, stary subiekt z „Lalki” Prusa] spostrzega, że do gmachu sądowego prowadzą dwie olbrzymie bramy”. Wchodzi przez jedną na dziedziniec, a tam „prąd starożytnych ogarnia go ze wszystkich stron [...] przed sobą widzi zatłuszczony kołnierz, brudny szalik i jeszcze brudniejszą szyję; za sobą czuje zapach świeżej cebuli”. Ma wrażenie, że straci przytomność. „Podnosi oczy do nieba i widzi, że jest we drzwiach. Już, już... zaduszą go... Nagle [...] puste miejsce, uderza głową w czyjeś wdzięki, nie dosyć starannie zasłonięte połą surduta, i – jest w sali”. To westybul. Do niegdysiejszej sali balowej, pełniącej w czasach Prusa funkcję sali rozpraw, idzie po kamiennych schodach. Pomieszczenie z kolumnami „to pokój tak rozległy, że można by w nim

tańczyć we czterdzieści par mazura”. Rzecki rozejrzął się, pociągnął nosem. „[...] woń środkująca między zapachem hiacyntu i starego kitu”.

Po 145 latach, aby przejść tę samą drogę, trzeba wjechać przez drugą z bram i okazać przepustkę. Ewentualnie wejść od strony portierni i odbić kartę pracownika. Z dziedzińca idziemy na reprezentacyjną klatkę schodową, dziś też przesiąkniętą wonią. Trudno powiedzieć, czy to zapach, jaki opisał Prus, ale nie jest niemiły, ma w sobie nutę terpentyny, coś z kurzu i jakby piżmo...

NAJPIERW RADZIWIŁŁÓW

Miodowa, przy której wzniesiono pałac – czytamy w „Ilustrowanym przewodniku po Warszawie” z 1893 – to „jedna z najstarszych ulic poza murami dawnego miasta”, a pierwsze wzmianki o niej pochodzą z XV wieku. Słynęła z „fabryk pierników – »miodowników«, od których »Miodowniczą« się zwała”. Na pewno kilkakrotnie zmieniała nazwę i „po wzniesieniu kościoła OO [jców] Kapucynów [była] »Kapucyńską«, następnie »Napoleońską«, a w końcu utarła się dziś istniejąca nazwa”.

Początkowo zabudowa była drewniana, przemysłowa, oprócz cukierniczych zakładów, browary i mieszczańskie dwory, ale od połowy XVII wieku – zauważa Aldona Bartczakowa w książeczce „Pałac Pacy” –

przeistoczyła się w „jedną z reprezentacyjnych arterii warszawskich”.

Wtedy też zainteresowali się nią dworzanie i w latach 60. XVII wieku działkę graniczącą z kapucynami, kupił Wawrzyniec Braun, lekarz Jana III Sobieskiego. Od niego – Radziwiłłowie i około 1680 należała w całości do Dominika Mikołaja. On zatrudnił niderlandzkiego architekta, Tylmana z Gameraen i według jego projektu powstał barokowy pałac. „Usytuowany w głębi bardzo długiej i stosunkowo wąskiej posesji – pisze Bartczakowa – nieco skośnie w stosunku do ulicy [z bramą od Miodowej], w kształcie kwadratu z czterema silnie wysuniętymi pawilonami na narożach”. Dziedziniec kwadratowy, a po bokach oficyny i oficynki dla służby oraz stajnie od strony klasztoru.

Pałac wśród warszawiaków zyskał miano Radziwiłłowskiego, choć nowi właściciele rzadko zjeżdżali do Warszawy z posiadłości w Wielkim Księstwie Litewskim. W latach 30. i 40. XVIII w., z nastaniem Marcina Mikołaja Radziwiłła, budynek mógł stać się miejscem niecodziennych wydarzeń. Nowy właściciel cierpiał na chorobę psychiczną i do czasu ubezwłasnowolnienia w 1747 r. dokonywał dziwactw i okrucieństw. W swoich posiadłościach na Litwie miał haremy, zafascynowany kabałą i Talmudem otaczał się Żydami i poszukiwał kamienia filozoficznego. Opisała to Kristina Sabaliauskaite, autorka powieściowego cyklu „Silva Rerum”. Być może również podczas

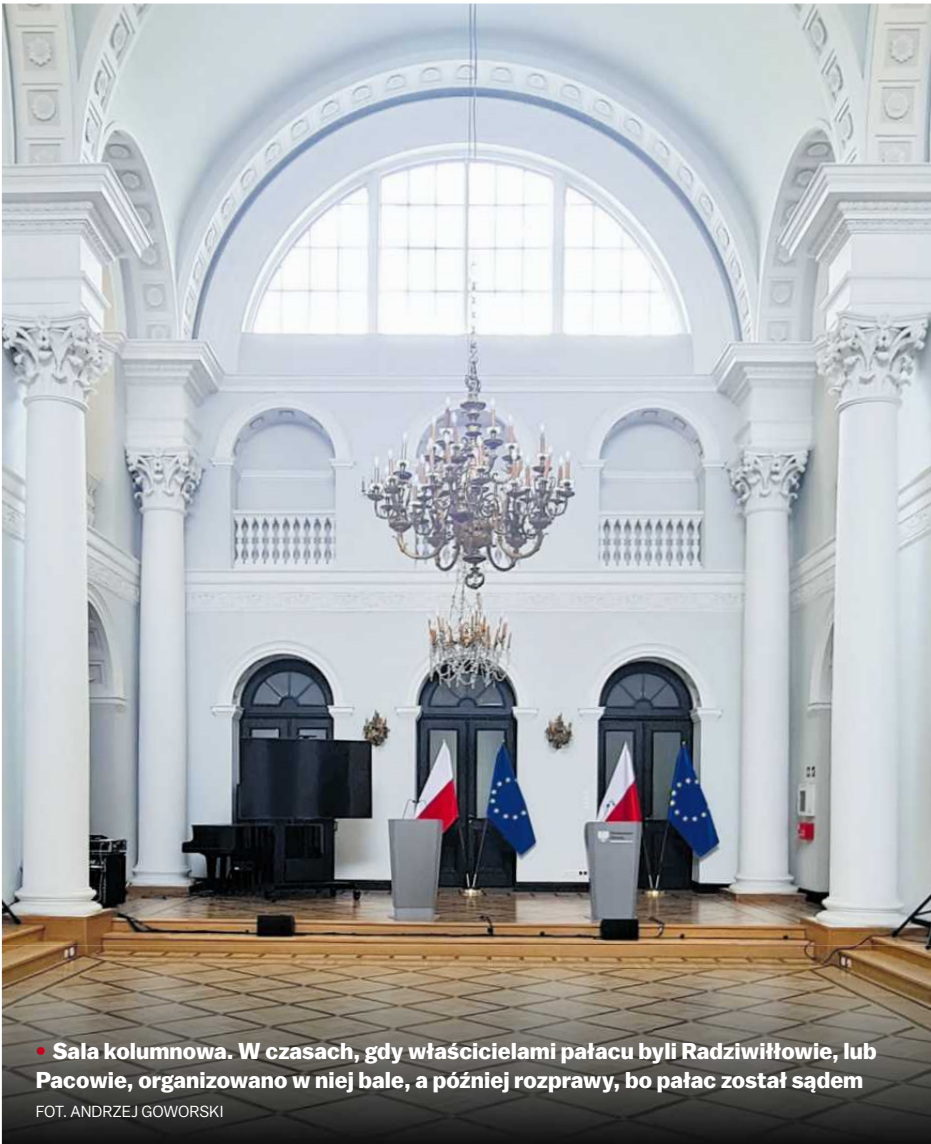
pobytów przy Miodowej Marcin Mikołaj oddawał się swoim „hobby”.

SZAFKA NASIONA KAMYKI

Marcin Mikołaj sprzedał pałac Andrzejowi Stanisławowi Żaluskemu. Działka od strony południowo-zachodniej, gdzie dziś przebiega aleja „Solidarności”, graniczyła z posiadłością Żaluskich i tam Andrzej Stanisław z bratem Józefem Andrzejem utworzyli publiczną Bibliotekę Żaluskich. Możliwe więc, że zamierzali stworzyć większy kompleks i w tym celu rozpoczęli rozbudowę przy Miodowej, zleconą architektowi Jakubowi Fontanie ze Szczuczyna. W 1758 r. Andrzej Stanisław zmarł, posiadłość odziedziczył jego brat, a do niego zapukał Kazimierz Radziwiłł „Rybeńko”, kurator żyjącego jeszcze Marcina Mikołaja, i powołał się na prawo pierwokupu. I tak, w 1759 roku, pałac ponownie przeszedł w ręce Radziwiłłów.

„Rybeńko” zarządził inwentarz, a na liście przedmiotów znalazł się symboliczny obiekt: „szafa niebiesko malowana z szufladami, drzwi w niej połową drewniane, a połową szklane [...] w tej szafie zostaje się różnych rzeczy jako to nasiona kamyki, czym się ta szafa zamknęła i zapieczętowała”. Zdaniem Bartczakowej to pozostałość po dawnych Radziwiłłach.

Kazimierz Radziwiłł przekazał pałac Marcie z Trębickich, żonie chorego psychicznie Marcina Mikołaja, a ta w latach



• Sala kolumnowa. W czasach, gdy właścicielami pałacu byli Radziwiłłowie, lub Pacowie, organizowano w niej bale, a później rozprawy, bo pałac został sądem
FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

60. XVIII wieku wydzierżawiła go Czar-toryskim. Nowi lokatorzy dbali o niego, organizowali liczne bale i przyjęcia, za ich czasów stał się prestiżowym miejscem w Warszawie. Często gościł tu Stanisław August Poniatowski i to jego u bram budynku spotkała niemiła niespodzianka.

KONFEDERACI PORYWAJĄ KRÓŁA

Wieczorem 3 listopada 1771 r. król opuścił pałac przy Miodowej, gdzie odwiedzał chorego wuja Michała Czar-toryskiego. Nie ujechał daleko, kiedy zaatakowali go zbrojni. Rozproszyli eskortę, tylko jeden z królewskich żołnierzy – Jerzy Henryk Butzau – zginął na miejscu; zapamiętajmy to nazwisko. Stanisław August rzucił się do ucieczki, dobiegł do bramy pałacu przy Miodowej i tam go pochwycono. Twierdził później, że uderzono go w głowę płazem szabli i uprowadzono.

Króla porwali konfederaci barscy, którzy zamierzali go dowieźć na Jasną Górę i zmusić, żeby do nich przystał. Nieoczekiwanie jednak zaczęli odłączać się jeden po drugim, rzekomo gubić we mgle, i do młyna w folwarku Ruda na Marymoncie, król dotarł już tylko z 29-letnim Janem Kuźmą. Stanisław August począł nakłaniać porywacza, żeby go puścił. Jednocześnie włościanin z folwarku pobiegł na Zamek Królewski. Rano zjawila się setka żołnierzy i udaremniono porwanie monarchy.

Według teorii XIX-wiecznego badacza Kazimierza Władysława Wóycickiego uprowadzenie było przebiegłym planem samego króla. Stanisław August dał się porwać, miał plan ucieczki i już następnego dnia rozpętał kampanię przeciw konfederatom. W ciągu roku ich pokonał, a stronników, m.in. Kazimierza Pułaskiego czy Michała Jana Paca, zmusił do emigracji. A przy okazji, jak twierdził historyk Jerzy Łojek, zrealizował prywatną wende-

tę. Dzień przed porwaniem miał być przy-lapany przez Butzaua w pokoju jego żony. Zdradzany mąż nie rozpoznał monarchy i uderzył go płazem. Stąd rana na głowie króla. Czy tak było, trudno dociec.

PAŁAC WOLNYCH POLAKÓW

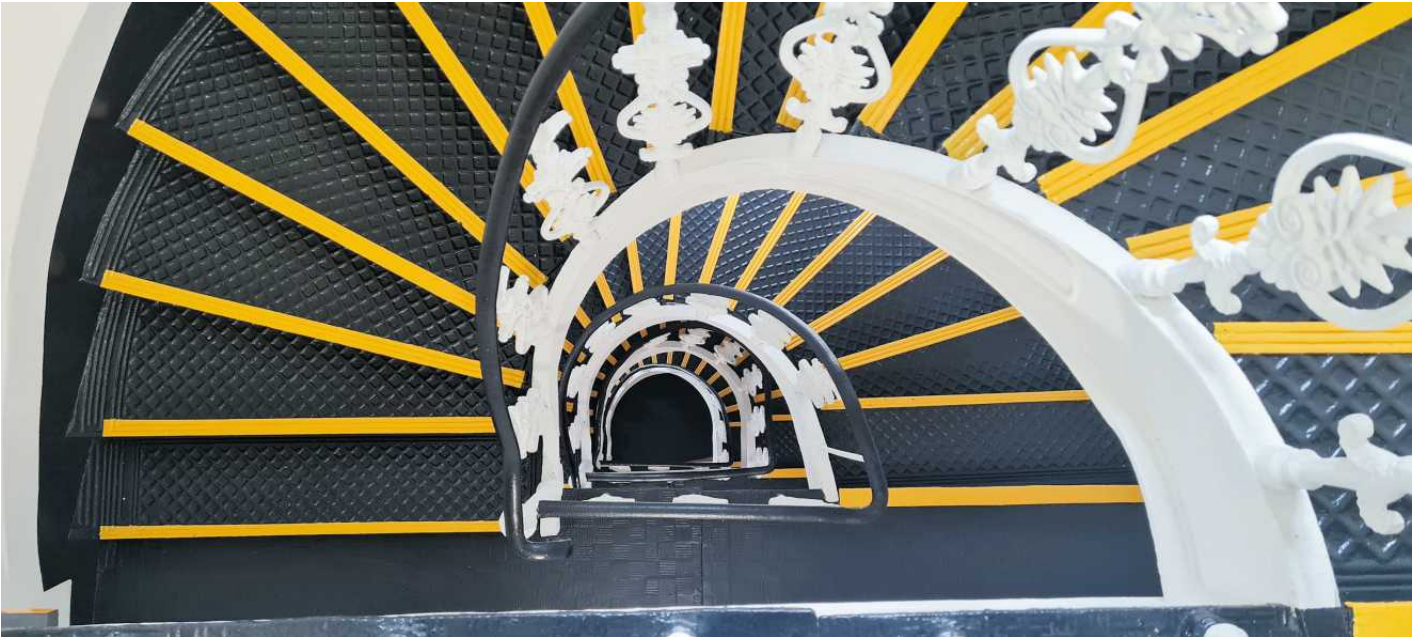
Podczas insurekcji kościuszkowskiej stojący naprzeciwko pałac Młodziejowski-go, siedziba znienawidzonego rosyjskiego ambasadora Osipa Igelströma, mocno ucierpiał. Od 16 do 17 kwietnia 1794 r. szturmował go Jan Kiliński, walki były zaciekle i pałac Radziwiłłów znalazł się w polu rażenia carskich armat. Przeprowadzone później oględziny wykazały, że budynek wymaga pilnego remontu. Ale czasy nie były sprzyjające.

W czasie wojen napoleońskich stacjono-wały tam jeszcze wojska, a później oficyny strawił pożar. Dach przeciekał, okna zabito deskami, choć sam pałac za czasów Mi-chala Gedeona Radziwiłła odegrał jeszcze ważną rolę. Wydarzenie dotyczy poety Seweryna Goszczyńskiego, a opisał je histo-ryk literatury Józef Treliak (1841-1923):

„Scena uroczystego wprowadzenia Goszczyńskiego i Zaleskiego [Józefa Bohdana, także romantyka] do Związku Wolnych Polaków [tajna organizacja patriotyczna, członkowie nawoływali do walki z Rosją] odbyła się w początkach 1821 roku, w starym pałacu Radziwiłłow-skim, a później Paca, przy ulicy Miodo-wej [...]”.

Przyjęcie do Związku opisał też sam Goszczyński w wierszu „Rejtan. Widzenie”:

*W głuchym, bezludnym gmachu Radziwił-lów,
Co leżał jak trup wśród pleśni i pyłów,
Któreimi pustek odziały go lata,
Kryje się ciemna, ustronna komnata –
A w niej na schadzke związkową zebrana,
Wolnych Polaków chorągiew Rejtana.
Cisza i nagość w tajemnej komnacie;
Tylko milczących związkowych postacie,
W czarnej odzieży, z twarzą pod kapturem,
Przykute do ścian półkulistym chórem,
Czarnych posągów rzędem być się zdały –
Godło grobowej wiecznej tajemnicy,
Stała na stole Chodkiewicza głowa;
Trzy lampki słabem światłem z niej błyskały,
Trzy zorze w bytu polskiego ciemnicy –
Przedemną leżał nagi miecz przysięgi [...].*



• Kręte, żeliwne schody w lewym ryzali-cie, pomalowane są dziś na czarno-żółto i wyglądają jak wielka salamandra
FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

Gdzie ta komnata? Być może na piętrze, gdzie miał gabinet ostatni z tutejszych Radziwiłłów, Konstanty, minister zdrowia w latach 2015-18.

WART PAC PAŁACA...

W 1824 r. pałac kupił Ludwik Pac, napo-leoński adiutant i generał w Księstwie Warszawskim, a przy tym miłośnik kultury angielskiej. Jego przodkowie byli w XVII wieku najpotężniejszym rodem na Litwie. Przekonywali, że wywodzą się od florenc-kich Pazzich, którzy w herbie mieli dwa delfiny i stąd, także w pałacu przy Miodo-wej, w ornamentyce znajdziemy parę tych ssaków. Paców należy jednak wywodzić od Paca Dowkszewicza, XV-wiecznego kaszte-lana trockiego, który, zdaniem unity Me-letiusza Smotriskiego, był prawosławnym bojarem. Wątek ten podjął Puszkina i frazę z Mickiewiczowskich „Trzech Budrysów”:

Trzy wyprawy na świata trzy strony:
/ Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
/ A książdz Kiejstut napadnie Teu-tony – przełożył jako: Pac idzie na Polaków,
Olgierd na Prusaków, a na Ruskich Kiej-stut-wojewoda.

Europejskość Paców odzwierciedlała się w ich budowlach i nie bez kozery ukuto po-wiedzenie „Wart Pac pałaca, a pałac Paca”. Pierwotnie nie miało ono prześmiewczego wydźwięku i wiązało się z rodową siedzibą, wzniesioną w połowie XVII wieku w Jeznie pod Kownem.

Jest i drugie, mniej znane powiedzenie, które lepiej pasuje do siedziby Minister-stwa Zdrowia. Wiąże się z nadwornym medykiem Poniatowskiego Stanisławem Pacem: „Pac ma mieszkać w Pałacu, a nie w Satanowie”, czyli w osadzie na Ukrainie. Ów Pac żył 123 lata i został zapamiętany jako lekarz króla i ubogich.

Ostatni właściciel pałacu jako żołnierz francuski nie mógł w pełni korzystać ze spadku i dopiero po carskiej amnestii w 1815 r. wrócił do kraju. Do posiadłości na Suwalszczyźnie sprowadził osadników z Wysp Brytyjskich, czego śladem jest miej-scowość Szkocja. Nieopodal, w Dowspu-dzie, znajdują się ruiny jego neogotyckiego pałacu, który wznosił Henryk Marconi, uta-lentowany włoski architekt, twórca wielu polskich gmachów. Pałac na Suwalszczyź-nie powstawał z myślą o żonie Paca, Karoli-nie Michałowskiej. Tuż po ślubie rozpozna-no u niej gruźlicę i – wedle pamiętnikarki Natalii Kickiej – „kochająca i wykształcona żona” zmarła w Wigilię 1822 r. Zakup pałacu przy Miodowej 15 mógł być dla Paca ucieczką od wspomnień.

Pac zatrudnił do jego przebudowy sprawdzonego w Dowspudzie Marconiego. Architekt nie tylko domknął w jedną bryłę budynek i oficyny w stylu klasycystycznym, ale też gruntownie zmienił układ pomiesz-czeń, powstały nowe sale, m.in. wspomnia-na kolumnowa, pokój grecki, sala kaseto-nowa, gotycka czy mauretańska, w której ornamentyka jednoznacznie odwołuje się

do meczetu. Sklepienie wsparto na smukłych kolumnienkach, na fryzie umieszczono cytaty z Koranu i sala służyła jako łazienka. Zdobnym elementem pałacu stały się nawet pomniejsze kręte, ażurowe, żeliwne schody w lewym ryzalicie, czyli występie na wysokość elewacji. Dziś, pomalowane na czarno i żółto wyglądają jak wielka salamandra. Przebudowano też bramy tak, aby gmach optycznie wydawał się równoległy do ulicy. Wtedy też powstały charakterystyczne płaskorzeźby – medaliony i antykizowany fryz Ludwika Kauffmana.

Pac wieść o wybuchu powstania listopadowego 1830 r. uznał za niepoważną i poszedł spać. Ale niebawem zastukano do jego bram i niemal z łóżka wszedł do Rady Administracyjnej. Do 3 grudnia pełnił funkcję naczelnego dowódcy; zastąpił go Józef Chłopicki. Potem wspierał powstanie finansowo, a w maju 1831 r. walczył pod Ostrołęką. Zanim na zawsze wyjechał za granicę, przekazał część kolekcji obrazów na przechowanie malarzowi Antoniemu Blankowi. Po klęsce władze carskie skonfiskowały pałac przy Miodowej.

ZAPLECZE GUBERNATORA

W „Kurjerze Warszawskim” z 16 lutego 1847 r. czytamy, że w „pałacu Paca” niejaki Adolf Michault prowadzi „Gabinet Topograficzny i Dewifitryfikacyjny”, a widz, zapłaciwszy za bilet „zł. 1 gr. 5”, otrzyma „Jakikolwiek z przedmiotów przytomności zrobiony gratis”; najprawdopodobniej chodziło o brylki szkła.

A równocześnie carskie władze kontynuowały wywożenie „znajdujących się [tam] dzieł sztuki, przede wszystkim kolekcji rzeźb antycznych”; było to ponad sto artefaktów „na ogół hellenistycznych” lub „przeważnie z okresu cesarza Hadriana”, pisali historycy sztuki. Zarekwirowano też obrazy, których Pacowi nie udało się ukryć, w „Katalogu wystawy obrazów muzeum sztuk pięknych w Warszawie nabytych po zamknięciu Muzeum w Pałacu Paca” (1876) znajdziemy listę ponad 40 płócien, m.in. Bacciarellego. Część Rosjanie wywieźli do Moskwy i Petersburga, ale nie udało rozkradli też carscy oficerowie.

Dziś o zbiorze Paca mówi się jak o najbardziej rozproszonej kolekcji magnackiej. Część obrazów przechowywana przez Chłopickiego oraz rzeźb trafiła ostatecznie do Muzeum Narodowego w Warszawie, ale to tylko fragment kolekcji z pałaców przy Miodowej 15 i w Dowszpudzie.

W 1848 r. Rosjanie wynieśli z pałacu resztę drogocенności i nie zważając na freski, zaczęli przebiegać drzwiami i wstawiać ściany, aby budynek przysposobić na siedzibę Rządu Gubernialnego Warszawskiego, czyli zaplecza gubernatora. Zachowali najbardziej reprezentacyjne pomieszczenia i w sali kolumnowej jak dawniej organizowano bale. Po 1875 r. znów pałac przybudowano, powstało aż 230 pokoi mieszczących sąd okręgowy. Równocześnie i inne gmachy wokół placu Krasieńskich oraz ulic Długiej i Miodowej wykorzystano na potrzeby wymiaru sprawiedliwości. Z tego

czasu pochodzi powiedzenie – Warszawa to miasto sądów.

PODNIESIONY Z RUINY

Rosjanie w 1915 r. opuścili stolicę, weszli Niemcy, a sąd przy Miodowej 15 pozostał. Trwał tam i w wolnej Polsce, stając się sceną najgłośniejszych procesów międzywojnia.

W „Gazecie Warszawskiej” z 30 grudnia 1922 r. czytamy: „Godz. 9 rano. Przed bramą gmachu Sądu okręgowego przy ul. Miodowej posterunek policyjny [...]. Cały gmach obsadzony policją. [...] Na korytarzu pełno policji [...] Przed wejściem do zamkniętej na razie sali rozpraw trzykrotnie zatrzymuje nas policja dla sprawdzenia biletów wejścia”. Ówczesne gazety prześcięgały się w opisach i dalej jest o

„wygolonej twarzy uczonego [i] łagodnych oczach” Eligiusza Niewiadomskiego, bo to on, zabójca Narutowicza, był sądzony i skazany na śmierć w sali kolumnowej pałacu.

Emocjonujących postępowań było więcej, 26 października 1931 roku rozpoczął się tam tzw. proces brzeski. Wśród oskarżonych tuż świata politycznego na czele z Wincentym Witosem. I to on dał się uwiecznić na tle drzwi do sali kolumnowej. Później sądzono tam Justynę Budzińską-Tylicką, lekarkę, twórczynię poradni świadomego macierzyństwa, którą obwiniono o pobicie policjanta na demonstracji. W „Dzienniku Bydgoskim” w relacji z procesu opisano salę sądową: „Architektura jej jest bardzo piękną, o podwójnej kolumnadzie i jasnym a nierażącym oświetleniu. Wywieira ona niemal kościelne wrażenie i wywołuje poważny nastrój”.

Podczas okupacji w pałacu niezmiennie znajdował się sąd cywilny i karny. Dopiero powstanie warszawskie dopisało dramatyczną kartę w historii budynku. Bartczakowa: „W głównym korpusie zawaliła się partia środkowa, a od strony ogrodu został rozbity prawy [...] ryzalit z salą Gotycką. Wszystkie wnętrza zostały zniszczone, sklepienie w Sali Kolumnowej zawaliło się [...]”. Ocalała jedynie fasada od strony dziedzińca. Wielkim zniszczeniem uległy skrzydła boczne [...] Stosunkowo najlepiej zachowała się brama od ulicy Miodowej”.

W 1946 r. w Biurze Odbudowy Stolicy zapadła decyzja o wskrzeszeniu pałacu, politycy zaplanowali, że będzie siedzibą Ministerstwa Zdrowia. Architekci postanowili przywrócić go w stylu klasycystycznym à la Marconi, fronton od strony ogrodu zaś – według projektu z XVII wieku. Roboty ruszyły w 1947 r. i według Bartczakowej „prace wykonano bez zarzutu”, choć pewnie można dopatrzeć się niedociągnięć, np. w sali mauretańskiej arabskie lityery zostały przypadkowo odwrócone, gdzie indziej powstawiano kaloryfery do kominkowych wnęk. Mimo to efekt był zadowalający – pałac ożył. Od tamtego czasu budynek nieprzerwanie jest siedzibą resortu zdrowia – we wnętrzach znów pojawiły się budowki z dykty, gdzie bułgocze czajnik, brzdęka mikrofalówka i kroi się sernik. Ponoć są plany, żeby to zmienić. ●

Wczoraj, czyli dziś

Kłopot z królową wdową

1 lutego 1556 roku królowa Bona wyjechała z Polski do Bari.

Syn zamierzał ją po drodze ograbić.

Maciejewska



Orszak wyruszył w środę, pisarz skarbowy Rafał Wargowski donosił królowi Zygmuntowi Augustowi: „WKM oznajmuję, iż jako dnia dzisiejszego Królowa Jej Mość o ósmej na półzegarze, mszy śpiewanej wysłuchawszy, raczyła wyjechać”.

Córki ją pożegnały z płaczem, syna nie było.

CHYTRY PLAN KRÓLA

Zygmunt August, owszem, martwił się, jak i elita Rzeczypospolitej, bo Bona zgromadziła duży majątek, więc zatroskani patrioci liczyli, ile może wywieźć. Nic to, że wcześniej oddała synowi w zarząd swoje dobra i wywoziła tylko ruchomości. Ale wyobraźnia plotkarzy wydłużyła jej karawanę do rozmiarów złotego pociągu wyładowanego skarbami, jakich oko ludzkie nie widziało.

Bona wywoziła do Bari swoje pieniądze i klejnoty, o czym syn cierpiący na notoryczne pustki w skarbcu doskonale wiedział i uznał za swoją stratę. W 1553 roku pisał do Mikołaja Czarnego Radziwiłła, że matka za pośrednictwem swego dworzani, Gian Lorenza Pappacody (w przyszłości mordercy Bony) wysłała do Włoch „16 tysięcy portugalów, a trzy tysiące czerwonych i jakąś zapone”, sugerując, że można by ten ładunek przejąć. „Przeto iż ten Włoch z tymi pieniędzmi przez Wrocław jedzie, mógłby Twoja Miłość o tym pomyśleć, jakoby tam w państwie króla Jego Mości Rzymskiego ten Włoch zahamowany być mógł, aby się jednak tym Włochom za tym obyczajem to wynoszenie pieniędzy uprzykrzyło i zahamować mogło”.

Zygmunt August martwił się jednak, czy cenna przesyłka nie wpadnie w ręce Habsburgów („tedyby temu lepiej dać spokój”) i czy matka dowiedziawszy się o gangsterskiej akcji syna nie zaimponuje się niekorzystnymi dla niego zapisami testamentowymi („aby to wszystko ku innym, a nie naszym ręką przyszło”), więc Pappacoda dojechał jednak do celu.

WDOWI LOS

Bona miała oficjalnie wyjechać dla przeprowadzenia kuracji antyreumatycznej w źródłach siarczanych Abano koło Padwy, ale i tak sensacja była wielka. Królową próbowali powstrzymać senatorowie i biskupi, w tym biskup Andrzej Zebrzydowski, perswadując, że wód ci u nas dostatek. Bona złośliwie wytknęła Zebrzydowskie-

mu, że nie zamierza słuchać człowieka, który biskupstwo sobie kupił. Zebrzydowski odparł cynicznie, że kupił (od Bony), bo było na sprzedaż i pertraktacje utknęły w martwym punkcie. Królowa oświadczyła, że i tak pojedzie, a „rada ujrzę, kto mię hamować będzie”.

Nie wywoziła nic kradzionego. Wdową została w 1548 roku, ale na emeryturę nie przeszła, cały czas pracowała nad pomnożeniem zysków ze swoich dóbr na Mazowszu, które zostawiała w kwitującym stanie swojemu synowi (żeby wyjechać, musiała oddać ich zarząd). Nic to nie pomogło, niechęć poddanych do królowej lub zazdrość albo chciwość były silniejsze.

Teoretycznie wszystkie wdowy ze stanu szlacheckiego miały zabezpieczenie finansowe, nie tylko w postaci posagu, ale także prawa do dożywotniego dysponowania wszystkimi dobrami zmarłego męża, w tym nieruchomościami. W sprawach majątkowych posiadały dużą swobodę, mogły same wykupywać zastawy, dzierżawić dobra, spłacać długi i przed sądami zazwyczaj występowały same.

MARYSIENKE TEŻ SPONIEWIERALI

W praktyce różnie bywało, a problemy, z którymi przyszło się borykać owdowiałej Bonie, dotknęły także Marysienkę Sobieską. Wdową została mając 55 lat i w tym stanie przyszło jej przeżyć dwie dekady. Sympatią poddanych się nie cieszyła i gdyby ceremonia Sati praktykowana była nad Wisłą, z pewnością zbudowano by wysoki stos.

Im bliżej było do elekcji, tym energiczniej przeciwnicy królowej wdowy próbowali się jej pozbyć z Warszawy, żeby nie wpłynęła na wybór: „lepiej pójść sobie do klasztoru pokutować za grzechy, Panu Bogu służyć i na tę koronę zarobić w niebie”.

Znacznie rzadziej wspomniano o wyjeździe z kraju, posądzając ją o to samo, co Bonę: że wywiezie skarby z Polski. Porównywano ją do Włoszki, pisano o chciwości. W satyrycznym dialogu z synem Jakubem, Maria Kazimiera mówi: „Jakoż to było myśleć o zmarłym, kiedy żywy appetit do skarbów i pieniędzy suszył moje serce, musiała tedy pobożna myśl o umarłych ustąpić”.

Rozpowszechniano list króla Jana z czyścica, w którym zaświadcza, że cierpi za grzechy, do których namówiła go królowa, na przykład za zamachy na wolność szlachecką czy sprzeniewierzenie publicznych pieniędzy. Z góry też widzi, że sama Marysienka ciężkie przewiny ma na sumieniu (na przykład niewierność małżeńską), a jako wdowa zachowuje się niegodnie: sprowadza z Paryża niestosowne stroje i żalobę już porzuciła. Prosi więc ją, aby uspokoiła Rzeczpospolitą, wyjeżdżając do Rzymu, gdzie powinna błagać Boga o przebaczenie.

Wyjechała trzy lata po śmierci Sobieskiego, dochody czerpała z dwóch źródeł – posiadłości ziemskich w Polsce i kapitałów ulokowanych na procent w Paryżu – a problemy finansowe miała do końca życia. ●

Beata Maciejewska
– historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

80. rocznica konferencji w Jałcie

Świat wraca do polityki siły

Wizja nowej Jałty wydawała się dawno pogrzebana. Aż do powrotu do Białego Domu Donalda Trumpa

Machcewicz

Mija 80. rocznica konferencji w Jałcie, która w polskiej pamięci przywołuje jak najgorsze wspomnienia. W lutym 1945 roku prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt i premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill zaakceptowali większość żądań Stalina co do podstaw powojennego ładu, a przede wszystkim odnośnie do przyszłości Polski. W naszej narodowej mitologii Jałta stała się symbolem zdrady Zachodu.

Aż trzęsało! Targu dobili i gwałtu: Raz Teheranem w leb, drugi raz Jałtą I kraj rozcięli, jak przedtem z dwu stron

– napisał Kazimierz Wierzyński. W rzeczywistości prawda o jałtańskiej konferencji była bardziej złożona. Nie dokonano na niej formalnego podziału Europy i świata na strefy wpływów. Raczej usankcjonowano fakt, którego nawet najtwardsze stanowisko zachodnich przywódców nie mogło zmienić: Armia Czerwona zajęła już wtedy niemal całe terytorium Polski i większą część Europy Środkowo-Wschodniej i żadna siła nie mogła jej stamtąd usunąć. Roosevelt i Churchill zgodzili się, by podstawą przyszłego polskiego rządu był ten utworzony w kraju przez komunistów; miał być tylko uzupełniony o „demokratycznych” polityków z kraju i emigracji.

Nie zdołali też narzucić Stalinowi międzynarodowej kontroli zaplanowanych w Polsce wyborów. Oznaczało to de facto zgodę na przejęcie władzy przez sterowanych z Kremla komunistów, choć Roosevelt ludził się, że radziecki dyktator zgodzi się na zachowanie nad Wisłą politycznego pluralizmu i odrębności od stalinowskiego modelu ustrojowego.

W Jałcie zachodni alianci potwierdzili też i doprecyzowali ustalenia z wcześniejszej konferencji w Teheranie: o przesunięciu granic Polski kilkaset kilometrów na zachód, oddaniu Związkowi Radzieckiemu polskich ziem wschodnich i rekompensacie dla Polaków w postaci przyłączenia terenów należących do Niemiec.

Roosevelt próbował przekonać Stalina do pozostawienia po stronie polskiej Lwowa i drohobyckiego zagłębia naftowego. Wobec oporu generalissimusa szybko jednak odstąpił od tego postulatu.

O ile granica wschodnia Polski została precyzyjnie ustalona, o tyle kwestię tej zachodniej pozostawiono w zawieszeniu, do rozstrzygnięcia w późniejszym okresie. Jeszcze bardziej uzależniało to władze w Warszawie (bez względu na ich barwy polityczne) od Stalina.

Na Krymie nie było ani przedstawicieli legalnego rządu RP w Londynie, wciąż uznawanego przez Waszyngton i Londyn, ani przywódcy ludowców i byłego premiera Stanisława Mikołajczyka, traktowanego przez Roosevelta i Churchilla jako główny partner po stronie polskiej. Nikt z nimi nawet nie



• Władimir Putin i Donald Trump przed szczytem w Helsinkach 16 lipca 2018 roku

FOT. KREMLIN PRESS
OFFICE /ANADOLU
AGENCY/GETTY
IMAGE

konsultował pozycji negocjacyjnych zachodnich przywódców czy ostatecznych ustaleń w sprawie Polski. Jałtę odrzucili polscy politycy na emigracji (poza Mikołajczykiem i jego zwolennikami), ale po pewnym czasie także Republikanie w Stanach Zjednoczonych. W apogeum zimnej wojny, na przełomie lat 40. i 50., domagali się unieważnienia przyjętych tam postanowień i oskarżali Demokratów (których reprezentował Roosevelt) o zgubną ustępliwość wobec Sowietów.

Konferencje Wielkiej Trójki w Teheranie, Jałcie i Poczdamie odbywały się według logiki koncertu wielkich mocarstw: decyzji podejmowanych arbitralnie przez ich przywódców, ponad głowami mniejszych państw i narodów. Z dzisiejszej perspektywy – po upadku Związku Radzieckiego i powstaniu nowego porządku światowego, po zakończeniu zimnej wojny – może się wydawać, że to już tylko złe wspomnienie i przestroga dla potomnych, a szczególnie rozstrzygnięć podejmowanych przez alianckich przywódców powinny interesować tylko historyków. Nic bardziej mylnego.

Do Jałty jako pozytywnego przykładu i wzoru postępowania dla współczesnych mocarstw uparczywie powraca nie kto inny jak Władimir Putin.

W trakcie posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego ONZ we wrześniu 2015 r., a więc już po pierwszej agresji na Ukrainę, zajęciu Krymu i części Donbasu, przedstawiał krymską konferencję jako godny naśladowania model rozwiązywania spornych kwestii w stosunkach międzynarodowych. Prezydent Federacji Rosyjskiej twierdził, że system stworzony w Jałcie pozwolił „ludzkości przejść przez burzliwe i niekiedy dramatyczne wydarzenia ostatnich siedmiu dziesięcioleci. Ocalił świat przed wielkimi katastrofami”.

W czerwcu 2020 roku Putin opublikował obszerny esej poświęcony historii XX wieku, a przede wszystkim II wojnie światowej. Zrobił to na łamach prawnicowego amerykańskiego portalu The National Interest, wyraźnie adresując swój manifest do zachodniego odbiorcy. Przekonywał, że Stalin, Roosevelt i Churchill „reprezentowali kraje o różnych ideologiach, aspiracjach państwowych, interesach i kul-

turach, ale wykazali się wielką wolą polityczną, wzniesli się ponad sprzeczności i własne preferencje i postawili na pierwszym planie prawdziwe interesy światowego pokoju”. Stworzyli system, który pozwolił rozwiązywać na drodze negocjacji konflikty interesów między mocarstwami i uniknąć kolejnej wojny światowej. Putin wezwał do odnowienia tej współpracy i zaapelował do przywódców Stanów Zjednoczonych (Donalda Trumpa w czasie jego pierwszej prezydentury), Chin, Wielkiej Brytanii i Francji do spotkania na szczycie i rozstrzygnięcia wszystkich spornych kwestii.

Odwolywanie się do Jałty i innych konferencji Wielkiej Trójki służyło przypominaniu o mocarstwowej pozycji Rosji, tej z 1945 roku i odbudowanej współcześnie pod rządami Putina. Było zaproszeniem do zaspokojenia rosyjskich aspiracji, tak jak uczynili to u schyłku II wojny światowej Roosevelt i Churchill – poprzez sprawdzoną formułę „koncertu mocarstw”. Pełnoskalowa agresja na Ukrainę w lutym 2022 roku była między innymi reakcją na odmowę zachodnich mocarstw działania według tego schematu.

Żądania Putina przedstawione w grudniu 2021 roku, by Ukraina pozostała w rosyjskiej strefie wpływów, a NATO de facto wycofało się z Polski i innych krajów, które albo były częścią ZSRR (państwa bałtyckie), albo były jego satelitami, nie zostały spełnione. Rosyjskie czołgi ruszyły na Kijów.

Zamiast nowej Jałty przyszła nowa zimna wojna między Zachodem a Rosją. Historyk dostrzeże wyraźne analogie między pierwszym okresem konfrontacji państw zachodnich i Związku Radzieckiego w drugiej połowie lat 40. a tym, co nastąpiło współcześnie w reakcji na nową agresję Putina.

Po zakończeniu II wojny światowej demobilizacja armii amerykańskiej i wojsk innych państw zachodnioeuropejskich postawiła demokratyczne państwa w pozycji militarnej słabości wobec Imperium Radzieckiego, zwłaszcza na naszym kontynencie.

Odpowiedzią na kolejne ekspansywne poczynania Stalina były zbrojenia i mozolny proces odbudowy stanów liczebnych armii, tak samo jak dzieje się dzisiaj. Putin zapewne nie

sądził, że Zachód tak silnie zaangażuje się we wspieranie Ukrainy, a odpowiedzią na agresję będzie nie kapitulacja albo przynajmniej pogodzenie się z faktami dokonanymi, ale swego rodzaju powtórka z polityki „powstrzymywania” Związku Radzieckiego i komunizmu proklamowanej w 1947 roku.

Wizja nowej Jałty wydawała się na dobre pogrzebana. Aż do powrotu do Białego Domu Trumpa, który wszystko może zmienić. W czasie jego pierwszej kadencji, kampanii wyborczej i pierwszych dni drugiej prezydentury wielokrotnie twierdził, że najlepszym sposobem na rozwiązywanie konfliktów jest siła. Jeżeli ma dochodzić do negocjacji, to tylko między „wielkimi tego świata”. Mniejsi gracze mają się podporządkować.

Brytyjski tygodnik „The Economist” nazwał Donalda Trumpa „pierwszym imperialistycznym prezydentem po z górą stu latach”. Poprzednim był William McKinley, do którego zresztą Trump wprost się odwołuje. Pod koniec XIX wieku przyłączył do Stanów Zjednoczonych Hawaje, Guam oraz – po pokonaniu Hiszpanii – Puerto Rico i Filipiny. Trump domaga się aneksji Kanady, Grenlandii i Kanału Panamskiego, nie wykluczając użycia siły. Jeżeli nawet skończy się tylko na groźnych zapowiedziach, to i tak osłabiają one porządek międzynarodowy, a przynajmniej tę jego wizję, która opiera się na prawie, a nie na dominacji. Legitymizują przy tym retorykę Putina wobec Ukrainy i Europy Środkowo-Wschodniej, w odniesieniu do których rosyjski satrapa również mówi o rzekomo uzasadnionych interesach i względach bezpieczeństwa własnego kraju.

Trump, w przeciwieństwie do Putina, o konferencji w Jałcie zapewne nigdy nie słyszał, ale logika jego polityki może go poprowadzić w tę samą stronę, nawet jeżeli dzisiaj nie wiemy, jakie konkretnie działania wobec wojny w Ukrainie podejmie.

Paradoksem jest, że Roosevelta motywował idealizm (który można uznać za naiwność), wiara, że w zamian za ustępstwa Zachodu – także w sprawie Polski – Stalin wprowadzi Związek Radziecki do Organizacji Narodów Zjednoczonych, która dzięki temu stanie się skutecznym narzędziem międzynarodowej współpracy i unikania wojen.

Trump deklaruje przeciwstawne podejście: imperializm i apologię siły, pogardę dla prawa. Efekty mogą być jednak podobne, jeżeli o losach Ukrainców będzie rozstrzygać „nowa Jałta”: rozmowy mocarstw bez udziału najbardziej zainteresowanych.

Roosevelt i Churchill byli przekonani, że w trakcie krymskiej konferencji bronią interesów Polski, starają się dla niej uratować to, co możliwe do osiągnięcia w tamtej sytuacji, a Polacy mogą w tym tylko przeszkadzać. Historia nigdy nie powtarza się w ten sam sposób, ale nie powinniśmy ignorować przestróg, które niesie. ●

Prof. Paweł Machcewicz, historyk, profesor w ISP PAN, w latach 2000-06 dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN, współtwórca i w latach 2008-17 pierwszy dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, Ostatnio opublikował (wraz z Andrzejem Paczkowskim): „Wina, kara, polityka. Rozliczenia ze zbrodniami II wojny światowej” (2021).



Lubicie wstawać o 6 rano? Hmm... Pytanie raczej z gatunku retorycznych. Cóż jednak zrobić, kiedy natrętny budzik przypomina, że jest robota do zrobienia. Niby budzi cię całkiem fajny rytm, „I Got You Babe” Sonny’ego i Cher, niby jesteś w miłym, przytulnym pensjonacie, masz fajną pracę, z perspektywami na pracę jeszcze fajniejszą, i jesteś dość popularny i lubiany, ale...

No generalnie wolałbyś być gdzie indziej, i marzysz tylko o tym, by z tego przytulnego pensjonatu co prędzej czmychnąć z powrotem do domu.

Tak się jednak składa, że choć zrobiłeś już swoje i zasuwasz samochodem w kierunku upragnionej „wolności”, zatrzymuje cię zła pogoda. Której w dodatku nie zapowiadałeś, bo zgodnie z wygłoszoną przez ciebie prognozą, śnieżyca miało wcale nie być.

Ale jest, więc musisz wrócić do miłego pensjonatu i spędzić tam noc. Rano budzik znów atakuje cię o godzinie 6. A potem z głośnika płyną znane dźwięki przeboju Cher i Sonny’ego Bono. Nie, to nie jest przypadek, radiowy DJ nie poszedł na łatwiznę i nie zapętlil set listy z poprzedniego dnia. Zapętlony został cały dzień, 2 lutego. I teraz już ciągle przeżywać będziesz Dzień Świstaka w miasteczku Punxsutawney w stanie Pensylwania.

Oczywiście mowa o „Dniu Świstaka”, przepyszonej komedii z 1993 roku z Billem Murrayem w roli bucowatego prezentera pogody, któremu przyszło codziennie na nowo przeżywać wspomniane święto, które tradycyjnie w USA i Kanadzie celebruje się 2 lutego.

Zasada jest prosta – świstak Phil, mieszkający w Punxsutawney właśnie, wywabiany jest tego dnia ze swej norki. Jeśli zwierzę zobaczy swój cień i na powrót zapakuje się do legowiska, oznacza to, że czeka nas jeszcze 6 tygodni zimy. Jeśli jednak Phil cienia nie ujrzy, zwiastuje to rychłe nadejście wiosny.

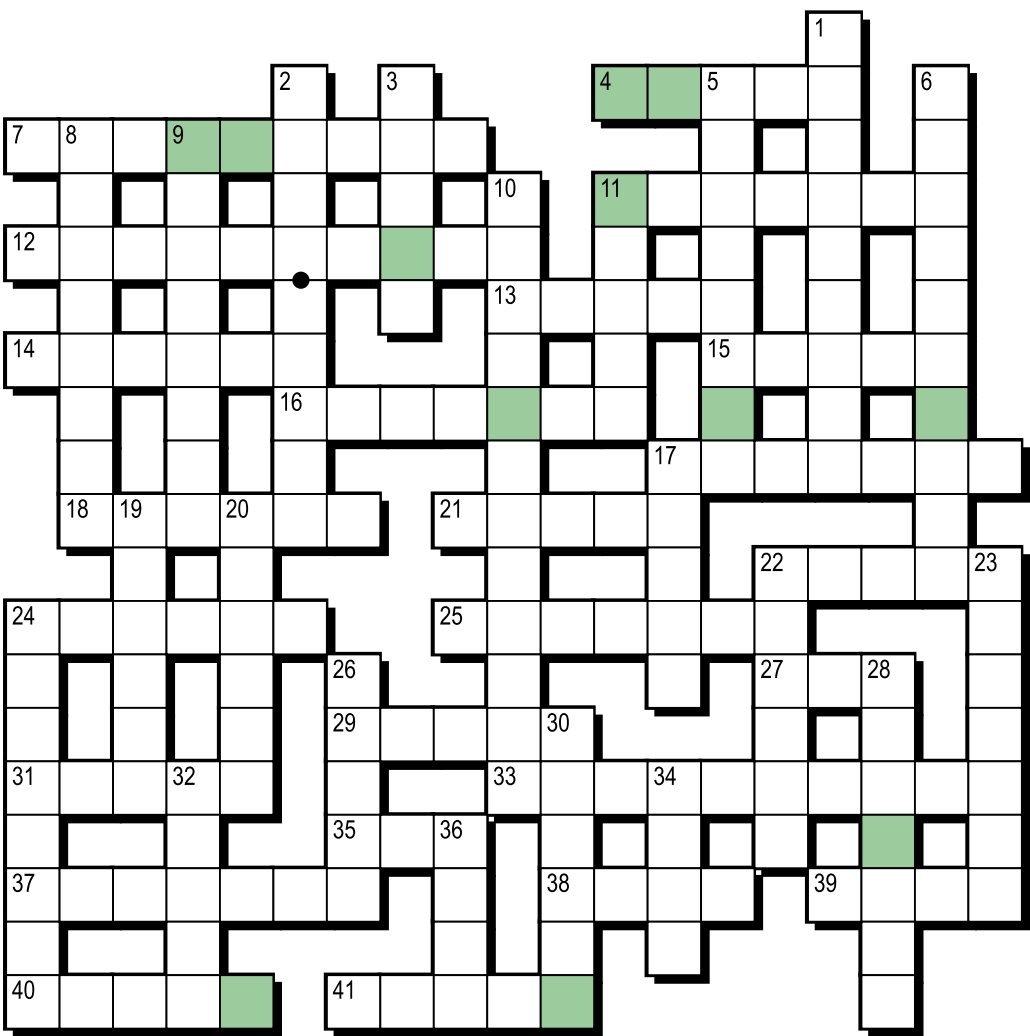
Tradycja wypatrywania zwierzęcej reakcji pochodzi od imigrantów z Niemiec, którzy osiedlili się w Pensylwanii. To oni obchodzili tzw. *Dachstag*, czyli Dzień Borsuka. Ów borsuk miał działać na tej samej zasadzie, co świstak – zobaczy swój cień – dłuższa zima, nie zobaczy – szybsza wiosna.

Dzień Świstaka, po angielsku Groundhog Day, po raz pierwszy odbył się w Punxsutawney w 1887 roku. Od tego czasu Phil (rzecz jasna nie ten sam) swój cień ujrzal 107 razy, 21 razy nie ujrzal, zaś z 10 lat rezultaty świstakowej (świstaczej?) prognozy nie zachowały się.

Meteorolodzy szacują, że przepowiednie Phila sprawdzają się w ok. 40 procent przypadków, czyli równie dobrze, a nawet lepiej, jest rzucić monetą na pytanie, czy wiosna przyjdzie prędzej. W ostatnich 10 latach Phil ma sprawdzalność 3/10, za to godne podkreślenia jest, że ostatnia jego prognoza się sprawdziła – nie zobaczył cienia, a wiosna przyszła wcześniej.

Ale nie o sprawdzalność przewidywań zwierzaka przecież idzie, a o pretekst do zabawy. A dla nas Dzień Świstaka jest pretekstem, by dzisiajszą „Weekendówkę” poświęcić wszelakim gryzoniom. Nieważne, czy obdarzonym profetycznymi umiejętnościami.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 139
z 25.01:

Poziamo:

- 4) siłownia, 7) bobsleje, 9) żagiel, 11) saneczkarze, 13) dni, 14) Alpy, 15) relacja, 16) narciarze, 17) bandy, 20) panczenista, 21) muzyka, 23) sztafeta, 25) Sarajewo, 28) Korea, 29) reggae, 30) Bródka, 31) curling, 33) mecz, 35) hokeiści, 37) Planica, 39) biegnięcie, 40) piruety.

Pionowo:

- 1) alpejczy, 2) deska, 3) short-track, 4) Szwedzi, 5) łyżwiarki, 6) wygrane, 8) biathlon, 10) Espen, 12) próba, 18) upadek, 19) Salt Lake City, 22) tor, 23) Stanley, 24) Turyn, 26) Radke, 27) Wojciech, 32) gol, 34) zjazd, 36) ślizg, 37) pary, 38) axel.

W liście haseł do diagramu zabrakło określenia pionowo 21) najlepsi z najlepszych (odp: mistrzowie) – za pomyłkę serdecznie przepraszamy.

HASŁO:
SNOWBOARDZIŚCI

GRYZONIE

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziamo:

- 4) ... indyjska, wąż żyjący się m.in. drobnymi ssakami
7) szczur z książek o Harrym Potterze
11) ... Południowa, kontynent, na którym żyją kapibary – największe z gryzoni
12) świnka morska lub chomiczek
13) skojarz: powieść, Oran, szczury
14) na nim lokum wiewiórki, popielicy
15) w nich pomieszkują pieski prioryowe, susły
16) gryzonie, które co jakiś czas odbywają masowe wędrówki
17) imię piżmaka z dawnego serialu animowanego „Tajemnice wiklinowej zatoki”

- 18) zespół, który nagrał „Oddech szczura”
21) budowniczości żeremi
22) ... czasu, utknął w niej bohater filmu „Dzień Świstaka”
24) ciągnięta przez myszki w „Baśni o Kopciuszku” Artura Oppmana
25) niewielkie gryzonie, szkodniki upraw
27) pożywienie zwierzęcia (przestarzałe)
29) świnka morska
31) ... szczurów w piwnicach (czas na deratyzację)
33) imię myszy ze świata Pszczółki Mai (uwielbia cuchnące sery)
35) muzyka zespołu Pet Shop Boys
37) np. z treścią „Uwaga! Trutka na gryzonie!”
38) wykonawczyni piosenki, do której codziennie budzi się bohater „Dnia Świstaka”

- 39) puszysty ogon wiewiórki
40) pyszczek świszczaka, normica
41) marka kojarząca się z określeniem 9 pionowo

Pionowo:

- 1) niewielki gryzoń wijący gniazda na zdżbłach zbóż
2) przysmak Calineczki
3) laboratoryjne – czasem przeprowadzane na gryzoniach
5) ... w kołowrotku, absorbuje chomika
6) posiadacz chomika, świnki morskiej
8) szklany dom gryzonia hodowanego w domu
9) „A świstak siedzi i zawija w te ...”
10) nauka o gryzoniach
11) gryzoń podobny do zająca, żyje na kontynencie amerykańskim
17) kraj kojarzący się z gatunkiem chomika

- 19) kontynent, na którym żyją jeżozwierze
20) hodowana jako zwierzę futerkowe
22) zwany także piżmoszczurem
23) Andie MacDowell („Dzień Świstaka”) lub Sherilyn Fenn („Myszy i ludzie”)
24) potoczony z myszką
26) team deratyzatorów
28) kretoszczurowate, szynszylowate lub karłowate
30) na herbatce z Marcowym Zajęcem, Szalonym Kapelusznikiem i półdrzemającym Sustem
32) niewielkie afrykańskie gryzonie, niemal zupełnie nieowłosione
34) bogaty znajomy 2 pionowo
36) imię świstaka z komedii „Dzień Świstaka”

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiąż gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

Kraj/34354617